



RODZINY HIMALAISTÓW

KATARZYNA SKRZYDŁOWSKA-KALUKIN
JOANNA SOKOLIŃSKA



Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin
Joanna Sokolińska

RODZINY HIMALAISTÓW



Copyright © Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin, MMXX

Copyright © Joanna Sokolińska, MMXX

Wydanie I

Warszawa, MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Od autorek](#)

[Nanga Parbat. Ich troje i wszystkie pluszaki](#)

[Broad Peak. Trzech mężczyzn, troje dzieci](#)

[To się coraz mocniej zaciska](#)

[Ja bym też poszła](#)

[Miedzy ojcami](#)

[Ginąc, zawsze robi się komuś krzywdę](#)

[To jest choroba ludzi z tego środowiska, że uciekają. Ja to
rozumiem](#)

[Zrobił, jak uważał](#)

[Everest, K2, dziecko z astmą. Style małżeństw](#)

[Bibliografia](#)

Od autorek

Na wystawie małej księgarni na warszawskiej Saskiej Kępie stoją na jednej półce, równo, jak czekany wbite w zmarznięty śnieg: *Siła marzeń, czyli jak zdobyłam Everest* Miłki Raulin, *Krzysztof Wielicki. Piekło mnie nie chciało* Dariusza Kortki i Marcina Pietraszewskiego, tych samych autorów *Kukuczka. Opowieść o najstydniejszym polskim himalaiście*, Reinholda Messnera *O życiu i Rozmowy o Evereście* Jacka Żakowskiego, Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego. A to tylko wystawa, tylko mała lokalna księgarnia!

W Polsce wydaje się rocznie kilkanaście książek górskich – biografie wybitnych wspinaczy, biografie gór wciąż i wciąż królują na listach bestsellerów Empiku. Próba bycia na bieżąco przypomina walkę z wielogłowym smokiem: przeczytasz trzy książki, a już z okładek uśmiecha się do ciebie sześciu kolejnych bohaterów.

Kochamy naszych himalaistów i górskie opowieści. „My” autorki i „my” Polacy.

Czy dlatego napisałyśmy tę książkę? Tak. Nie.

Tak, bo kto by nie chciał trafić na listę bestsellerów Empiku? Nie, bo to nie jest książka o górach. Ani o wspinaczach. Ani o wyprawach i przygodach wojowników walczących o przetrwanie na zabójczych wysokościach w wichurze, śnieżycy i morderczym mrozie. Ta książka jest o ich rodzinach, które zostają w domach, także często walcząc o przetrwanie. O żonach, które przez większą część roku w pojedynkę zajmują się codziennymi sprawami, utrzymaniem dzieci, odrabianiem lekcji, gotowaniem, czytaniem bajek. A jak coś pójdzie nie tak, to zostają z tym same już na zawsze. To także książka o dorosłych już dzieciach, które straciły ojców nie dlatego, że ktoś wysłał ich na wojnę, zginęli w wypadku drogowym, przesiedzieli pół życia w więzieniu, bo działali w opozycji demokratycznej w czasach PRL, czy zachorowali. Ale dlatego, że z własnej woli, ciągnięci potrzebą przeżycia ekstremalnej przygody, pojechali w najwyższe góry świata i już nie wrócili. Kiedy

ma się męża albo ojca himalaistę (matkę i żonę również), nietrudno zostać wdową/wdowcem czy pólsierotą.

To książka o ludziach, którzy podobnie jak bohaterzy, tak przez nas kochani himalaiści płacą najwyższą cenę za wędrówkę na szczyt. Płacą za piękną pasję, tyle że nie swoją.

To żony, czasem, choć wciąż rzadziej, mężowie i zawsze dzieci „lodowych wojowników”. Czekający, podziwiający, tęskniący, dumni, pogrążeni w żałobie. Zawsze na drugim planie.

Oczywiście, w każdej biografii „wojownika” czy „wojowniczkę” można przeczytać o tych drugoplanowych bohaterach. Parę słów: że kiedy Piotr Pustelnik zdobywał Pinnacle Peak, jego żona opiekowała się synkiem, który miał zapalenie opon mózgowych. Że Celina Kukuczka, leżąc w szpitalu w zagrożonej ciąży, dziergała wełniane skarpetki dla męża zdobywającego dla Polski – i dla siebie – kolejny szczyt.

Robiąc burzę mózgów, by znaleźć tytuł dla naszej książki, myślałyśmy o kontrowersyjnym pytaniu: czy alpinista może mieć dzieci?

Czy człowiek, który tak ryzykuje, powinien zakładać rodzinę?

Eliza Kubarska, alpinistka i reżyserka, zadała sobie to pytanie w filmie, który nakręciła u stóp K2. Zabrała tam dorosłe już dzieci zmarłych w górach himalaistów, sama spodziewając się dziecka. Film jest wstrząsający, historie bohaterów trudne, wydaje się, że odpowiedź jest oczywista. Jednak Kubarska nie odpowiada „nie”, nawet w ostatniej scenie, trzymając już na rękach niemowlę.

„Nikt z nas nie szedł w góry, żeby zginąć” – stwierdza z kolei Krzysztof Wielicki, i zdanie to powtarza wielu wspinaczy. Pewnie, że nie! A jednak tak wielu zginęło. Wielu więcej niż narciarzy.

To prawda, co mówią i ludzie gór, i wielu naszych nizinnych bohaterów – każdy z nas dzień po dniu ryzykuje życie, wsiadając do samochodu, przechodząc przez pasy. Ryzykują górnicy, ratownicy – zarówno górcy, jak i medyczni, ryzykują policjantki. O niewielu z nich czytamy książki.

Wydawane przez Polski Związek Alpinizmu pismo „Taternik” w drugim numerze z 1988 roku publikuje tekst doc. dr. med. Jana Serafina zatytułowany *Polskie wyprawy himalajskie – wypadki, zachorowania i zgony*.

Otóż „w latach 1977–88 odbyły się 122 polskie wyprawy w Himalaje i Karakorum, z których 50 (41 proc.) miało za cel szczyty ośmiotysięczne. W wyprawach tych wzięło udział 1051 alpinistów, w tej liczbie kilkunastu cudzoziemców. W trakcie realizacji zadań wyprawowych wydarzyło się 39 wypadków śmiertelnych (3,71 proc.). Następne 99 osób, czyli 9,41 proc. sumy uczestników, przeszło poważne choroby ogólne, które w warunkach wypraw stanowiły duże zagrożenie dla ich zdrowia lub życia. Można więc stwierdzić, że w sumie co najmniej 13 proc. alpinistów polskich działających w górach najwyższych bądź utraciło życie, bądź też było poważnie zagrożonych z powodów medycznych. Z konfrontacji liczby wypraw z liczbą wypadków śmiertelnych wynika, iż na utratę uczestnika narażonych jest niemal 30 proc. ekspedycji, to znaczy co trzecia z nich”.

Nie trzeba nawet znać tych danych, żeby wiedzieć, że wyprawa w najwyższe góry świata jest śmiertelnie niebezpieczna. Co więc czują żona, córka, syn, kiedy ich najbliższa osoba pojedzie realizować pasję i nie wróci? A jeśli wróci, to zaraz znowu wyjedzie, bo pasja ciągnie, pozwala uciec od codzienności, a to jest niezwykle kuszące.

Można się domyślać, że zostawione w domu rodziny mają żal. Z pewnością inaczej przeżywają to jednak dzieci, a inaczej partnerzy/partnerki górskich pasjonatów.

Dorośle już dzieci, z którymi rozmawialiśmy, deklarują, że nie mają pretensji. Pasja ojca (bo za każdym razem był to ojciec) staje się również ich pasją. Chcą iść jego śladami, jeśli nie na szczyty ośmiotysięczników, to chociaż tam, skąd można je zobaczyć, albo w te same skały, po których się wspinał. O swoich motywacjach opowiadają w tej książce sami, nie są one jednakowe i proste. Raz jest to rozpacz po stracie ukochanego ojca połączona z podziwem, innym razem czysta fascynacja tym samym, co tego ojca odciągało od codzienności. Za każdym razem jest zrozumienie. Dorośle dzieci

ludzi, którzy zginęli w Himalajach, rozumieją, co ciągnęło ich rodziców i dlaczego tam pojechali, zamiast chodzić z nimi na rower. Jednak jest to uczucie połączone z mrokiem, z pamięcią o problemach, które powstały po tej śmierci, z traumą. Nie da się zamknąć tych historii w jednym mechanizmie ani opisać zero-jedynkowo. Każda z nich jest inna i skomplikowana. Do tej płątaniny uczuć dochodzi podziw dla ojca – że był siłaczem, straceńcem, marzycielem i miał fantazję.

Himalaizm to niejedyny sposób na ucieczkę od codzienności w pasję czy powinność. Wymieniłyśmy już przykłady innych sposobów: działalność w opozycji czy służba wojskowa. Jednak himalaizm różni się od nich tym, że nie przynosi pożytku innym ludziom, to nie jest misja ani poświęcenie. Ta pasja daje spełnienie tylko temu, kto ją realizuje, innym zaś może przynieść trudne konsekwencje. Nie próbujemy jednak w łatwy i oczywisty sposób oceniać tego, czym jest ona dla rodzin himalaistów. Te rodziny w tak łatwy sposób tego nie czują.

Nanga Parbat. Ich troje i wszystkie pluszaki

Proszę nie robić ze mnie ofiary. Jestem znacznie bardziej interesująca.
Joan Castleman w tytułowej roli życiowej partnerki noblisty. *Żona*,
film w reżyserii Björna Runge

Tomek miał wtedy ze dwadzieścia jeden lat, więc ja dwadzieścia cztery. Nim on umarł, ja go dwadzieścia lat znałam.

Od autorki: nie lubię wywiadów zaczynających się od wstępu, w którym dziennikarz lub dziennikarka opisują prolog spotkania. Zwykle idzie to tak: siedzę w kawiarni w centrum Warszawy, jest ciepły słoneczny dzień. Gwiazda wpada uśmiechnięta, zawstydzona, radosna, poważna. Siada przy stole. Ma na sobie białą koszulę i proste dżinsy od Armaniego, zamawia wodę z cytryną...

Nie lubię, ale nie mam wyjścia. Tu musi być wstęp. Bo to historia życia Joanny Kondrackiej, z którą jako dziecko chodziłam na zajęcia plastyczne i pojechałam raz na obóz narciarski, stała się inspiracją do napisania tej książki.

Bo Joanna jest jedyną bohaterką, z którą trzeba było rozmawiać na raty. Pierwsze spotkanie – godzina w kawiarni, gdy dzieci są na zajęciach. Czarny zeszyt. Druga rozmowa – przez telefon, czterdzieści pięć minut, kiedy Joanna jest sama w samochodzie, w drodze do rodziny, pierwszy lepszy notatnik, który złapałam na dźwięk dzwonka. Trzecia – papier do drukarki, późny wieczór, dzieci Joanny wcześniej zasnęły. Czwarta – długie moszczenie się na kanapie, granatowy zeszyt w kwiatki. I jeszcze dwie, trzy szarpane rozmowy przez telefon, zwykle z samochodu. Czemu się z wami dzielę tymi nieprofesjonalnie wyglądającymi szczegółami pracy reporterskiej? Żebyście wiedzieli, jak wygląda życie samotnej matki dwójki dzieci, która przez rok nie była w stanie znaleźć jednego dnia, by usiąść ze mną jak człowiek na cztery godziny. Bez dziecięcego

nasłuchu. I po to, żeby wytłumaczyć, czemu ta opowieść będzie miała irytującą postać pokazu slajdów. Każda rozmowa to inny temat, inny nastrój, inny slajd.

Slajd pierwszy: Max

Joanna Kondracka, doktor psychologii, filozofka, mama Maxa i Toni, była żona Tomka Mackiewicza, „Czapkinsa”: – Patrzyłam na moje dziecko bawiące się na boisku. Widziałam, że stoi niby w grupie, ale nie będąc jej częścią. Widziałam jego niepewność, przygarbione plecy. Pomyślałam: „To jest to. To jest to, co zostało”. Potem moje dziecko pojechało na obóz. Drugiego dnia dostałam informację, że jakiś chłopiec się nad nim znęca. Pomyślałam: „Sępy zwęszyły ofiarę”.

W klasie może być troje grubych dzieci, ale tylko jedno z nich będzie ofiarą. Tylko jedno będzie nazywane „Grubym” i spychane na margines. Które? To najsłabsze. Niekoniecznie najgrubsze. To, które oprócz nadwagi ma konkretne problemy. To, za którym nikt nie stanie. To, które nie ma niewyparzonej gęby, matki pieniaczki, ojca, ojczyzna mogącego zabić wzrokiem lub słowem klasowych oprawców.

Najdelikatniejsze w stadzie.

– Mój syn sam wracał ze szkoły. Miał telefon, więc i on, i my czuliśmy się w miarę pewnie. Kupiłam świnki morskie, Maxio po szkole siedział w domu ze świnkami, czasem sobie pizzę odgrzał – był samodzielny. Po śmierci Tomka nie wychodzi sam z domu i nie zostaje w nim bez towarzystwa, bardzo się niepokoi, jak mnie nie ma. I panicznie boi się, że ktoś z nas mógłby lecieć samolotem. Bo on błagał tatę, żeby nie leciał na wyprawę, i przedłużał pożegnanie, jak umiał, żeby tata spóźnił się na lotnisko. Strasznie płakał. Jak nigdy przedtem.

Ale Maxowi się nie udało. Tata na samolot zdążył. I nie jest to wina Maxa, choć on, wbrew wielomiesięcznym przekonywaniom, wciąż myśli inaczej.

Sześć dni przed wyjazdem Tomka był pogrzeb jego przyjaciela. Ojca kolegów Maxa i Toni. Tomek nie mógł wziąć w nim udziału, ale Joanna poszła sama z dziećmi.

„Tatowie umierają” – zrozumiały wtedy. Wcześniej i Tonia, i Max, i pewnie ich koledzy, myśleli, że umierają tylko bardzo, bardzo starzy ludzie. I obcy. A nie ich młodzi, wysportowani i kochani ojcowie.

Joanna uważa, że to dlatego Max tak bardzo nie chciał, żeby Tomek wyjechał.

– Myślę, że był już świadomy, że wyprawa w wysokie góry jest niebezpieczna. Kiedy Tomek wyjechał, Maxio pytał, co u taty, gdzie jest. Razem wchodziliśmy do internetu, żeby to sprawdzić. Wcześniej nigdy nie śledziłam wypraw Tomka dzień po dniu.

Slajd drugi: góra

Kiedy Tomek siódmy raz pojechał na Nanga Parbat, trzeci – z francuską wspinaczką Élisabeth Revol, oni pojechali z przyjaciółmi na narty w Pieniny.

– Maxio rozpaczał, więc ciągle sprawdzaliśmy, gdzie Tomek i Eli są. I któregoś dnia przeczytałam jego wpis: „Jest ciężko, ale walczymy”. Nie przejęłam się, bo Tomek lubił przesadzać, koloryzować.

Byłam z dziećmi w pokoju, kiedy przyszła moja koleżanka, Magda, i powiedziała: „Słuchaj, jest słabo”. Weszłam do internetu i to było, jakby nagle zgasło światło.

Od autorki: „Zgasło światło” – podczas naszej siódmej rozmowy wróciłam do tego zdania. Joanna powiedziała, że tak właśnie było, odczuła to niemal fizycznie, jakby dookoła niej zapanowała ciemność. Potem poprosiła, żebym jej to zdanie oddała, bo użyła go już w rozmowie z reporterem Mariuszem Sepiołą, autorem książki *Nanga Dream. Opowieść o Tomku Mackiewicz*, i uważa, że należy mu się ono na wyłączność. Nie zgodziłam się, bo chcę pokazać, ile ta śmierć kosztowała jej rodzinę.

A więc kiedy Joanna była z Maxem i Tonią w Pieninach, a Tomek umierał na Nanga Parbat w Kaszmirze, wokół niej zapanowała ciemność.

Slajd trzeci: ferie na nartach

Na narty pojechali bez samochodu. Joanna zamieściła rozpaczliwy post na Facebooku, że są w górach, że ojciec jej dzieci walczy o życie w Himalajach, że nie mają jak wrócić do Warszawy.

Powrót do domu nie ma w takiej sytuacji żadnego logicznego uzasadnienia, ale mimo to człowiek, jak ranne zwierzę, chce zaszyć się w swojej bezpiecznej norze. Tu akurat był też element logiczny: radio na stoku. Od internetu, który we wszystkich portalach informacyjnych nadawał akcję ratunkową na żywo, można było dzieci łatwo odciąć, od telewizji tak samo. Ale od radia nie było jak. Przyjaciele, żeby pomóc rozedrganej Joasi, zabierali Maxa i Tonię na narty, a tam RMF FM między kolejnymi przebojami trąbiło o położeniu Tomka i Eli. O szansach na ratunek, na przeżycie.

Max zapytał mamę: „Czemu jesteś taka smutna? Co u taty?”.

Było coraz trudniej utrzymywać sprawę w tajemnicy. Joasia ogłędnie powiedziała Maxowi, że na Nanga Parbat są problemy.

– Jak w niedzielę rano okazało się, że chłopaki po Tomka nie pójda, przyjechali po nas znajomi znajomych. Umówiliśmy się, że ze względu na dzieci nie będziemy po drodze włączać radia.

Znajomi znajomych byli w okolicy. Mieli dostatecznie duży samochód, żeby zabrać ich troje, bagaże i narty. I nie włączyli radia.

– W samochodzie, kiedy Tonia spała, Maxio zapytał, co się dzieje z tatą. Powiedziałam, że tata nie wrócił. Że poszli w góry, udało się sprowadzić Élisabeth, ale taty nie.

Max się rozplakał. Zwymiotował. Zasnął.

Joanna dostała gorączki.

Tonia, kiedy obudziła się i dowiedziała, że tata nie wróci, wściekła się. Na Joannę. A potem wykrzyczała: „To gdzie ja teraz pojedę na wakacje?!” – bo ostatnie spędziła u taty, w Irlandii.

Joanna przez kilka dni, zapewne za sprawą temperatury, miała trudności w odróżnianiu, co jest prawdą, a co nie.

Tonia przez kilka najbliższych dni leżała z głową pod kocem i krzyczała, kiedy ktokolwiek wspominał jej tatę: „Nie mówcie o tym, bo mi smutno!”.

Max, odwrotnie, wypytywał. Bardzo chciał wiedzieć, kto wie o śmierci taty. Komu jest przykro. Prosił, żeby mama zapytała na Facebooku: kto płakał po śmierci Tomka?

Ludzie odpisywali. „Ja”. „I ja, Maxiu”, „Wszyscy płakaliśmy”.

Spali w jednym łóżku. Ich troje i wszystkie pluszaki.

W rogach pokoju dzieci rozsypały sól – żeby powstrzymała duchy od złożenia się.

W nogach łóżka ustawiły miski z wodą – żeby ostrzegły, jeśli jakiś duch próbowałby się jednak zakraść.

Joanna wypożyczyła z biblioteki dla dzieci książki o umieraniu. A prawdę mówiąc, wypożyczyła jej na swoje konto i przyniosła do domu znajoma.

Małą książkę o śmierci Pernilli Stalfelt, Czarne życie Amandy Eriksson oraz Esbena i ducha dziadka Kima Fupza Aakesona i Evy Eriksson.

W łóżku czytała je dzieciom na głos. Wcześniej przeczytała sama, żeby wiedzieć, czego się spodziewać.

Max napisał list: „Tato, jeśli tu jesteś, daj mi jakiś znak”.

Tonia ulepiła tatę z plasteliny. Zapytała: „Czemu musieli iść po tę głupią Francuzkę? Czemu po tatę nie przyleciał helikopter?”.

Z głową pod kocem prosiła wszystkich, żeby nie mówili już o tym, co się zdarzyło na Nanga Parbat.

– Pomogli nam wtedy przyjaciele i znajomi, nawet dalsi. Ktoś wezwał do mnie lekarza, ktoś przywiózł leki, ktoś zrobił zakupy. Czułam się przez ludzi zaopiekowana, jakoś otulona kocem.

Tonia o śmierci taty zaczęła słuchać – i mówić – dopiero po dłuższym czasie.

– Gdy po wakacjach poszła do szkoły, głowiłam się, jak delikatnie przekazać rodzicom innych dzieci informacje o Tomku. Okazało się, że niepotrzebnie: któregoś dnia koleżanka Toni zapytała mnie: „A jak umarł tata Toni?”.

Nim Joanna zdążyła zebrać myśli, Tonia z wielką wprawą opowiedziała wszystko sama. Jakby robiła to już wiele razy.

– Tata koleżanki słuchał tego niewzruszony. Zrozumiałam wtedy, że i on dobrze znał tę historię. Kiedy Tonia zaczęła już mówić o tacie, nie mogła przestać.

Slajd czwarty: dzieci

Sprowadzona z sześciu tysięcy metrów przez Adama Bieleckiego i Denisa Urubkę, którzy akurat byli w pobliżu, tak to nazwijmy – Élisabeth Revol wróciła do Francji. Zbiórkę pieniędzy na wyprawę przekształciła w zbiórkę na dzieci Tomasza Mackiewicza.

Drugą zorganizowano równolegle w Polsce. Obie przyniosły w sumie milion dwieście tysięcy złotych.

Zbiórka Élisabeth Revol dała sto pięćdziesiąt siedem tysięcy euro. Revol w swojej książce przedstawia szczegółowe rozliczenie tych pieniędzy.

Jedenaście tysięcy poszło na spłatę zaliczki na akcję ratunkową (większość kwoty, dwadzieścia tysięcy, została wypłacona z ubezpieczenia Francuzki).

Część pieniędzy poszła na obsługę zbiórki, a większość pieniędzy, w sumie sto trzydzieści dwa tysiące euro, została przekazana dzieciom Tomka.

Dzieci jest troje.

W niektórych artykułach, pisanych na gorąco, pojawiała się informacja, że jest czwórka.

Xawery, brat bliźniak Maxa, zmarł tuż przed porodem. To z jego powodu niektórzy pisali, że Tomek opuścił czworo dzieci.

A to jedno z nich opuściło jego.

Kiedy jechał na wyprawę, dzieci było troje: Max, Tonia, z małżeństwa z Joanną, i Zoja, córka z drugiego związku Tomka.

Na każde z dzieci wypadło po czterdzieści cztery tysiące euro – podaje Revol.

– Tego nie będę komentować.

Przez „to” Joanna rozumie wysokość kwoty.

Nie będzie komentować, ile dokładnie dostała pieniędzy, bo rozmowy z Eli Revol są w toku. A rozmowy o pieniądzach, jak wiemy, lubią ciszę i spokój.

Między Tonią a Zoją jest trzynaście miesięcy różnicy, więc także temat dzieci jest trudny.

I praw do Tomka. Do jego wizerunku, jego dorobku, czyli fotografii i pamiątek.

Na emocje związane z żałobą po ojcu dzieci i po byłym, długo kochanym mężu nałożyły się emocje związane z tym, co serwowały media.

A wszystko to wśród niezliczonych wywiadów, hejterskich komentarzy, zdjęć przedstawiających straszliwie odmrożone ręce Revol, upubliczniania opisów ostatnich chwil życia Tomka, jego walki z narkotykami, z alkoholem, romantycznych szczegółów dotyczących jego nowego związku. Papier i ekran przyjmowały wszystko.

Slajd piąty: ośrodek

Dawno, dawno temu Witek, brat Joanny, trafił do monarowskiego ośrodka dla osób uzależnionych w Gaudynkach, wsi na Mazurach. Joanna przyjechała go odwiedzić. Przy bramie przywitało ją dwóch chłopaków. Nie od razu połapali się, że jest gościem, początkowo sądzili, że mają do czynienia z nową kandydatką na leczenie.

Sprawdzili jej źrenice (przesadnie rozszerzone, tak samo jak zwężone mogą sugerować, że człowiek jest pod wpływem narkotyków), ciśnienie, kazali chuchnąć (osoba pod wpływem alkoholu nie może zostać przyjęta). Ponieważ przeszła testy, wpuścili ją. A kiedy już wyjaśniło się, że nie przyjechała jako pacjentka, tylko jako gość, jeden z nich, Tomek, oprowadził ją po terenie.

– Miał tam ksywę „Wegeta”, bo był wegetarianinem. Jak ja. Biedny, nie bardzo miał tam co jeść, bo w ośrodku żywili się tym, co im wyrosło i co wyhodowali. Mieli świnie i kury, ale wegetarianinowi było głodno. Od czasu do czasu coś mu podsyłałam

– kotlety sojowe, jakieś warzywa... Zaczęliśmy do siebie pisać. On zawsze bardzo grzecznie, zaczynał od: „Droga Joanno...”.

W ośrodku Tomek nie tylko odstawił narkotyki, ale też zdał maturę i zrobił prawo jazdy. A kiedy zakończył leczenie, zaczął pracować w pobliskim tartaku.

– Ciągłe był związany z ośrodkiem. Wszyscy go tam bardzo szanowali, jako absolwenta, tego, który wytrwał i któremu się udało. Wynajął trzyizbową chatkę od jakiejś babuleńki, gdzie było zimno jak nie wiem co, a zamiast łazienki był wychodek. Pracował w tartaku i raz na jakiś czas jeździł do ośrodka po jedzenie. Przywoził dziesięć toreb naleśników w proszku i galaretkę.

A ona?

Ona studiowała w Warszawie, miała chłopaka, z którym ciągle schodziła się i rozchodziła. Rodzice chłopaka mieli dom na warszawskim Żoliborzu z niedokończonym basenem w ogrodzie. W domu, a już zwłaszcza w prawie basenie, w którym chłopak urządził sobie letni pokój, odbywały się wspaniałe imprezy. Warszawska bajka.

Co jakiś czas jeździła, niekiedy z chłopakiem, na weekend do trzyizbowej chatki Tomka. Czasami Tomek przyjeżdżał na żoliborskie imprezy.

Coś iskrzyło.

Aż w końcu Witek, brat Joasi, skończył leczenie w ośrodku i postanowili razem z Tomkiem przyjechać na stałe do Warszawy.

Tomek, który pochodził z Częstochowy, nie miał w Warszawie żadnego punktu zaczepienia. To znaczy miał: Witka, Joasię i ich rodziców.

– Na początku więc pomieszkiwał u mnie, a pracował u naszego taty.

Coś budował, coś naprawiał, był niesłychanie zdolny. Jeśli nie umiał czegoś zrobić od razu, szybko się uczył.

Iskrzyło mocniej, ale sprawa była skomplikowana: ona studentka, on pracownik fizyczny. Ona jak ryba w wodzie na żoliborskich imprezach w niedokończonym basenie, on wciąż szukający swojego miejsca. Nigdzie do końca nie pasował. Ani w tartaku, ani w prawie basenie. Ona w rozstaniach i powrotach do warszawskiego

chłopaka, zadowolona, że ma adoratora. On oczekujący rozstrzygnięcia.

Tak mijały im miesiące. Byli bliżej, dalej, bardzo blisko, zrywali.

Slajd szósty: Indie

Tata Joanny, Witka i Małgosi Kondrackich jest niewidomy. Kocha Indie, zawsze kazał się strzyc na hinduską modłę.

Co jakiś czas tata Joanny ruszał do Indii. Chętnie brał ze sobą kogoś, kto mógł być jego oczami.

Miłością do Indii zaraził Tomka. Poszło łatwo, Tomek jak gąbka chłonał przygody.

Dał mu swoje kontakty, a Tomek spakował się i drogą lądową, bo tak było najtaniej, z tysiącem przygód, bo to było nieuniknione, ruszył do Azji.

W Indiach, w ośrodku świeckiej zakonnicy, Haliny Pyz, miał uczyć dzieci angielskiego.

– Tata znalazł mu ten wolontariat. Wydaje mi się, że to raczej te dzieci mogły uczyć Tomka angielskiego, ale niewątpliwie on się nimi opiekował. Miał świetny kontakt z dziećmi, lgnęły do niego.

Tomek był umówiony z tatą Joanny w Katmandu. Przejechał Bangladesz rowerem, dotarł do Nepalu, potem pojechali we dwóch do Laosu i Kambodży. Tam się pożegnali, Tomek zawędrował jeszcze do Chin i podjął decyzję o powrocie, kompletnie bez pieniędzy, do Polski.

Kiedy wrócił, do Indii poleciała, z dwiema koleżankami, Joanna. Zdążyli się na chwilę spotkać, zachwycić sobą, zakochać, pożegnać.

W Indiach Joanna pokłóciła się z dziewczynami. Rozdzieliły się w Ladakh. Joanna sama przez kilka dni jechała do Bangalore, do zakonnic prowadzących tam dom dla niewidomych dzieci. Mało nie umarła ze strachu. Ale jednak przeżyła, w końcu to była jej trzecia podróż do Indii.

Po siedmiu tygodniach, wypełnionych między innymi pomaganiem zakonnicom w opiece nad dziećmi i szaleńczymi

przejażdżkami skuterem z siostrą Agatą, Joanna wróciła do Warszawy. I do Tomka. W końcu oficjalnie zostali parą.

– Podróż go zmieniła. Byłam pod wrażeniem. Zaimponowało mi, że choć w Warszawie cienko prządl, zrobił taką mocną rzecz. Zobaczyłam w nim kogoś nowego. Nie Tomka – absolwenta ośrodka dla osób uzależnionych i wymagającego pomocy, tylko – Tomka mężczyznę.

I to mężczyznę opalonego, uczesanego jak jej tata, ubranego w T-shirt z napisem „Free Tibet”, kupiony nie w warszawskiej galerii handlowej, tylko gdzieś tam, w dalekiej Azji. Wow.

– Całą noc chodziliśmy po Warszawie, rozmawiając i pijąc alkohol.

Wynajęli mieszkanie.

Tomek u taty Joasi budował altankę, płotek, zarabiał niewiele i cierpiał, bo taka praca nie dawała mu satysfakcji. Poczucia sensu.

Zatrudnił się u kolegi, który miał firmę komputerową. Trochę lepiej mu się wiodło, dużo się uczył, był bardzo bystry, nadal jednak trochę cierpiał, bo kolega zarabiał dużo, a on mało.

Źle znosił listopad. Ciemność. Beznadzieję.

– Nie mieliśmy kasy, więc wieczorami siedzieliśmy w domu. Bo co można robić bez pieniędzy? Weszliśmy w rytm codziennej rutyny.

Oboje ich to uwierało. Tomek nauczył się trochę o komputerach i pojechał do Hamburga do swojej siostry, Agnieszki. W Hamburgu żyło się łatwiej. W dniu, w którym przyjechał w odwiedziny do Warszawy, Joasia dowiedziała się, że dostała stypendium naukowe w Niemczech.

Stali na przystanku autobusowym na wiadukcie gdańskim, gdy Tomek nagle zapytał: „Słuchaj, a może ty byś kiedyś została moją żoną?”.

I zaprosił ją do Hamburga, gdzie mieszkał kątem u swojej ciepłej, opiekuńczej, wiecznie go wspierającej starszej siostry.

Po Hamburgu jeździli rowerami, spali w lesie, w rozbitym byle gdzie namiocie, jedli byle co, byle tanio, bo pieniędzy wciąż mieli za mało.

Potem stworzyli związek na odległość, Joanna pojechała do Tybingi, na Uniwersytet Eberharda Karola, a Tomek został w Hamburgu.

On łapał dorywcze prace, ona miała przyzwoite stypendium, pięćset euro, które wystarczyłoby na spokojne życie, gdyby nie to, że po przyjeździe musiała wpłacić w akademiku kaucję. To sprawiło, że przymierała głodem. Raz Tomek, chcąc ją wesprzeć, wysłał jej w liście dziesięć euro. Do dziś Joanna rozrzewnia się, wspominając ten prezent.

A potem wrócili do Warszawy i wzięli ślub. Z przyjęciem weselnym w ogrodzie jej rodziców na warszawskim Żoliborzu, które przygotowali sami.

Podczas ślubu Tomek powiedział Joasi, że raz na jakiś czas będzie musiał wyjechać. Sam.

Ona też marzyła o podróżach, więc ani jej to nie przestraszyło, ani nie uraziło.

Uzgodnili, że czasem Tomek pojedzie sam, a czasem pojedą gdzieś razem.

– Marzyłam o wspólnym wyjeździe do Azji, ale na to potrzebowaliśmy pieniędzy. Pomyśleliśmy, że pojedziemy do Irlandii, tam uzbieramy forszę i ruszymy w wymarzoną podróż. Rodzina? Chciałam mieć dzieci, ale myślałam, że uda się jakoś to połączyć.

Jakoś.

Slajd siódmy. Irlandia

Wyjechali. Zderzenie z rzeczywistością było bolesne.

Oboje dostali pracę w tej samej fabryce podzespołów. Osiem godzin wkładania malutkich metalowych rzeczy w nieco większe metalowe rzeczy.

Świetna pensja. Nuda. Poczucie bezsensu. Frustracja.

W weekendy odreagowywali, pływając. Nurkowali w oceanie.

Wpadli do Brukseli w odwiedziny do jej szkolnej koleżanki, Helenki. Jej mąż zabrał ich na ściankę wspinaczkową. „Człowieku,

masz duży talent!” – powiedział Tomkowi.

Po powrocie do Irlandii Tomek nabył sprzęt i zaczął się ostro wspinać. Kupił Joasi buty wspinaczkowe, więc czasem jeździli w skałki razem.

Wykończeni podzespołami, zmienili pracę. Ona trafiła jako pomoc do domu opieki, on do warsztatu samochodowego.

– Tomkowi w Irlandii było dobrze. Zarabiał, lubił to, co robił, miał kumpli. Tam czuł się u siebie. Mnie brakowało Żoliborza.

Wrócili.

Zamieszkali niedaleko wiaduktu, na którym Tomek się oświadczył, w mieszkaniu, które kupili jej rodzice, a on wyremontował.

Tu znów ona była u siebie, on obcy.

– Irlandczycy są wyluzowani, bezpośredni, Tomek czuł się wśród nich jak ryba w wodzie.

Wrócili do Irlandii.

Joanna dostała wymarzoną pracę: w Fundacji Paula Newmana miała prowadzić pracownię ceramiczną dla ciężko chorych dzieci. Była pierwszą osobą z Europy Wschodniej, którą przyjęto tam do pracy. I jedyną, która zamiast dwudziestu lat miała trzydzieści dwa.

Tomek wrócił do pracy w warsztacie.

Wynajęli dom, do spółki z żoliborskimi przyjaciółmi. Sprowadzili warszawskiego psa i kota, żeby było bardziej domowo.

Zdecydowali się na in vitro, bo chcieli mieć rodzinę (jeden z późniejszych biografów Tomka, Dominik Szczepański, napisze o tym tak: „Joanna mówi mu, że chciałyby mieć dzieci. W odpowiedzi Tomka nie czuć na początku wielkiego entuzjazmu, ale z czasem to się zmienia”).

In vitro się udało. Joasia zaszła w bliźniaczą ciążę.

Tomek pojechał z przyjacielem, Markiem Klonowskim, na swoją pierwszą dużą wyprawę: na Mount Logan w Kordylierach. Najwyższy zimny szczyt Kanady nigdy niezdobyty przez Polaków.

Dwudziestego piątego dnia wyprawy chłopcy stanęli na szczycie. Tomek nakręcił krótki filmik, płacząc ze szczęścia, i zadzwonił do Joanny. Marek oświadczył się swojej dziewczynie.

Byłoby cudownie, gdyby nie to, że kończy im się jedzenie, a muszą jeszcze zejść.

Cieżarna Joasia czuje się samotna. Martwi się, co będzie z nią, z dziećmi, jeśli Tomek nie wróci. Martwi się, co będzie z Tomkiem i Markiem, jeśli nie dostaną zapasów, i załatwia im paczkę żywnościową, która spada im dosłownie z nieba.

Joannie udało się uprosić kanadyjskiego pilota, Paula Clausa, żeby znalazł chłopaków i rzucił im żywność. Claus nie tylko się zgadza, ale robi to za darmo.

Tomek i Marek wracają cali i względnie zdrowi, nie licząc drobnych odmrożeń. Tomek jest szczęśliwy. Joanna jest szczęśliwa.

Przyjaciele zamienili się z nimi na pokoje, żeby nowa rodzina miała jak najwygodniej. Kiedy Joanna leżała miesiąc na patologii ciąży, Tomek odnowił dom. Sam wybrał kolory, sam pomalował. Było pięknie.

I nagle wszystko szlag trafił.

Slajd ósmy. Upadek

Błąd lekarza. Niedopatrzenie. Jedno z bliźniąt, Xawery, umiera.

Ludzie myślą, że śmierć bliźnięcia to nic, błahostka, przecież rodzicom zostało drugie dziecko. To tak nie działa. Dziecko to dziecko, czy jedynak, czy bliźniak, jego utrata przeszywa bólem na wskroś.

Joanna i Tomek zatapiają się w smutku. Problemy przyciągają problemy: w ogólnym kryzysie Tomek traci pracę w warsztacie. Polscy przyjaciele, z którymi dzielili dom, rozstają się.

Jest jesień, wilgoć w powietrzu, wilgoć w domu. Za oknami leje. Nie ma pieniędzy, są smutek i poczucie beznadziei. Nie ma szans na podróż po Azji. Kłótnie.

Wracają do Warszawy, gdzie żadne z nich nie ma pracy, ale jest przynajmniej własne mieszkanie, w którym Tomek samodzielnie wyremontował łazienkę tak, że wygląda jak wnętrze statku. Pięknie i funkcjonalnie. Przywożą ze sobą naczynie z prochami Xawerego.

W Irlandii można urnę trzymać w domu, nie wiedzą, że polskie prawo na to nie pozwala.

Max ma rok, kiedy Tomek jedzie w góry Tien-szan. Sam. Garść prochów zmarłego synka wsypuje do żółtego pudełka i zabiera ze sobą. Zdobywa Chan Tengri (6995 m n.p.m.), na jego szczycie zostawia pudełko. Włącza kamerę. Żegna się z Xawerym, płacze.

Wrzuca film na YouTube'a.

Po powrocie Tomek naprawia samochody, kupuje kampera, jeżdżą nim po kraju. Zakłada firmę, bo dzięki Markowi Klonowskiemu nauczył się stawiać maszty pomiarowe. Praca idzie mu dobrze, gorzej z firmą. Zapomina płacić podatki, zmieniają się przepisy, firma upada. Sprzedaje kampera. W sumie mieli piętnaście samochodów. Tomek kupuje je, używa, sprzedaje. Kupuje żaglówkę, pływają nią po Mazurach, sprzedaje żaglówkę, myśli o domu na wsi.

W tym intensywnym życiu decydują się na kolejne dziecko.

Jednocześnie Tomek z Markiem wymyślają Nanga Parbat – zimą, bo wtedy płaci się pięć procent letniej stawki za wejście, a oni przecież nie mają pieniędzy. Joasia jest już w takiej depresji po stracie jednego z dzieci, że nie jest w stanie przestraszyć się tym pomysłem.

Kiedy jest w ciąży z Tonią, Tomek i Marek ruszają w Himalaje. Tomek zapomina aparatu fotograficznego, Joasia pędzi na dworzec, żeby mu go dowieźć.

Nanga Parbat nie pozwala się zdobyć.

Rodzi się Tonia.

Kiedy ma pół roku, Tomek mówi, że zakochał się w innej kobiecie. I że ona spodziewa się dziecka.

Joanna zostaje sama na Żoliborzu z kilkumiesięczną Tonią i trzyletnim Maxem.

Po śmierci Tomka będzie czytać w wywiadach o wielkiej miłości, która połączyła jej męża z nową partnerką. O swojej miłości i swoim życiu w jego biografiach. Z jednej z dwóch, które ukazały się w rok po jego śmierci, można się dowiedzieć, że już wcześniej małżeństwo się nie kleiło. Joanna jest miastowa, Tomka ciągnęło na wieś. Chciał mieszkać w Irlandii, wśród otwartych, prostych i życzliwych ludzi, nie być wiecznie oceniany. Ani przez żoliborskich inteligentów,

kumpli żony na studiach doktoranckich, ani przez wspinaczy, którzy nie traktowali poważnie chłopaka bez kursu taternickiego, bez doświadczenia w Tatrach i Alpach, bez pieniędzy i bez porządnego sprzętu, pchającego się na jedną z najgorszych gór świata.

A jeśli nie mógł mieszkać w Irlandii, to chciałby chociaż na polskiej wsi. Tak mówią Małgosia, siostra Joanny, i Bartek, jej szwagier, w książce Dominika Szczepańskiego *Czapkins. Historia Tomka Mackiewicza*:

„Tak, wracał do ludzi, których zostawił na dole. Ale czuł, że nie ma tam swojego miejsca, własnego kawałka ziemi. A potrzebował go jak powietrza – wspomina Małgosia, siostra Joanny. Tomek coraz więcej czasu spędza w Staśkowie. Wciąż próbuje przekonać żonę, żeby wybudowali tam dom. A jak nie tam, to może w Bieszczadach?”.

„Szukał jakichś ofert, ale Joasia chyba nie widziała tam siebie – wspomina Bartek Sulikowski, mąż Małgosi. Jej zdaniem Tomek był klasycznym zwierzęciem wiejskim, a jej siostra miastowym. Po powrocie Tomka kłócili się coraz częściej”.

Czytanie tego to kolejny szok.

Ale wtedy, tuż po rozstaniu, Joanna się tego nie spodziewa. Póki co Tomek, oczekujący następnego dziecka, kolejny raz rusza na Nanga Parbat.

I Nanga, kolejny raz, nie pozwala mu się zdobyć.

Slajd dziewiąty

Joanna pracuje jako psycholog szkolny. Prowadzi psychoterapię rodzinną i indywidualną, łąpie się różnych prac.

Tomek rok po roku próbuje zdobyć Nanga Parbat. Nie stać go, żeby utrzymać siebie, troje dzieci i odłożyć na wyprawę, więc zakłada zbiórki na portalach crowdfundingowych.

Jest szczerym, ciepłym facetem, do którego trudno nie poczuć sympatii. Nie kreuje się na wielkiego wspinacza, otwarcie opowiada o swoich problemach, o uzależnieniu i wychodzeniu z niego, o problemach z komornikiem. Bez skrupowania pokazuje, jak

płacze, i z radości, na szczycie Mount Logan, i ze smutku, gdy rozsypuje prochy dziecka.

Ludziom to się podoba, więc zrzucają się na jego wyprawy. A inna rzecz, że Tomek i Marek potrafią się wspinać tanio. Bez porównania taniej niż uznani w środowisku i promowani przez PZA himalaiści. To też się ludziom podoba.

Na czwartą wyprawę chłopaki zbierają na platformie Polak Potrafi pięćdziesiąt tysięcy.

Przed piątą proszą o trzydzieści tysięcy, ale dostają o piętnaście więcej. Zrzuca się na nich czterysta osiemdziesiąt osiem osób.

W tym czasie Joanna utrzymuje się z pensji w szkole i ze stypendium na studiach doktoranckich. Tomek płaci alimenty, ale nie zawsze ma pieniądze. Kiedy Joasia postanawia odnowić dzieciom pokój, pyta na Facebooku, czy znajomi nie mają do oddania resztek farb. Dostaje różnokolorowe duluxy, na które nie było jej stać, i maluje ściany w geometryczne wzory.

Kłóci się z Tomkiem, ale uważa, że choć niestabilny finansowo, jej były mąż jest superojcem.

Dzieci go uwielbiają. Tonia i Max zaprzyjaźniają się z przyrodnią siostrą, Zoją, spędzają razem letnie wakacje w Irlandii, dokąd Tomek z nową partnerką znów wyjechał.

– Nigdy nie łączyłam tych dwóch tematów: zbiorów Tomka na wyprawy i naszej sytuacji materialnej. Może dlatego, że Tomek zawsze starał się być wobec nas w porządku? Kiedy wyjeżdżał, zwykle to były trzymiesięczne wyprawy, zawsze jakoś mnie zabezpieczał finansowo.

Bo każdej zimy, od 2010 roku, Tomek próbuje zdobyć szczyt Nanga Parbat.

Za pierwszym razem wchodzi z Markiem Klonowskim na 5100 metrów.

Za drugim o 400 metrów wyżej.

Za trzecim Tomek, po solowym podejściu, wchodzi na 7400 metrów.

Za czwartym na 7200.

Za siódmym wchodzi na 8126 metrów, czyli na sam szczyt.
I ginie.

Gaśnie światło.

Dlaczego?

– To było moje życie. Całe moje dorosłe życie, dwadzieścia lat spędziliśmy w taki czy w inny sposób razem. Rozstaliśmy się, ale gdzieś cały czas była we mnie nadzieja, nieuświadomiana nawet, że to tylko na chwilę. Zawsze, kiedy wyjeżdżał, bałam się, co będzie, jeśli nie wróci. Jak ja sobie poradzę sama z dziećmi? Nie w sensie materialnym, jak sobie poradzę, wychowując je zupełnie sama. I jak Tomek zginął, zrozumiałam, że to jest rozstanie nieodwracalne. Dlatego wokół mnie zapadła ciemność.

Dwa i pół roku po śmierci Tomka Joanna spaceruje z dziećmi w towarzystwie Agnieszki, siostry Tomka, ulicami Hamburga. Jest upał, jedzą lody, wkrótce ruszą do Billund, do Legolandu. Tonia podskakuje na ulicy i mówi: – Chciałabym umieć podróżować w czasie. Powiedziałabym wtedy tacie, żeby nie wchodził na tę górę.

Joanna Sokolińska

Broad Peak. Trzech mężczyzn, troje dzieci

*Odpadnie stu, lecz następni pójdą dalej.
Budka Suflera, Cień wielkiej góry*

Dwudziestego ósmego lipca 1975 roku na Broad Peak stanęło ich pięciu. Kazimierz Głazek, Janusz Kuliś, Marek Kęsicki, Bohdan Nowaczyk, Andrzej Sikorski.

Nie byli pierwsi. W latach pięćdziesiątych mający kilka wierzchołków masyw zdobyli Austriacy.

Nie weszli najwyżej. Austriacy wdrapali się na główny szczyt, Polacy na Broad Peak Middle, środkowy pik dwunastej góry Korony Himalajów.

Dlaczego ze wszystkich szczytów świata wybrali akurat ten?

Z dwóch powodów. Po pierwsze, ma 8011 metrów wysokości, czyli jedenaście metrów powyżej ośmiu tysięcy, a wówczas jeszcze żaden Polak nie przekroczył tej granicy.

Młodzi zdolni wspinacze z Wrocławia chcieli być pierwsi.

Po drugie, Broad Peak Middle był szczytem dziewiczym. Mieli więc szansę zarazem pobić rekord Polski i stanąć tam, gdzie przed nimi nie stał nikt.

I stanęli.

Ale radości im ten sukces nie przyniósł.

Przy schodzeniu pierwszy zginął Bohdan Nowaczyk.

Drugi, dzień później, Marek Kęsicki.

Trzeci, tego samego dnia co Kęsicki, Andrzej Sikorski.

Dwudziestego ósmego lipca 1975 roku Krzysztof Nowaczyk, syn Bohdana, miał sześć miesięcy.

Dorota Sikorska, córka Andrzeja, trzynaście miesięcy.

Anna-Maria Riper, córka Elżbiety, cztery miesiące.

Pierwsza śmierć

„Wieje bardzo silny wiatr, a mróz przekracza na pewno 30 stopni Celsjusza. Właśnie wtedy podczas manipulacji przy raku odmrażam sobie wszystkie palce u rąk. Siedzimy w odległości około 2–3 m od końca liny, starając się osłonić przed wiatrem i w miarę możliwości obserwując następnych zjeżdżających. Po mnie zjeżdża Kuliś, a jako ostatni ma zjechać Nowaczyk. Sikorski, który miał pomóc Nowaczykowi w ściągnięciu liny, stwierdza w pewnej chwili, że Bohdan nie dotarł na przełęcz, brak jest też końca liny. Z przerażeniem konstatujemy, że Bohdan spadł wraz z nią w urwiska chińskiej strony masywu, gdzie ściany skalno-lodowe mają ok. 3 km wysokości. Nie odnoszą skutku nawoływania, nie daje też żadnego efektu świecenie czołówkami (...) Około 6.00 rano, gdy trochę się rozjaśnia, kontynuujemy poszukiwania Nowaczyka. Asekurowany powiązowanymi pętlami przez Kęsickiego, czołgam się po wielkim nawisie i usiłuję zajrzeć w ścianę, w którą spadł Bohdan. Niestety daremnie – nadal szaleje burza śnieżna i widoczność jest bardzo ograniczona” – to fragment relacji z wyprawy na Broad Peak spisanej przez Kazimierza Głazka dla kwartalnika „Taternik” (*Zwycięstwo i tragedia*, „Taternik” nr 1/1976). Głazek stanął na Broad Peak Middle jako pierwszy.

Bohdan Nowaczyk miał żonę, synka i dwadzieścia osiem lat. Był elektronikiem po Politechnice Wrocławskiej. Wspinał się od początku studiów: kolejno w Tatrach, Dolomitach, Alpach, w Kaukazie. Przyjaźnił się z Krzysztofem Wielickim, obecnie jednym z najbardziej znanych polskich himalaistów.

Marian Sajnog, goprowiec, uczestnik sześciu wypraw himalajskich, kierowca na tamtej wyprawie:

– Oni dwaj z Wielickim stanowili wtedy jedną z najlepszych par wspinaczkowych. Wspinali się fantastycznie! A przyjaciółmi byli takimi, że Bohdan dał swojemu synowi na imię Krzysztof, a Krzysztof swojemu Bohdan.

Broad Peak był dla Nowaczyka pierwszą i miał być jedyną wyprawą w góry najwyższe.

Marian Sajnog: – Bohdan bardzo dobrze radził sobie w górach wysokich, ale to nie był jego żywioł. Męczyły go długie przygotowania, te tygodnie gromadzenia zapasów, pozwoleń, papierów, sprzętu. Nie pasjonowała go wielka wyprawa. Kiedy kursowaliśmy między obozami, powiedział mi, że więcej nie weźmie udziału w takiej eskapadzie.

W reportażu *Cień wielkiej góry*, zamieszczonym w zbiorze *Schody*, reporter Marek Rymuszek pisze o śnie, który miał przed wyprawą Nowaczyk. Opowiedział o nim jednemu z kolegów: „(...) stoi pod ścianą, której nie zna, choć przecież zaliczył wiele górskich dróg o najwyższym stopniu trudności. Jej środkiem prowadzi olbrzymi komin. Bohdan zaczyna się w nim wspinać – robi jeden wyciąg, drugi, trzeci. Nagle komin rozstępuje się, a z góry schodzą jego przyjaciele; ci, którzy zginęli przemierzani z żywymi. Uśmiechają się, milcząc, robią przejście”.

Druga śmierć

„W pewnym momencie dostrzegam w zmroku przelatujący kilka metrów ode mnie duży ciemny przedmiot. Wołam – odpowiada mi Janusz Kuliś, gdyż to właśnie on spadł, pośliznąwszy się na odsłoniętym lodzie. Naprowadzany jego światłem czołowym, schodzę do niego około 50 m w dół, gdzie zatrzymał się w zaspie śnieżnej. Biorę od niego plecak i obaj wracamy w górę do przygotowanej jamy biwakowej. Razem teraz nawołujemy kolegów i świecimy czołówkami – bez efektu niestety. Z relacji Kulisia wynika, że Andrzej Sikorski, który miał schodzić po Kęsickim, zawrócił na przełęcz, prosząc Kulisia, aby ten ruszył pierwszy, powiedział przy tym, że wydawało mu się, iż zobaczył, jak Marek spadł w dół (Kuliś, schodząc, widział ślady upadku Kęsickiego)” – pisze w swojej relacji Kazimierz Głazek.

Marek Kęsicki, asystent na Wydziale Inżynierii Lądowej Uniwersytetu Wrocławskiego, był niesamowicie przystojny. Miał wielkie powodzenie, co zgodnie potwierdzają i kobiety, i mężczyźni.

Ewa Panejko-Pankiewicz, himalaistka: – Marek był obłądny!

Marian Sajnog: – Dziewuchy za nim szalały. Był wybitnym wspinaczem.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Wyszyłam mu napis na swetrze: „Jestem wielki”. Nie chciał nosić tego swetra.

Aleksander Lwow w swojej autobiografii *Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później* pisze o Kęsickim: „Trudno powiedzieć, czy bardziej był admirowany i po cichu uwielbiany przez nas, początkujących skałolazów, czy przez kobiety, które najwyraźniej traciły głowę w jego obecności”.

Miał dwadzieścia pięć lat.

Nim wyruszył, powiedział koledze: „Jakby co, zajmij się psem”.

Tym kolegą był Janusz Fereński, wrocławski himalaista, kierownik wyprawy na Broad Peak.

Nim wyruszył, mówi Anna-Maria, powiedział Elżbiecie Riper, jej mamie: „Kochaj ją podwójnie”.

Nim wyruszył, napisał Marek Rymuszko w reportażu *Cień wielkiej góry*, powiedział do Fereńskiego: „Wiesz, coś mi się wydaje, że ja chyba nie wrócę”.

Trzecia śmierć

„Nie mamy nic do jedzenia ani do picia. Wiemy, że obaj jesteśmy odmrożeni. Siedzący głębiej Janusz (Kulisiewicz – przyp. red.) zasypia. Ja od czasu do czasu wołam do Andrzeja i Marka, niestety bez odpowiedzi. Całą noc trwa zawieja.

Gdy się trochę rozwidnia, zaczynamy schodzić w dół, rozglądając się w poszukiwaniu kolegów i zgubionego przez Kulisia czekana. Czekan tkwi wbity w śnieg około 100 m od naszego biwaku. Jeszcze niżej dostrzegamy ciemny kształt, niewiele wystający ze śniegu. Po dojściu do niego stwierdzamy z przerażeniem, że to Andrzej

Sikorski. Konstatujemy widoczne obrażenia oraz brak akcji serca, mimo to przez dłuższy czas robimy sztuczne oddychanie i próby masażu. Niestety bez rezultatu. W tym czasie pogoda poprawia się. Korzystając z przejaśnienia, postanawiam zejść szybko w dół po aparat tlenowy. Po chwili Janusz woła do mnie, że Andrzejowi nic już nie jest w stanie pomóc. W tej sytuacji obaj schodzimy w dół – z marszu penetrując stok w poszukiwaniu Marka Kęsickiego. Daremnie jednak” – wspomina w „Taterniku” Kazimierz Głazek.

Andrzej Sikorski pochodził z Dzierżoniowa, ale mieszkał w Warszawie. Miał dwadzieścia siedem lat, żonę, córkę i dwa zawody. Kiedy skończył ekonometrię, doszedł do wniosku, że nie wie, co po tym można robić. Namówił kumpla z roku, żeby zdawał z nim na dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Razem zdawali, razem się uczyli, razem mieszkali podczas studiów.

Marian Sajnog: – Dziś byłby wybitnym dziennikarzem. Był poliglota, mówił po rosyjsku, jak my wszyscy, ale też po angielsku, niemiecku i francusku. Dzięki temu na wyprawie rozwiązywał wiele trudnych sytuacji, kiedy trzeba było coś załatwić, kogoś przekonać.

Nie zdążył zaistnieć jako dziennikarz. Zdążył napisać wiele artykułów do nieistniejącego już tygodnika „Życie Gospodarcze” i zostać sekretarzem redakcji studenckiego międzywydziałowego „Merkuriusza”.

Tuż przed wyjazdem na Broad Peak, jak nieżyjący już Janusz Fereński wspominał w rozmowie z Edytą Bryłą, dziennikarką wrocławskiej „Gazety Wyborczej” (15 stycznia 2016 roku), Andrzej Sikorski, pochylając się nad łóżeczkiem córki, powiedział: „Dorotko, będziesz sierotką”.

Marek Rymuszko, redakcyjny kolega Andrzeja Sikorskiego z „Życia Gospodarczego”, napisał w swoim reportażu, że krótko przed odlotem, podczas pracy nad tekstami, Sikorski zapytał, czy „w razie czego” koledzy zaopiekują się jego żoną i córką.

Dużo znaków, jak na jedną wyprawę. Ale gdyby poszukać, okazuje się, że większość nagłych śmierci poprzedzona jest znakiem. Proroczym snem, dziwnym przecuciem, lękiem.

Trzeba też dodać, że w 1990 roku, krótko po wydaniu *Cienia wielkiej góry*, Marek Rymuszko został współwłaścicielem i redaktorem naczelnym „Nieznanego Świata”, miesięcznika zajmującego się astrologią, parapsychologią, jasnowidzeniem i innymi niezwykle obszarami życia.

Poszukiwania

Marian Sajnog, ojciec dwójki dzieci: – Chcieliśmy założyć fundusz dla żon i dzieci kolegów, którzy zginęli, ale okazało się, że nie możemy się skontaktować ani z żoną Andrzeja Sikorskiego, ani z żoną Bohdana Nowaczyka. Obie znikły, odcięły się od środowiska. – Po namyśle dodaje: – Być może było to nam wtedy nawet trochę na rękę.

Nie dlatego, że brakło im współczucia. Po prostu dla większości uczestników wyprawa okazała się traumą. Mimo sukcesu sportowego, zdobycia dla Polski pierwszego ośmiotysięcznika, wrocławianie wrócili z Himalajów przybici.

Śmierć kolegów poruszyła Jana Juskiewicza, uczestnika wyprawy na Broad Peak, na tyle, że wkrótce zrezygnował z dalszego wspinania się w najwyższych górach.

Janusz Fereński mówił „Gazecie Wyborczej”, że nieraz zdarzało się w górach, że człowiek tracił kumpla, ale tylko wtedy trzech naraz.

Dla Sajnoga, uczestnika sześciu wypraw, ta była jedyną, na której zginęli ludzie.

Lwow napisał, że dla wielu wspinaczy to była pierwsza śmierć himalaistów z ich pokolenia.

Ci, którzy z Broad Peak wrócili, co jakiś czas w rozmowach wspominali o pomyśle odnalezienia żon i dzieci Andrzeja Sikorskiego i Bohdana Nowaczyka, ale sprawa wydawała się beznadziejna.

Cud

Aż pewnego dnia, czterdzieści lat po wyprawie, Marian Sajnog przyjechał do Gałkowa na Mazurach. Odwiedził stadninę Ferensteinów, bo chciał się dowiedzieć, czy można by jechać na nartach przełajowych za koniem. Takie pytanie zadał mu kolega, kiedy dowiedział się, że Sajnog zajmuje się tematem narciarstwa biegowego na Mazurach.

– Pan jest goprowcem? – zapytała kobieta, z którą rozmawiał, widząc logo Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego wyszyte na jego polarze.

Przytaknął.

– A tu mieszka dziewczyna, której ojciec zginął na wyprawie w Himalajach. Może pan o nim słyszał? Sikorski. Andrzej Sikorski.

Kiedy Marian powiedział, że nie dość, że słyszał, to znał osobiście, a na dodatek był z nim na tej wyprawie, kobieta krzyknęła:

– Dawać Kangura!

Po chwili ktoś przyprowadził niską, ładnie umięśnioną blondynkę. Dorotę Potocką, z domu Sikorską, nazywaną Kangurem z powodu długiego pobytu w Australii.

Tak znalazło się pierwsze dziecko.

Dorota: – Przyszłam ze zdjęciem i zapytałam Mariana, gdzie na nim jest.

Zdjęcie przedstawia wszystkich uczestników wyprawy. Marian stoi drugi od prawej w trzecim rzędzie. Niewysoki, w kraciastej koszuli i jasnej czapce z daszkiem. Tata Doroty, Andrzej Sikorski, rośły, postawny mężczyzna z krótką brodą, niesamowicie współcześnie, żeby nie powiedzieć hipstersko ubrany, stoi w tym samym rzędzie, drugi od lewej. Obok niego niewyraźny Marek Kęsicki, który w czapce smerfa nie wygląda „obłędnie” ani nawet przystojnie. Bohdan Nowaczyk, ubrany w kraciasty sweter, siedzi jako pierwszy z lewej w środkowym rzędzie. Patrzy w bok, jakby krępowało go zamieszanie związane z fotografowaniem.

– Był cichy, spokojny i mało mówny – wspomina Bohdana Ewa Panejko-Pankiewicz. „Mówił niewiele, ale wspinał się jak ogień” – charakteryzuje go kolega, Jacek „Jabol” Walicki, w autobiografii Aleksandra Lwowa.

Oprócz zdjęcia Dorota przyniosła ze sobą raki, jedną z niewielu pamiątek po ojcu.

Tamtego dnia długo z Marianem rozmawiali. O Broad Peak, o licznych przygodach podczas przygotowywania wyprawy, o strajku tragarzy, o tym, jakim dziennikarzem był jej ojciec i jakim mógłby być. Nic bardzo głębokiego, ale same ciekawe rzeczy.

Dla obojga to było ważne spotkanie.

Marian Sajnog: – Napisałem o odnalezieniu Doroty na portalu Ratownictwo Górskie, który prowadzę, i w środowisku zrobiło się niesamowite zamieszanie. Zaraz do Gałkowa przyjechała Edyta Bryła, dziennikarka wrocławskiej „Gazety Wyborczej”, i napisała artykuł o Dorocie, dorosłej kobiecie, matce, szukającej jakichkolwiek informacji o ojcu, którego nie zdążyła poznać.

Wtedy znalazło się drugie dziecko – Krzysztof, syn Bohdana Nowaczyka, pracował w restauracji w Saalbach, w austriackich Alpach.

Ale się ucieszyli!

Marian Sajnog: – Postanowiliśmy zrobić spotkanie, u Doroty, zaprosić wszystkich żyjących jeszcze uczestników wyprawy.

O tym, że planują spotkanie, Marian napisał na blogu.

I wtedy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego: znalazło się trzecie dziecko, którego nikt nie szukał. Bo nikt nie wiedział o jego istnieniu.

Marian Sajnog: – Zadzwoiła pani Anna-Maria i powiedziała, że jest córką Marka Kęsickiego.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Do mnie zadzwonił wrocławski kolega, powiedział, że znalazła się córka Marka, która chce się jak najwięcej dowiedzieć o ojcu, nie poznała go i że trzeba jej wysłać książki. Poprosił Alka Lwowa o egzemplarz jego biografii, bo Alek kilkakrotnie wspomina tam o Marku.

Lwow: „Alpinista wybitny i przystojny zarazem, a taki właśnie był Marek Kęsicki, w zasadzie nie powinien rozstawać się z kijem służącym do odganiaania natrętek. Niektóre damsko-damskie konflikty trwały dłużej niż życie łojanta, który był ich powodem”.

Marian Sajnog: – Byłem z Markiem na wyprawie, wydaje mi się to nieprawdopodobne. Przecież wszyscy mieliśmy wtedy małe dzieci, komuś by powiedział.

Anna-Maria: – Nie muszę nic nikomu udowadniać.

Marian Sajnog: – Pamiętam jej matkę. Była zwinna w górach. Pracowała chyba jako przewodniczka, potem w schronisku w Beskidach. Może wtedy poznali się z Markiem?

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Pierwszą połowę lat siedemdziesiątych, od czerwca do pierwszych śniegów, spędzałam na taborisku w Morskim Oku. No przecież bym wiedziała! Myśmy tam wszystko o wszystkich wiedzieli, kto co robi, z kim, jakie są przytaterniczki, jakie dziewczyny. A jeśli mama pani Anny-Marii pracowała w schronisku, to już w ogóle to by było niemożliwe! Przecież Dziunia Łapińska, szefowa schroniska, ciągle powtarzała: „Panowie taternicy, nie wolno zadawać się z kredensem!”. Bardzo dbała o przyzwoitość. Pani wie, że ona kazała się wszystkim golić? Nieogolonym nie dawała wrzątku.

Anna-Maria powie, że mama nie pracowała w schronisku, tylko w informacji turystycznej na Włosienicy. I powie jeszcze:

– Słyszę, że mam jego oczy. Dwie osoby, które znały tatę, tak mi powiedziały.

Marian Sajnog: – To prawda, widziałem zdjęcia, jest bardzo do Marka podobna.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Z dziewczynami robiłyśmy chłopakom przed wyjazdem rękawice na drutach. Hania Gos wtedy się Markiem opiekowała, przecież byśmy wiedziały o takiej sprawie!

Anna-Maria: – Ja nic od nikogo nie potrzebuję. Wystarczy, że ja wiem, że jestem Kęsicka.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – No chyba że Marek sam nie wiedział, że ma dziecko, bo i tak przecież mogło być.

Anna-Maria ma oczy Marka Kęsickiego i umysł ścisły, o którym mówi: – Rzadko spotykany u kobiet. Jestem pewna, że mam to po tacie.

Ma więc oczy i umysł. Nie ma, i nie będzie miała, żadnego twardego dowodu na pokrewieństwo, nawet dowodów poszlakowych, jak listy miłosne czy zdjęcia rodziców w romantycznych pozach. Badań DNA, nawet gdyby chciała, zrobić nie można, bo nie ma materiału do porównania.

Podobno Marek miał siostrę, podobno wyjechała do Kanady. Dopóki się nie odnajdzie, nie będzie żadnych krewnych, z którymi można by porównać krew.

Ale czy trzeba?

Tak jak nie można potwierdzić, że Ania jest córką Marka, dziś niemal dwukrotnie starszą niż on, kiedy zginął, tak nie można wykazać, że nią nie jest. Anna-Maria przypomina Anastazję Romanową, kobietę, która w 1920 roku odnalazła się w Berlinie, mówiąc, że jest córką Mikołaja II, ostatniego cara Rosji, cudem ocalałą z urządziwej rodzinie rzezi. I tak, jak w przypadku Anastazji, część środowiska przyjmuje jej słowa, część ma wątpliwości.

Miejsce

Każde z odnalezionych dzieci inaczej umościło się w środowisku himalaistów.

Dorota utrzymuje stałe kontakty z Marianem Sajnogiem. Więcej, nazywa go drugim tatą. Organizuje w prowadzonym z mężem, Aleksandrem Potockim, pensjonacie w Gałkowie spotkania z ludźmi gór, nie tylko z tymi, którzy wspinali się z jej ojcem.

Sama człowiekiem gór nie jest. A w każdym razie nie tylko. Liczą się dla niej konie, żagle, nurkowanie, windsurfing, rower. Kiedy raz potężnie pokłóciła się z mężem, wyszła z domu, wsiadła na rower i w złości przejechała sto dwadzieścia kilometrów.

– Jak jestem zła, muszę się zmęczyć. A wtedy byłam wściekła. Zostawiłam w domu pieniądze i komórkę i postanowiłam pojechać

do Warszawy. Zawrócił mnie dopiero Marian, do którego po pomoc zadzwonił mój mąż.

Marian Sajnog: – Jechałem autobusem do Gałkowa, wiedziałem, że Dorota jest gdzieś koło Różana. Stałem koło kierowcy i mówię: panie, koledze żona z domu uciekła, muszę ją znaleźć. Jak zobaczę dziewczynę na rowerze, pan się zatrzymasz.

W sumie nie wiadomo, czemu Marian nie powiedział kierowcy autobusu, że szuka córki, dodatkowej córki, która uciekła od męża. Może wtedy kierowca byłby mniej chętny do pomocy?

W każdym razie udało się zmęczoną Dorotę w Różanie znaleźć, a to najważniejsze.

Krzysztof, który mieszka w Jeleniej Górze, poświęcił miesiąc życia na zagłębienie się, po uszy, po czubek głowy, w świecie ojca.

– Skończyłem sezon w Saalbach i przyjechałem do Polski. Najpierw do Gałkowa, gdzie poznałem Dorotę. Potem do Warszawy. Wynająłem na miesiąc mieszkanie z widokiem na miasto i zacząłem się spotykać z ludźmi, którzy znali mojego ojca. Obejrzałem film Andrzeja Skoczylasa z wyprawy na Broad Peak. W kolorze. Poznałem Krzysztofa Wielickiego. Otworzyłem trochę oczy. Jak dręczyły mnie jakieś pytania, dzwoniłem, do Sajnoga, do Wielickiego, do Skoczylasa.

I to mu właściwie wystarczyło. Na co dzień nie utrzymuje kontaktów z himalajskim światem. Chodzi po górach, ale nie wspina się, bardzo dużo pracuje.

– W tym roku mamy spotkanie z okazji czterdziestopięciolecia wyprawy, powiedziałem, że na pewno będę.

Anna-Maria mieszka na wsi niedaleko Limanowej. Raz na jakiś czas czuje zew, uważa, że wzywa ją wiatr. Musi wtedy rzucić wszystko i iść na szczyt.

– My, urodzeni w górach, tak chyba mamy. Moja mama potrafiła wyjść po chleb i wrócić po tygodniu, bo ją naszło, żeby się wspinać. Z tatą wstawali o trzeciej w nocy, robili drogę na Kazalnicy, a rano mama, jak gdyby nigdy nic, stawiała się do pracy w schronisku.

Dziadek? Miał kosić, ale rzucał robotę w cholerę i szedł w góry. To atawizm.

Anna-Maria nie utrzymuje kontaktów ze środowiskiem wrocławskich himalaistów, z którego wywodził się Marek Kęsicki. Może dlatego, że wie, że nie wszyscy ją akceptują.

Prawda jest taka, że nie utrzymuje też bliskich kontaktów ze swoimi sąsiadami, jakoś z ludźmi jej nie po drodze. Jest bardzo osobna, jak dziki kot dachowiec, który zimą może zatęsknić za ciepłem i bliskością, ale przez większość czasu lubi chodzić po własnych płotach i dachach, nie oglądając się na ludzi z miseczką wypełnioną whiskasem.

Czy byłaby bardziej oswojona, gdyby знаła ojca?

Czy byłaby inna?

Gdzie byli Krzysztof, Dorota, Anna-Maria i ich matki przez czterdzieści lat od tragedii na Broad Peak?

Czterdzieści lat wcześniej

Informację o śmierci trzech himalaistów polskie gazety podały dopiero 13 sierpnia. Dwa dni później powtórzyły ją zagraniczne agencje.

Co było dalej?

Teresa, mama Doroty, wyjechała z malutką córką do Australii.

Mama Krzysztofa Nowaczyka urwała kontakty ze wszystkimi znajomymi Bohdana. Synka wysłała na wieś, do rodziców zmarłego męża.

Elżbieta, mama Anny-Marii, góralka, taterniczka, zrzuciła z Kazalnicy do Czarnego Stawu cały sprzęt, którego używała, wspinając się z Markiem Kęsickim.

Z rajskiej wsi do miasta

Rodzice Krzysztofa poznali się na studiach, na informatyce. On pochodził z Zalesia, idyllicznej, we wspomnieniach syna, wioski położonej jakieś sto osiemdziesiąt kilometrów od Wrocławia, ona z Jeleniej Góry. Oboje lubili góry. Ona turystycznie, on wspinaczkowo.

Nic więcej o ich relacji, pierwszych randkach, zaręczynach, ślubie i weselu Krzysztof nie wie. Krótkie pierwsze małżeństwo jego mamy było w rodzinie tematem tabu.

W rodzinie. Całej, nie tylko w domu.

Po tragedii na Broad Peak Krzyś trafił do dziadków, rodziców taty, do bajkowego Zalesia.

Dziś postawny, mocno zbudowany i soczyście wytatuowany chłop mięknie, ilekroć wspomina idylliczne dzieciństwo na wsi. Gonienie prosiąt, uciekanie przed kurami, pola ciągnące się po horyzont – dziecięcy raj.

Babcię i dziadka brał za swoich rodziców, nie rozumiał więc, o co chodzi, kiedy któregoś dnia na progu stanęli eleganccy państwo i powiedzieli, że to oni są jego rodzicami.

I że zabierają Krzysia do domu.

Z raj.

Od kur, gęsi, pól po horyzont bezpiecznego, znajomego bezkresu do brudnego, hałaśliwego Wrocławia.

Płakał.

Eleganccy państwo to była jego mama i ojczym, przedstawiony Krzysiovi jako tata. Poznali się w kawiarni, było romantycznie i tyle o tym Krzysztof umie powiedzieć.

Tym razem nie dlatego, że to temat tabu, po prostu nigdy nie zapytał.

– Ojciec, to znaczy ojczym, był monterem-spawaczem. Zwykły człowiek, ciepły, otwarty, naprawdę świetny. Przekazał mi swój kodeks moralny.

Ojciec/ojczym wychował się w trudnej dzielnicy. Być może tej, o której Lech Janerka śpiewa: „strzeż się tych miejsc”. W tej

dzielnicy, jak mówi Krzysztof, żeby przetrwać, trzeba być twardym. I przestrzegać zasad, które na szczęście są proste: nie bij tego, co nie potrzeba, nie kapuj, broń swoich, broń swojego. „Swoich” ludzi i „swojego” dobra.

Krzyś przyjął zasady ojca. Bo kiedy już zrozumiał, że dziadek jest jego dziadkiem, zaakceptował fakt, że elegancki pan, mąż mamy, jest jego tatą.

Miał siedem lat, kiedy rodzice powiedzieli mu, że jednak jest inaczej. Że jego ojciec nie żyje, a mama wyszła drugi raz za mąż i ten drugi mąż jest jego ojczymem.

– Rodzice czekali, aż nabiorę rozumu, i wtedy mi powiedzieli. Za pierwszym razem nie rozumiałem. Nie zajarzyłem w ogóle, o co chodzi.

Po trzech, może czterech latach spróbowali jeszcze raz.

Nadal nie rozumiał. I nadal nie wierzył. Ale powoli, stopniowo, coś zaczęło do niego docierać. Wtedy zadał mnóstwo pytań. Kim był jego pierwszy ojciec? Jaki był? Co się z nim stało? Gdzie? Dlaczego? Jak?

Zadawał pytanie, a mama płakała.

Zorientował się, że dziadkowie, jego pierwsi rodzice z bajkowego Zalesia, są rodzicami jego pierwszego taty. Zadawał więc te same pytania im. Ale oni też płakali.

– Byłem ich oczkiem w głowie. A ojciec był ich jedynym synem. Ilekroć go wspominałem, cierpieli.

Krzyś nauczył się nie wspominać i nie pytać.

Kiedy miał trzynaście lat, zaczął palić. Zakumplował się z chuliganami.

Cały czas pamiętał kodeks moralny, jaki wpoił mu trzeci ojciec. Nie bij tego, co nie potrzeba, nie kapuj, broń swoich, broń swojego. Bo nic między nimi się nie zmieniło.

Kiedy miał piętnaście lat, zdał egzaminy do liceum. Potem mu się odwidziało. Liceum? Po co?

Mama powiedziała: – Idź na kucharza, to nigdy nie będziesz głodny.

Poszedł do zawodówki gastronomicznej.

Przy każdej okazji uciekał z Wrocławia. Do dziadków w ukochanym Zalesiu. Do ciotki w Jeleniej Górze. Dokądkolwiek, byleby był bezkres.

U dziadków na strychu znalazł trochę rzeczy ojca. Podręczniki, jak zostać dzudoką, książki o modelarstwie, stare karabinki.

Zaczął ćwiczyć sztuki walki.

Zaczął budować modele.

Powiedział, że chce się wspinać.

Rodzice powiedzieli, że nie ma mowy.

Powiedział, że chciałby pływać na żaglach.

Nie ma mowy.

Zaczął się pasjonować Azją, bo Himalaje, bo dżudo, bo jakby bliżej ojca. W azjatyckich klimatach został na dziesięć lat, zmieniając tylko kuchnie – z chińskiej na wietnamską i odwrotnie.

Po szkole wyprowadził się do Łodzi, gdzie dostał tę pracę w chińskiej restauracji. Rok bez kumpli ze złej dzielnicy postawił go na nogi.

– Kiedy przyjechałem do Wrocławia, okazało się, że z dawnej ekipy dwóch nie żyje, trzech siedzi, jeden jest na odwyku.

A on żył, nie ćpał, nie siedział.

Z kontynentu na kontynent

Teresa Długokęcka i Andrzej Sikorski poznali się w warszawskim klubie Medyka na Oczki. W miejscu debat, dyskusji i szalonych imprez. Mieli co najmniej jeden wspólny temat: oboje się wspinali. Andrzej w górach, Teresa w skałkach.

On był inżynierem i humanistą, ona podwójną lekarką.

Teresa pochodziła z rodziny medyków: ojciec był ordynatorem w dużym warszawskim szpitalu psychiatrycznym, siostra psychiatrą, mama księgową na psychiatrii.

Ona sama miała dwie specjalizacje: z psychiatrii i anestezjologii.

O ile anestezjolog ma do czynienia głównie z pacjentem nieprzytomnym, to w pracy psychiatrii język jest bardzo ważny, bo ważna jest rozmowa. Gdy trzeba postawić diagnozę, stwierdzić, czy

pacjent ma zaburzenia depresyjne, czy tylko przejściowe obniżenie nastroju, liczą się niuanse językowe.

A jednak kilka miesięcy po śmierci męża Teresa spakowała siebie i dziecko i wyjechała na drugi koniec świata: do Australii.

Nostryfikowanie polskich dyplomów zajęło jej kilka lat. Dorota nie pamięta, gdzie mama znalazła pierwszą pracę, na pewno nie w zawodzie. Było ciężko.

Na tyle ciężko, że wkrótce znów wyjechały na inny kontynent – tym razem do Republiki Południowej Afryki, gdzie Teresa mogła pracować jako lekarka.

Stamtąd ponownie wróciły do Australii, która na kolejne parę lat stała się ich domem.

Czy Australia, czy RPA, dla Doroty Sikorskiej angielski był pierwszym językiem.

Mama bardzo dużo pracowała i miała mało czasu dla córki, nie było okazji do nauki polskiego. Dorota albo siedziała w szkole, albo w stajni. Wcześniej zaczęła jeździć konno i wcześniej pokochała konie.

Miała dziewięć lat, kiedy zaczęła trenować jeździectwo na poważnie. Jeździła w stadninie w Perth, czwartym co do wielkości australijskim mieście, położonym nad Oceanem Indyjskim.

Miała jedenaście lat, kiedy nagle wróciły do Polski.

I niecałe trzynaście, gdy mama umarła. Przed śmiercią napisała do Doroty list. Były w nim wskazówki, jak córka ma postępować.

– Mama napisała, żebym jak najszybciej wyjechała z Polski, najlepiej wracała do Australii. I jeszcze jedno krótkie zdanie: „Nie wierz w to, co ludzie mówią o Twoim ojcu. On był złym człowiekiem”.

To dziwne, ale Doroty te słowa nie poruszyły. Może dlatego, że dotyczyły człowieka, którego w ogóle nie знаła? Ojciec był dla niej abstrakcją, zwłaszcza że mama niewiele o nim mówiła.

A może dlatego, że od razu po przeczytaniu listu uznała, że przez mamę przemawiały złość i żal. W końcu mąż zostawił ją samą z malutkim dzieckiem, żeby realizować siebie.

Z takich czy innych powodów nigdy nie potraktowała tych słów poważnie. Nigdy nie pomyślała, że mogło chodzić o coś innego niż o żal, że poszedł w góry i zginął.

– Chociaż... Kolega taty, który mieszkał z nim w czasie studiów dziennikarskich, wspomniał w rozmowie ze mną, że on źle mamę traktował, odnosił się do niej z lekceważeniem. Nie był, krótko mówiąc, najwspanialszym mężem. Może o to miała żal, a nie o góry?

Ze schroniska do schroniska

Góralka Elżbieta Riper, urodzona i wychowana w Zakopanem, rozwiodła się krótko przed tragedią na Broad Peak.

Były mąż, po zaprzeczeniu ojcostwa, dał Annie-Marii swoje nazwisko. Kiedy Ania miała trzy lata, Elżbieta wyjechała z nią z Zakopanego. Objęła schronisko w Beskidzie Niskim. Potem kolejne, w Beskidzie Sądeckim. Aż wreszcie przeniosła się do Doliny Chochołowskiej.

Związała się z chemikiem z Krakowa, do którego Anna-Maria zwracała się „tatinku”.

– Myślałam, że to on jest moim ojcem – mówi. Pierwszego męża matki nie pamięta.

Kiedy miała siedem lat, mama poszła z nią do szałas, który wynajmowała na Molkówce, polanie na obrzeżach Tatrzańskiego Parku Narodowego. Powiedziała, że Anna-Maria jest córką Marka Kęsickiego, obłądnie przystojnego wrocławianina, z którym wspinała się w Tatrach. Razem zrobili wiele dróg, między innymi na Kazalnicy (to dlatego właśnie z niej zrzuciła używany wspólnie z Kęsickim sprzęt).

– Do dziś pamiętam tę rozmowę i widok na Giewont, tak pod kątem.

Siedmiolatka przyjęła to spokojnie.

Może dlatego, że jej życie już wcześniej było pełne zmian?

Co chwila przeprowadzka, nie tylko do nowego domu, ale do nowej miejscowości, regionu. Życie w górskich schroniskach

oznacza piękną okolicę, ale często fatalny dostęp do infrastruktury. Do sklepu, do wsi, w której mieszkają przyjaciółki z klasy, do szkoły.

– Do szkoły mieliśmy dziesięć kilometrów piechotą, głównie przez las. Ale to było wspaniałe, nigdy się lasu nie bałam. Miasta tak, do dziś w mieście czuję się niepewnie. Ale kiedy szłam przez las i widziałam rydza, to wiedziałam, że to jest mój rydz. Bo wracając ze szkoły, będę mogła go zerwać. Nikt inny go nie znajdzie.

Przy jednej z przeprowadzek Anna-Maria zgubiła się systemowi oświaty. Nie zauważono, że dziecko wymeldowane z jednego obwodu szkolnego nie pojawiło się w żadnym innym. Zamiast szkoły Annę-Marię zaczęły uczyć świat, przyroda, a wkrótce internet.

A ona, dyslektyczka, nadwrażliwiec, źle znosząca szkolny reżim, nigdy tego nie pożalowała.

Skorupa bez serca

Dorota po śmierci mamy zamieszkała z babcią. Babcia i ciocia, siostra mamy, to była cała jej rodzina.

To babcia, wdowa po ordynatorze oddziału psychiatrycznego dużego warszawskiego szpitala, zapisała ją na jazdę konną na warszawskiej Legii.

Konie, treningi – to był cały świat Doroty. Któregoś dnia do stajni przyszedł dawny zawodnik Legii, Krzysztof Ferenstein, założyciel stajni w Gałkowie. Popatrzył na trenujące dzieci, wyszedł. Powiedział potem żonie: – Wiesz, jest tam dziewczynka, dobrze jeździ, ledwo mówi po polsku, ale klnie jak szewc.

Dorota: – Z polskim jakoś sobie radziłam, dramatem był dla mnie rosyjski, nigdy wcześniej nie widziałam bukw i byłam pewna, że nad nimi nie zapanuję.

Rosyjskiego i polskiego uczyła się niecałe pięć lat.

Krótko, bo po szesnastych urodzinach postanowiła zrobić to, o co prosiła ją mama: wyjechać z Polski. Tak długo truła babci, że ta zgodziła się kupić jej bilet lotniczy do Australii.

– Musiałam być bardzo przekonująca – wspomina z pewnym zdziwieniem.

Babcia kupiła jej bilet i dała trochę pieniędzy.

Trochę.

Prosto z lotniska Dorota pojechała do Perth, do stadniny w mieście nad brzegiem oceanu, w której kilka lat wcześniej uczyła się jeździć. Pamiętali ją. Dali pracę w stajni i pokój.

– Pracowałam pół roku, a potem za oszczędności wynajęłam mieszkanie i poszłam do szkoły.

W wakacje znów pracowała przy koniach. Szkoliła się, została instruktorką jazdy. Czasem głodowała.

Edycie Bryle z „Gazety Wyborczej” opowiedziała, jak zdawała egzamin i nie mogła się skupić na zadaniach, bo na podłodze leżał zgubiony przez kogoś banknot. Była głodna i przeliczała w myślach wartość papierka na ilość jedzenia, jakie będzie mogła kupić. Będzie mogła, jeśli to ona pierwsza banknot podniesie.

Musiała być twarda, skoro mając szesnaście lat, umiała sama o siebie zadbać. A Australia i samodzielne życie jeszcze ją utwardziły.

– Zaraz po przyjeździe poszłam popatrzeć na dom, w którym z mamą wcześniej mieszkaliśmy. Był pusty. Wtedy zrozumiałam, że dom to tylko skorupa, rzecz pozbawiona ciepła i znaczenia. Zrozumiałam, że mamy naprawdę nie ma i że muszę sobie radzić sama. A nie poradzę sobie, oglądając się za siebie.

Dorota zaczęła patrzeć tylko w przód. I niczego nie żałowała. Bo po co? Skoro i tak nic by to nie dało.

Podróże

Po osiemnastych urodzinach Krzysztof dostał od rodziców teczkę z dokumentami dotyczącymi Bohdana. Legitymacja studencka, list, pocztówka, wycinki z gazet.

– Otworzyłem. Przejrzałem kilka papierów, wzruszyłem się, zamknąłem. Po roku znów otworzyłem. I znów kilka rzeczy, wzruszenie, koniec. Nie byłem gotowy, żeby zmierzyć się z tym na raz. Dziesięć lat mi zajęło, żeby obejrzeć wszystko.

Teczkę wozi ze sobą wszędzie, a dużo podróżuje. Często zmienia pracę. Najdłużej w jednym miejscu usiedział trzy lata. Nie dlatego, broń Boże, że było to miejsce dobre i wygodne. Po prostu zacisnął zęby, zawział się, że wytrzyma, bo zależało mu, żeby skończyć szkołę średnią. Skończył.

A potem znów zaczął skakać. Niemcy, Austria, piętnastopokładowy statek rejsowy z międzynarodową załogą.

– Żeby dostać się tam do pracy, wcześniej pojechałem na kurs językowy na Malte, bo na statku trzeba było znać co najmniej dwa języki. Pracowałem na dwunastym pokładzie, a mieszkałem poniżej poziomu morza.

Wrócił i znów Niemcy, Austria... Czemu tak często zmienia pracę?

– Bo ja się nigdy nie godziłem, żeby mi szef wszedł na głowę. Umawiamy się na siedemset złotych, przychodzi dzień wypłaty, a szef rozkłada ręce: no, nie mam. Wziąłem worek na śmieci, napakowałem do niego rzeczy za siedem stów i wyszedłem. I wie pani co? Zapłacił mi i jeszcze zaproponował, żebym został szefem zmiany. Albo inny szef. Turek, w Niemczech. Miał samochód za pół miliona, hotel i trzy restauracje pod Norymbergą. Zatrudnił nas, trzech Polaków, za dziewięćset euro. Wtedy średnia pensja wynosiła tysiąc dwieście, ale my nie znaliśmy języka, więc oferta była uczciwa. Po miesiącu rozkłada ręce: no, nie ma. W nocy się spakowaliśmy, graty do samochodu. Następnego dnia przyszliśmy do pracy, odczekaliśmy, aż będzie największy ruch, i wszyscy trzej, a więcej kucharzy nie miał, wyszliśmy z restauracji. Dzień później założyliśmy mu sprawę w sądzie. Wygraliśmy. Nie dość, że zapłacił, to jeszcze musiał nam listy polecające napisać.

Krzysztof nie ma wątpliwości, że to, że nie pozwoli nikomu, w tym żadnemu szefowi, wejść sobie na głowę, jest efektem oddziaływań wychowawczych ojca/ojczyma, który przekazał mu swój prosty kodeks moralny.

Powroty

Po maturze Dorota Sikorska poczuła, że tęskni za Polakami. Nie za krajem, ale właśnie za ludźmi, za ich otwartością i fantazją. W Australii życie było bardzo wygodne, ale wydawało jej się powierzchowne. Polska z jakiegoś powodu kojarzyła się z głębszymi relacjami, ciekawszymi przygodami.

Jednocześnie w Australii, kraju imigrantów, przybyszy z Europy odciętych od przodków i dzieci odebranych rdzennym mieszkańcom, modne było poszukiwanie korzeni.

Każdy chce wiedzieć, skąd pochodzi. A jeśli nie wie, jeśli z jakiegoś powodu szczególnie trudno mu się dowiedzieć, szuka tym wytrwalej, tym głębiej zagląda, próbując znaleźć jakiegokolwiek ślady.

Zarażona modą, czy raczej potrzebą, Dorota też zaczęła drążyć. I odkryła, że niewiele wie.

Zrobiła sobie popularny na Zachodzie *gap year* – roczną przerwę między maturą a studiami. Pojechała do Gałkowa, do stadniny Ferensteinów.

– I Krzysztofa, i Karolinę znałam z zawodów jeździeckich. Legia to klub wojskowy, nie wystawiał na zawody dziewczyn, nawet dobrze jeżdżących, ale brałam w nich udział, jako luzak, pomocnik jeźdźca. Wtedy poznałam Karolinę Ferenstein i Alexandra Potockiego, jej ówczesnego chłopaka.

W Gałkowie, wśród koni, łąk, blisko bajecznie pięknej płytkiej Krutyni, spędziła cudowny rok i wróciła do Sydney na studia. Skończyła inżynierię lotniczą (– Czemu? Nie pamiętam. Wtedy mnie to interesowało), zakochała się w Alexandrze, który nie był już chłopakiem Karoliny.

Dziecko, ślub, drugie dziecko, powrót do Gałkowa, tym razem na swoje, bo Dorota i Alexander kupili i przenieśli ze wsi Sztynort drewniany dom, dawny Dwór Łowczego. Wyremontowali go i zamienili w restaurację z małym pensjonatem.

Dzieci przez las szły do wiejskiej szkoły, goście dopisywali, konie czekały po drugiej stronie drogi.

Bajka.

Ale...

Gdzieś pod skórą Dorotę wciąż uwierała drzazga. Mała, ale irytująca.

Mąż, syn niemieckiej dziennikarki i polskiego hrabiego, miał doskonale udokumentowaną historię rodziny.

Drzewo genealogiczne sięgające niemal do Noego i mnóstwo źródeł, z których mógł czerpać informacje oraz anegdoty o przodkach.

A ona?

Co mogła opowiedzieć swoim synom o ich dziadku po kądzieli?

Że miał dwa zawody i lubił się wspinać?

Męczyło ją, że nic o ojcu nie wie.

Co lubił? Czego nie znosił? Jakie miał powiedzonka?

– Najbardziej interesowały mnie drobiazgi. Okazało się, że nie mogę do nich dotrzeć. Babcia ze strony taty wcześniej umarła, dziadka widziałam raz, jak byłam mała. Potem ponownie się ożenił i nowa żona nie ułatwiała naszych kontaktów. Trochę opowiadała mi siostra mamy, trochę babcia, ale one niewiele wiedziały. Rodzice nie byli ze sobą długo przed ślubem. Alexander o swojej rodzinie wie dużo, ja prawie nic. To czasem było dla mnie jak ta drzazga.

Chcąc pomóc, teściowa Doroty, Renate Marsch-Potocka, niemiecka dziennikarka pracująca w Polsce, umówiła ją z Januszem Onyszkiewiczem, politykiem, ministrem, himalaistą. Choć Onyszkiewicz znał jej tatę, ze spotkania Dorota niewiele wyniosła. Tyle może, że tata przez znajomego lekarza załatwił, że więźniowie w zakładzie karnym uszyli chłopakom na wyprawę kombinezony.

Fajna anegdota. Nic więcej.

Jak radziły sobie pozostałe dzieci?

Każde w życiu sporo się najeździło.

Dorota jako dziecko i nastolatka, spektakularnie, po kontynentach.

Krzysztof w dorosłości, po Europie i międzynarodowych wodach.

Anna-Maria po Polsce, od schroniska do schroniska. Ale i świata liźnęła. Wyjechała do Włoch. Pracowała w Toskanii, a na północy kraju skakała po Alpach. Wyszła za mąż. Urodziła syna, Alberta. Rozwiodła się, zachowując włoskie nazwisko. Wróciła do Polski,

kupiła dom we wsi nieopodal Limanowej, ze słabym internetem i wielkim kawałem ziemi.

Ma psy, koty, owce, kozy, sad, owoce i warzywa pod folią. Ciężko pracuje. Latem lubi spać w altanie na polu, prawie pod gołym niebem, z widokiem na gwiazdy. Lubi to miejsce, choć wciąż tęskni za pierwszym domem w Zakopanem:

– Za zapachem rozgrzanego granitu, za kosówkami. Za innym brzmieniem kruczego „kra”. Bo jak kraczą nad doliną, to jednak dźwięk niesie się inaczej niż w górach.

Długo szukała swojego miejsca w świecie, a jeszcze dłużej siebie w nim.

Odkryła Boga, co przyniosło jej spokój. Ale nie był to Bóg polski, podhalański dobry pasterz i ojciec. To był surowy, dosłownie rozumiany Bóg biblijny, który oczekiwał dobrej znajomości nie tylko Nowego, ale także Starego Testamentu.

Zostały jej imponująca znajomość Pięcioksięgu i potrzeba poznania Prawdy, czegoś, co Anna-Maria nazywa cukrem w cukrze, sednem Boga, i o czym rozmowa jest dosyć trudna dla osoby, która nie jest bardzo otwarta na metafizykę.

A nie każdy jest.

Dziesięć lat temu, szukając swojego cukru w cukrze, wiedzy o tym, jak poznać Prawdę, Ania obejrzała w internecie film, który odmienił jej życie. Jak wcześniej wiara w Boga.

Otworzył jej oczy na prawdę, którą światowe rządy próbują ukrywać: o spiskach, o szczepionkach, o kształcie Ziemi.

Anna wie, że jej poglądy nie są mainstreamowe, a jej Facebook, zachęcający do naturalnych metod leczenia, obśmiewający szczepienia i ogólnoświatową panikę przed wymyśloną koronawirusową pandemią, krytykujący telewizję, partie polityczne, żydowskie spiski, może zniechęcać do bliższego jej poznania. Ale ma to w nosie. Jest, kim jest. Wie, jaki jest świat, i nie zamierza tego ukrywać. Ani kreować się na nikogo.

– Kiedyś dużo kłamałam, bo tak mnie wychowano. Ale życie bez kłamstwa jest dużo prostsze. A że nie każdy mnie lubi? Nie szkodzi.
– Wzrusza ramionami.

I nie wiadomo do końca, co Anna-Maria, córka Elżbiety, miała na myśli.

Ojcowie

„Na szczycie stajemy około 19.15–19.30. Zostawiamy poniżej w kamieniach przygotowaną wcześniej puszkę z nazwiskami i ze względu na zamieć kierujemy się z powrotem w dół. Wierząc, że załamanie pogody jest krótkotrwałe, obiecujemy sobie wrócić tu za dzień lub dwa, aby zrobić zdjęcia ze szczytu” – pisał Kazimierz Głazek w swoim artykule w „Taterniku”.

Jak wiemy, nie wrócili. Nie zrobili zdjęć ze szczytu.

Jeden miał dwadzieścia pięć lat, był „obłądnie” przystojny i chciał zająć się pracą naukową. Może miał malutką córeczkę, o której może wiedział, a może nie.

Drugi miał dwadzieścia siedem lat i mógł zostać wybitnym dziennikarzem. Miał córkę, której wkrótce umarła mama, więc dziecko zostało sierotą.

Trzeci miał dwadzieścia osiem lat, wspinał się „jak ogień” i nie chciał więcej jeździć na wyprawy. Miał syna, który przed jego wyjazdem jeszcze nawet nie zaczął siadać.

Jedna wyprawa. Nawet nie na najwyższy pik, nie to, że na świecie, ale nawet na tej jednej górze. Trzy samotne matki. Troje dzieci wychowujących się bez ojców.

Czy było warto? O to każdy może zapytać sam siebie. Bo przecież nie ich, o tyle dziś młodszych od ich własnych, niepoznanych dzieci.

Czy wypada takie pytania stawiać?

A czemu nie?

Dorota Sikorska: – Ja tatę rozumiem. Tę wyprawę przygotowywali ponad dwa lata. W trakcie dowiedział się, że będzie miał dziecko. I co? Miał zrezygnować? Ja bym postąpiła tak jak on. Każdy z nas wyjeżdża rano samochodem, choć zna statystyki dotyczące

wypadków drogowych. Wyjście w wysokie góry wiąże się z dużym ryzykiem, ale każdy myśli, że jest poza tym. Ja to totalnie rozumiem.

Krzysztof: – Ciągłe zadawałem sobie pytanie, a co by było, gdyby nie pojechał, nie zginął? No inaczej się patrzy na swoje życie, na wychowanie.

Anna-Maria: – Całe życie miałam żal. Latami myślałam, że gdyby tata żył, byłoby mi lepiej, uważałam, że wszystko, co złe w moim życiu, wydarzyło się przez to, że go nie ma. Aż w końcu, kiedy uwierzyłam w Boga, pozwoliłam ojcu odejść.

Krzysztof: – Powiem szczerze: myślę, że ojciec był strasznym egoistą.

Dorota: – Śmierć mamy bardzo przeżyłam. Ale ją znałam. Jak mogłam cierpieć z powodu braku ojca, skoro nigdy go nie miałam?

Krzysztof: – Jak mógł zostawić strasznie zakochaną w nim żonę i malutkiego synka? Tylko po to, żeby coś przeżyć?

Grób

I Dorota, i Krzysztof, każde osobno, nie znając się, myśleli o wyprawie w stronę Broad Peak. Nie na szczyt, to jasne, ale gdzieś w pobliżu. Pochodzić po lodowcu Baltoro...

Krzysztof: – Zobaczyć ostatni widok, jaki ojciec miał przed oczami...

Podejść najbliżej jak się da, do góry, która pochłonięła ich ojców, bo przecież nie znaleziono nigdy ciała Bohdana Nowaczyka ani Marka Kęsickiego, a zwłoki Andrzeja Sikorskiego zostały tam, gdzie umarli.

Marian Sajnog: – Nie było możliwości, nadal nie ma, ściągnięcia ciała z takiej wysokości. Może w przyszłości to będzie możliwe, na przykład helikopterem?

Gdy ktoś ginie w najwyższych górach, koledzy zwykle starają się zostawić przy jego ciele krzyż albo tablicę. Wyjątkiem są heroiczne próby przetransportowania ciała w lepsze miejsce. Lepsze, bo położone w szczelinie albo dalej od głównego szlaku, tak by

zamarznięte zwłoki przyjaciela nie stały się makabrycznym znakiem drogowym dla kolejnych wspinaczy, jak ciało anonimowego himalaisty, który zginął na wysokości 8500 metrów na Mount Evereście. Ten ludzki znak nazywany jest „zielonymi butami”, ze względu na wciąż rozpoznawalny kolor plastikowych butów himalaisty.

W złym miejscu umarł Tomasz Kowalski, jeden z czterech polskich wspinaczy, którzy w 2013 roku dokonali pierwszego zimowego wejścia na Broad Peak. Miejsce było złe, bo Tomasz został na linii poręczowej prowadzącej przez komin. Jak opisał to w wywiadzie dla RMF FM Jacek Berbeka, wspinacz, brat Macieja Berbeki, partnera wspinaczkowego Kowalskiego w tym wejściu, Tomasz wisiał w takim miejscu, że wspinacze, jak najbardziej dosłownie, musieli przejść po nim.

Niektórzy przepraszali.

Berbeka i Jawień odcięli ciało Tomka Kowalskiego od liny i ściągnęli sto metrów w dół. W lepsze miejsce. Nie brzmi to bohatersko, dopóki człowiek nie wyobrazi sobie wysiłku, jakiego to od nich wymagało. Akcja zajęła im sześć godzin.

„Doszliśmy do Tomka. Jacek mówi, że mamy ok. minus 30, 31 stopni, no ale trudno – takie mamy warunki. Potwornie wiało. Kompletnie się nie słyszeliśmy (...). I udało się. Tomka wyciągnęliśmy z tego miejsca, bardzo nieprzyjemnego dla wchodzących na szczyt. Sześć godzin zajęła nam zmiana jego pozycji. Sto metrów niżej znaleźliśmy jedyne możliwe do pochowania miejsce. W takich kamieniach. Przed wyprawą myślałem o ściągnięciu tych ciał na dół, do jakiejś szczeliny. Ale niestety po przyjsciu do bazy okazało się, że nie ma żadnej szczeliny (...). Po sześciu godzinach w huraganowym wietrze, przy minus 30, Tomka przetransportowaliśmy w bezpieczne miejsce, w miejsce, gdzie już naprawdę nikt nie powinien go niepokoić. Jest wprawdzie widoczny, bo tam nie ma innej możliwości, ale został zawinięty w płachtę, owinięty linami i jeszcze dodatkowo obłożony kamieniami” – wspominał Jacek Berbeka w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi RMF FM, Maciejowi Pałahickiemu, w październiku 2013 roku.

Kiedy na kobiecej wyprawie na K2 w 1982 roku zginęła wybitna wspinaczka Halina Krüger-Syrokomska, Wanda Rutkiewicz zdecydowała, że trzeba podjąć próbę zniesienia jej ciała na taką wysokość, by w przyszłości Marianna, malutka wówczas córka zmarłej, mogła dojść do górskiego grobu matki. I tak się stało. W akcję znoszenia ciała Haliny zaangażowali się oprócz uczestniczek wyprawy himalaiści z obecnej w tym samym czasie na K2 drugiej, męskiej wyprawy.

Ale w 1975 roku na Broad Peak nie było możliwości zniesienia ciała Andrzeja Sikorskiego. Sukcesem było pozostawienie na górze pamiątkowej tablicy.

Dorota Sikorska: – Bardzo poważnie myśleliśmy o zorganizowaniu wyprawy. Stara tablica na pewno już się zniszczyła, chciałabym upamiętnić tatę nową. Myśleliśmy z Alexandrem, że wyruszymy w Himalaje całą rodziną, my i nasi synowie, ale nie mogłam rozgryźć kwestii choroby wysokościowej. Podobno osoby w wieku czterdziestu–pięćdziesięciu lat są na nią najmniej podatne, my z mężem moglibyśmy sobie tam poradzić. Nikt nie potrafi jednak przewidzieć, jak zareaguje konkretny organizm. A już zwłaszcza bardzo młody. Nie mogłabym narazić mojej rodziny na takie ryzyko.

To był główny argument. Pomógł też taki, że właściwie na wysokości, jaką mogliby osiągnąć, nie jest aż tak ładnie. A Andrzeja Sikorskiego upamiętnia w końcu wielki głaz z poświęconą mu tablicą w Gałkowie. Na Mazurach, w umiarkowanym klimacie, tak łatwo nie ulegnie zniszczeniu.

Czy Dorota nie boi się, że na pomysł upamiętnienia dziadka wspinaczką na Broad Peak wpadną jej synowie?

– Nie, na szczęście nie lubią się wspinać.

Na szczęście.

Joanna Sokolińska

To się coraz mocniej zaciska

*Nikt nie idzie w góry, żeby zginąć, każdy wierzy, że sobie poradzi
w najtrudniejszej sytuacji.*

Krzysztof Wielicki, wywiad Bartosza Bolesławskiego,
www.portalgorski.pl, 17 lutego 2020

Do Nepalu ojciec leciał z Kopenhagi. W drodze do Danii zatrzymał się w Niemczech, żeby zobaczyć Marcina i jego matkę, mieszkali z dziadkami Marcina w wieżowcu na trzynastym piętrze. Zapomnieli kluczy, w domu nikogo nie było. Ojciec zapukał do sąsiadów. Marcin zapamiętał, jak zwisa z okna na zewnątrz, żeby przedostać się do ich mieszkania.

– Jak w górach.

– Gorzej. A jak masz siedem lat i na to patrzysz, to już zupełnie źle, bo boisz się tak, że zapamiętasz to na całe życie.

Syn

– Kocham góry. Kocham ich majestat. Jednak nigdy nie wchodziłem wysoko, raczej spacerowałem po pagórkach. Chętnie bym poszedł na trekking, żeby popatrzeć na najwyższe góry z dołu. Można wysłać drona, żeby zobaczyć, jak jest wyżej. Marzę o tym, żeby to zrobić. Nie zaryzykowałbym wejścia alpinistycznego.

– Twój ojciec zaryzykował. Ty nie zrobiłbyś tego?

– Nie. Bałem się, kiedy widziałem ojca, jak wisiał na trzynastym piętrze. Niedługo potem zginął, to odruch naturalny, że nie zrobiłbym tego samego. No i matka, która przez całe dzieciństwo mi powtarzała, jakim ojciec był debilem, że pojechał w te Himalaje. Może nie używała tego słowa, ale miała mu bardzo za złe. Nie himalaistom, którzy go tam zaprosili, jemu.

Ojciec

Ojciec nie był himalaistą. Staszek Latało, bo tak na niego mówiło środowisko filmowców i nowe, himalaistów, był reżyserem, operatorem, aktorem i malarzem. Na wyprawę na Lhotse pojechał jako drugi operator. Pierwszym operatorem i reżyserem dokumentującym wyprawę był Jerzy Surdel, nie tylko filmowiec, ale także doświadczony podróżnik, wspinacz, miał już za sobą wyprawę na Mount Everest (nie wszedł na szczyt, ale był pierwszym Polakiem, który tam się wspinał). Staszek wcześniej był kilka razy w Tatrach. W roku 1974 wejście zimowe na himalajski szczyt wydawało się szaleństwem nawet najtwardszym wspinaczom. Sir Edmund Hillary, pierwszy zdobywca Everestu, uważał, że zimą przeżycie na tej górze na wysokości powyżej siedmiu tysięcy metrów jest niemożliwe, a od czasu wejścia Hillary'ego w 1953 do lat osiemdziesiątych w wyposażeniu polskich wspinaczy niewiele się zmieniło.

Doświadczenie Staszka to filmy i malarstwo. Choć sam był reżyserem i operatorem, to do historii kina przeszedł film, w którym zagrał – *Iluminacja* Krzysztofa Zanussiego, inteligencka opowieść o poszukiwaniu odpowiedzi na pytania egzystencjalne. Część filmu kręcona jest w Tatrach, gdzie główny bohater przeżywa śmierć swojego przyjaciela. Konsultantem przy scenach górskich był Andrzej Zawada, legenda polskiego himalaizmu zimowego, który to himalaizm narodził się rok po premierze filmu, kiedy Staszek pod kierownictwem Zawady poszedł na Lhotse. Trafił do ekipy właśnie dlatego, że Zawada poznał go na planie filmowym.

Wcześniej, jako młody, rozwijający się dopiero operator, został zaproszony przez Tadeusza Konwickiego do ekipy pracującej nad słynnym filmem *Jak daleko stąd, jak blisko*. Mistrz wyróżnił młodego operatora, bo zachwyciła go jego studencka etiuda *Święta Rodzina*, sfilmowana w charakterystyczny, malarski sposób na starej enerdowskiej taśmie ORWO. Pokazał mu ją profesor Łódzkiej Szkoły Filmowej Mieczysław Jahoda, nauczyciel Latały, który zadał studentom nakręcenie tej krótkiej formy jako ćwiczenie. Konwicki

wmontował ją w swój film, a Latało był drugim operatorem na planie. Staszek robił własne filmy, pracował z Wajdą, wyróżniał się malarskim stylem zdjęć i metafizycznym przedstawianiem rzeczywistości. Był już dostrzeżony, doceniony, chociaż dopiero się rozkręcał. Kiedy zginął w Himalajach, miał dwadzieścia dziewięć lat. Pośmiertnie dostał jeszcze nagrodę. Była to nagroda zespołowa za cykl filmów telewizyjnych *Lhotse* pod kierownictwem Jerzego Surdela.

Syn

Nie w Himalaje, ale poszedł śladem ojca zawodowo. Jest reżyserem, scenarzystą, aktorem. Pierwszą rolę zagrał nie do końca świadomie jako dwuletni krasnoludek w *Świętej Rodzinie*. Później, też jako małe dziecko, w *Iluminacji*. W jednej ze scen filmu *Ślad*, który nakręcił o ojcu, zamieścił zdjęcia z planu *Świętej Rodziny*. Mały blondynek z loczkami siedzi w przyczepie motocyklowej, jego ojciec patrzy w niebo przez palce ułożone jak oko kamery, ciepłe światło, zbliżenia, i wtedy nagle spada ulewa. Przestraszone dziecko wybucha płaczem, a ojciec biegiem zabiera je z przyczepy, którą niewidoczne wcześniej w kadrze dwie osoby sprawnie nakrywają folią.

– Wiedział, że na ciebie lunie?

– Oczywiście.

Ślad jest pierwszym samodzielnym filmem Marcina, został wyróżniony na festiwalu w Krakowie, wzbudził uznanie, był emitowany w polskim i francuskim Canal+. Dziesięć lat później Marcin wydał o ojcu książkę *Portret niedokończony*.

Studiował w Paryżu – historię sztuki na Sorbonie i reżyserię w La Fémis. Współpracował z Andrzejem Wajdą. U Agnieszki Holland grał w filmie *Europa, Europa*. Tłumaczył jeden z *Trzech Kolorów* Kieślowskiego. Dokument *Moja ulica* zdobył nagrody na festiwalach we Francji i Rumunii. Opowiada o robotniczej rodzinie związanej od pięciu pokoleń z łódzką fabryką Poznańskiego, a po wojnie Marchlewskiego. W czasach wolnej Polski fabryka pada, rodzina

staje się bezrobotna, dzieli losy obróconego w ruinę dawnego imperium. W końcu w miejscu fabryki powstaje nowoczesne centrum handlowo-rozrywkowe Manufaktura.

Ojciec

Staszek ma dwie legendy – w środowisku filmowym postrzega się go jako zdolnego, przedwcześnie zmarłego operatora i reżysera, w środowisku górskim jako niepotrzebnie zmarłego wojownika. Każda śmierć jest niepotrzebna, ale ta była wyjątkowa. Staszek poszedł w góry pierwszy raz, ale nie odpuszczał. Idąc w swoją ostatnią drogę do obozu trzeciego na wysokości 7200 metrów, wziął tyle bagażu, co wszyscy doświadczeni alpiniści, a do tego sprzęt filmowy. Wszyscy dźwigają po osiemnaście kilogramów, a on dwadzieścia pięć. Oni protestują, ale on się upiera – wy pójdziecie dalej, ja odpocznę w trójce. Oni już są w śpiworach, on jeszcze się pnie w zawiei, która nadeszła po dobrej pogodzie. Wraca po niego Surdel. W wywiadzie dla portalu „goryonline” wspominał: „Po ciemku docieramy do obozu. Pogoda się psuje. Zaczyna wiać wiatr. Nie uda się rozstawić drugiego namiotu... Ściśnięci w jednym, będziemy trwali w szarpanym wichurą dusznym worku. Kierownik wydaje przez radio polecenie, aby tym razem nie używać w nocy tlenu... Taka decyzja zapada po raz pierwszy. Stosujemy się do niej. (...) Staszekowi nasza ekstremalna sytuacja wyraźnie się podoba. Zwierza się: czekał na nią, marzył, by przeżyć w górach sytuację krańcową – może ostateczną. Taką, jaką opisał w swojej książce Jan Kazimierz Dorawski, omawiając zdobycie Czo Oju przez austriacką wyprawę Herberta Tichego, kiedy to dwójka szczytowa dosłownie walczyła o przeżycie. Tę grubą książkę Staszek przywiózł ze sobą do bazy i tam przeczytał do końca.

W nocy nie mogę zmrużyć oka. Wiatr zamienia się w ryczący huragan. Namiot łopocze w opętańczym rytmie. Żeby zasnąć, biorę tabletki. Niewiele pomagają. Przy każdym przebudzeniu boję się, że płótno tego nie wytrzyma, że nastąpi koniec. Znów jednak zgarniam z twarzy warstwę śniegu przymarzającą do wąsów i skulony

w śpiworze zapadam w senne odrętwienie. Wiem, że nie pójdziemy wyżej, że nie będzie szczytu. Kolejna szansa umyka mi bezpowrotnie. Co więcej, teraz nawet zejście do bazy może się okazać walką o życie”.

„Pamiętasz, Tadek, żeby tam się zaopiekować Staszkiem? Odbiór” – upewnia się przez radio Zawada, który z bazy łączy się z alpinistami w górze, co zachowało się na archiwalnych nagraniach z wyprawy. Piotrowski zapewnia, że pamięta. Schodzi pierwszy, Staszek drugi, za nimi Surdel. W filmie Marcina Surdel wspomina ten moment: „Zaczęliśmy schodzić około jedenastej w porządku: Piotrowski, Staszek i ja na końcu. Po przejściu trzydziestu metrów pękła mi sprzączka u raka i myślałem, że to już koniec, już nie mam żadnej szansy, ponieważ oni obaj się oddalili, zniknęli w zamieci. No i zacząłem samotnie schodzić już mniej więcej godzinę później. I kiedy byłem w połowie ściany, w miejscu, gdzie wydawało się, że już jest bezpieczne, bo już się zaczynały poręczówki (...) nagle poczułem, że lina poręczowa jest obciążona. Wtedy spojrzałem w dół i zobaczyłem, że na tej linie wisi Staszek. Nie potrafię opowiedzieć, co w tym momencie czułem. Wydawało mi się to wręcz absurdalne i niemożliwe, to, co zobaczyłem”.

Ciało owinęli w namiot i pochowali w szczelinie.

Sąd koleżeński odpowiedzialnym za tę śmierć uznał Piotrowskiego, bo nie zaczekał na niedoświadczonego człowieka na linie, którym miał się zająć, tak jak polecił mu kierownik wyprawy, tylko poszedł przed siebie. Staszek nie miał siły iść, zamarzł. Za karę Piotrowski został wykluczony na kilka lat z klubu wysokogórskiego, nie mógł się wspinać. Jednak środowisko nie było jednomyślne w ocenie jego zachowania i tego wyroku, część uważała, że każdy walczył wtedy o życie, można było zostać i umrzeć albo pójść.

Legenda – perspektywa syna

„Kochany tato, pamiętam, jak patrzysz w niebo i mówisz: zaraz będzie padać. I zaczyna się prawdziwa ulewa. Jest to na planie twojego filmu *Święta Rodzina*. Dziś mam dwadzieścia osiem lat, ty

miałeś dwadzieścia dziewięć, kiedy umarłeś. Twój syn, Marcin”. Tak zaczyna się film Marcina Latały o jego ojcu Stanisławie.

– Zrobiłem ten film, bo chciałem zmierzyć się z legendą ojca – mówi Marcin.

Mieszka we Francji, tam szukał pieniędzy na produkcję. Zdobył, na krótki format, dwadzieścia sześć minut. Musiał mocno ciąć materiał, na przykład archiwalne zdjęcia z wyprawy, ale się zmieścił.

Syn pyta o ojca swoją matkę, babcię, drugą partnerkę ojca. Opowiadają, jakim był partnerem, synem. O tym, jakim był człowiekiem, kolegą, filmowcem, mówią Agnieszka Holland, Tadeusz Konwicki, Krzysztof Zanussi. Jerzy Surdel wspomina, jaki był w górach. Ten, kto ogląda film, patrzy więc na Staszka oczami Marcina.

Czego się dowiaduje? Rodzice byli młodzi, piękni, Marcin też był pięknym dzieckiem, tak, chyba było w tym dużo szczęścia. Ale też sporo momentów konfliktowych z powodu gwałtowności Staszka.

Staszek był osobą ekstremalną w tym sensie, że dążył do ekstremalnych sytuacji, chciał pokazać swoją siłę, wytrzymałość, oryginalność, gotów igrać ze śmiercią, z własną wytrzymałością. Może trochę wzorował się na modnych wtedy młodych gniewnych. Matka Marcina dała się uwieść obrazowi, który tworzył, widziała go takim, jakim on chciał, by go widziała, a nie takim, jakim był naprawdę. Była bardzo młoda.

Babcia Marcina wciąż miała ze Staszkiem problemy, najpierw zdrowotne, potem szkolne, z przystosowaniem do życia, z jego małżeństwem, właściwie ze wszystkim. Z wyjątkowości syna zdała sobie sprawę, gdy już był dorosły, kiedy zaczął malować i robić filmy. Nawet jeśli były one, jej zdaniem, źle opowiedziane, nosiły jego wyraźne piętno. W filmie tego nie ma, ale babcia, Katarzyna Latała, sama była rysowniczką, graficzką, reżyserką filmów animowanych, pochodziła z inteligentkiej rodziny o silnym rysie katolicko-narodowym. Opowiada Marcinowi o swoim zdziwieniu, kiedy dowiedziała się od syna, że wybiera się w Himalaje. Tłumaczył: „Przecież ty wiesz, że ja jestem maksymalista. – To co,

chcesz wejść tak wysoko, żeby złapać Pana Boga za palec od nogi? – No może. – To co wtedy? – To mnie więcej nie zobaczysz”.

Agnieszka Holland widziała w Staszku niebywale bogatą energię, bezkompromisowość, odrzucenie zastanych wartości i konwencji, uczucia i gesty na najwyższym diapazynie. Kocham, to kocham, obiecuję, to obiecuję.

Konwicki widział w nim jakąś zagadkę.

Zanussi długo namawiał Staszka, żeby zagrał w *Iluminacji*, bo dokładnie tak wyobrażał sobie postać głównego bohatera. Staszek odmawiał, chciał być młodym gniewnym Jamesem Deanem, a miał w piżamie w paski odgrywać sceny z małżonką. Kiedy jednak mama Marcina po latach obejrzała ten film, poczuła, że to jest właśnie Staszek, choć wcześniej myślała, że jest Deanem. Po jej wypowiedzi widzimy w filmie scenę z *Iluminacji*. Lekarz radzi głównemu bohaterowi, żeby żył mniej intensywnie, a on wścieka się, bo chce bardziej intensywnie, chce nadrobić czas, który jego zdaniem stracił.

Matka Marcina czuła, że drogi jej i jego ojca się rozchodzą, że mają inne koncepcje wspólnego życia. Wyjechała z Marcinem za granicę na wakacje i nie wróciła. Miała rodziców w Niemczech (w tym trzynastopiętrowym bloku). Ojciec nie chciał przyjąć tego do wiadomości, awanturował się, żądał, żeby wracali. Agnieszka Holland wspomina jego rozpacz, przeżywał ją, jak wszystko, niebywale intensywnie. Jednak uważa, że jego wyobrażenie o tym, jak powinno wyglądać małżeństwo, i to, jak ono wyglądało, to były dwie różne rzeczy.

Opowieść o Staszku snuje się czasami w tle scen z *Iluminacji*, w których kilkuletni Marcin występuje jako syn głównego bohatera. Biega z ojcem po łące, zdmuchuje dmuchawce, siedzi z nim i filmową matką nad jeziorem i bawi się w piasku. Postać graną przez ojca coś gryzie, męczy, odciąga, wpatruje się w syna, jakby szukając w nim znaku albo odpowiedzi. W pewnym momencie wbiega, niosąc go na barana, pod górkę, i przewraca się na jej szczycie wykończony. Film Krzysztofa Zanussiego opowiada o rozterkach głównego bohatera, który poszukuje prawdy o sensie egzystencji. Film Marcina, portretując ojca, pokazuje właściwie to samo.

W Himalaje pojechał chyba dlatego, że potrzebował dojść do ładu z samym sobą. Mogło tak być, że chciał się odnaleźć w ciężkich warunkach przyrody, zacząć jakieś nowe życie.

Jerzy Surdel miał z nim kłopot, bo wciąż go musiał powstrzymywać. Staszek rwał się, żeby robić więcej, niż należało, brał więcej ciężaru, niż powinien wziąć, no i chciał być zawsze jak najwyżej. Dzień przed wyjściem do obozu trzeciego mówił, że wciąż czeka, żeby przeżyć to swoje doświadczenie graniczne.

Z wyprawy pisał do Marcina listy, które ten cytuje w filmie.

„Maluchu, pomyśl, że mało które dziecko dostaje listy pisane pod najwyższą górą świata. Czy pamiętasz, jak jechaliśmy razem na jednym krzesełku wyciągiem na Szrenicę i Ty zapytałeś, czy dojedziemy na Księżyc? A ja, wspinając się doliną, która ze wszystkich stron jest otoczona pionowymi ścianami skał i lodu, myślałem sobie, że jestem na Księżycu”.

„Maluchu, za parę dni kończysz siedem lat i gdybyś był synem króla, mógłbyś objąć tron w swoim królestwie. Mógłbyś wtedy, oczywiście dobrze się przedtem namyśliwszy, powiedzieć: ja tak chcę. I byłoby tak, jak byś chciał. A ja się cieszę z tego, że będziesz coraz doroślejszy i mądrzejszy i że pewnie przyjdzie jeszcze taki dzień, że będziemy mogli sobie porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Tak to się śmiesznie nazywa”.

„Maluchu, zaraz wychodzę dalej, w lodowiec. Strasznie marzną mi ręce przy pisaniu. Ale jak wrócę, może wiatr przestanie wiać, będzie cieplej i napiszę wtedy dłuższy list. Chciałbym, żeby wszystkie lata bez Ciebie mijały jak godziny. Twój tata, Staszek”.

Burza, która zerwała się w nocy w obozie trzecim, była najsilniejszą z dotychczasowych burz, jakie towarzyszyły tej wyprawie. Wiatr wiał z prędkością dwustu–dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, temperatura spadła do minus czterdziestu. Tyle perspektywy syna w filmie o ojcu. Staszek myślał pewnie, że przeżywa właśnie swoje doświadczenie krańcowe i ostateczne, ale ono nadeszło następnego dnia, tyle że nie wyszedł z niego zwycięsko. Marcin też nie.

Trauma

Marcin opowiada o swoim filmie nad ciepłym ramenem w japońskiej knajpce w Warszawie w styczniowe wczesne popołudnie 2020 roku. Teraz ma pięćdziesiąt trzy lata. *Iluminacja* była bardzo ważnym filmem, ważnym pokoleniowo. Ludzie spali przed kinem, żeby dostać się na premierę, obraz zrobił karierę międzynarodową, zdobył nagrodę w Locarno. Była wokół niego aura wyjątkowości, bo główny aktor niedługo po premierze zginął w górach.

W czasach w PRL wyjechać z kraju, a jeszcze wyrwać się z niego w najwyższe góry świata, to było jak złapać Pana Boga za nogi. – A ja mam do tego dystans, bo wychowałem się we Francji i choć ojciec był dla mnie postacią legendarną, to ta legenda budziła skomplikowane uczucia – mówi Marcin. – Jak tylko przyjeżdżałem do Polski, spotykałem filmowców, alpinistów, którzy mówili, że to było dla nich ważne, niezwykle i wstrząsające wydarzenie. Alpinizm wywoływał wtedy w Polsce takie emocje, jak piłka nożna, ludzie identyfikowali się z alpinistami. A tu mieliśmy historię filmowca, znanego aktora, nietypowego, specyficznego, który w dodatku zdobył rozpoznawalność bardzo specyficznym i nietypowym filmem. To wszystko zbudowało legendę, z którą bardzo trudno było mi się zmierzyć. Miałem z tego powodu kłopoty na uczelni, bo pracując nad filmem, zaniedbałem studia i w końcu mnie z nich wyrzucili. Robiąc ten film, poszedłem bardzo do przodu. A potem strasznie się cofnąłem.

– Co to znaczy?

– Miałem siedem lat, kiedy ojciec zginął. Byłem więc jeszcze małym dzieckiem, kiedy wyjechał, i nagle okazało się, że nigdy nie wróci. A wcześniej niespodziewanie sam wyjechałem za granicę, rodzice się rozwiedli, wszystko się zmieniło. Ta trauma siedzi we mnie przez całe życie. Echo trzęsienia ziemi z dzieciństwa dopada mnie jak czkawka regularnie co mniej więcej dziesięć lat. Wtedy zdarza się jakaś katastrofa, powstają problemy, które są często powodowane także moim nieprzystosowaniem do rzeczywistości.

Film o ojcu był próbą zmierzenia się nie tylko z legendą, ale także z własną traumą. Poniosłem ogromny koszt tego wyzwania. Czekałem następnych dziesięć lat, żeby zrobić z mamą książkę *Portret niedokończony*, rozszerzoną wersję filmu. Za każdym razem po przedsięwzięciach związanych z ojcem powtarzały się trzęsienia sejsmiczne, na które nigdy nie byłem przygotowany na tyle, żeby sobie z nimi radzić.

– Pamiętasz, jak się dowiedziałeś, że ojciec nie wróci?

– Coś pamiętam, ale raczej to wyparłem. Śmierć i tak trudno zrozumieć, a co dopiero, kiedy jesteś dzieckiem, umiera ojciec, i to w takich warunkach. To jakaś abstrakcja.

– Miałeś do niego żal?

– To jest ta trauma. Nie można do niej przykleić jednego słowa, to jest seria złożonych, skomplikowanych emocji, które układają się w to, kim jestem dziś. Żałuję, że ojciec wyjechał i że działo się ze mną to, co się działo.

– Czułeś, że wolał ekstremalne przeżycia niż ciebie?

– Ojciec chciał być bohaterem. Przejąłem po nim tę autokreację. Wierzył, i ja mam chyba podobnie, że dzięki sile wyobraźni można spełnić pewną wizję siebie. Myślę, że ojciec widział siebie jako superbohatera, który zagra w filmie o zdobywaniu jednej z najwyższych gór. Życie małżeńskie się rozpadło, żona odeszła z synkiem, ale on zdobędzie górę, on będzie pierwszym filmowcem, który wejdzie na Everest. Bo Lhotse była drugim wyborem, na początku mieli wejść na Everest, tylko tam była kolejka, wyprawa się opóźniła, więc wybrali się na Lhotse.

W lutym 2005 roku w tekście *Marcin, syn Stanisława* łódzka „Gazeta Wyborcza”, zapowiadając pokaz dwóch filmów Stanisława Latały, zacytowała rozmowę z Marcinem: „Dlaczego poszedłem w ślady ojca? Cierpię na patologiczny brak umiejętności podejmowania decyzji. Kiedyś marzyło mi się zostać kosmonautą, ale chyba nic już z tego nie wyjdzie”.

Żal?

Marcin mógłby mieć żal do doświadczonych himalaistów o to, że wyciągnęli w najwyższe góry świata amatora, który nie mógł nawet sobie wyobrazić, jak tam jest, jak zimną ryczy tam wiatr i ścisza mróz. Ale nie ma, podobnie jak nie miała jego matka. Himalaiści ojca namówili, zabrali, ale decyzję podjął sam.

Kilka osób przed ojcem odmówiło. Z różnych powodów, czyjaś żona była w ciąży, czyjaś nie chciała, żeby mąż wyjeżdżał, a jedna z tych osób sama była w ciąży, ktoś inny powiedział: nie, ja tam nie wejść, to za wysoko, za trudno. A Staszek nie zdołał oprzeć się pokusie. Długo się męczył z decyzją, ale nie potrafił odmówić, jak pisał w cytowanym w filmie Marcina liście do swojej drugiej partnerki, Doroty.

– Himalaiści wiedzieli, jak tam będzie, ale oni pojechali po to, żeby zdobyć górę, ojciec miał filmować, a nie zdobywać. Kiedy zrobiła się ładna pogoda, otworzyła się możliwość, żeby wejść do obozu trzeciego i dalej na szczyt, wykorzystali ją, i ojciec też, bo tak chciał, bo go tam ciągnęło, pojechał, żeby przeżyć przygodę życia, i właśnie ją przeżywał. Już na górze, w namiocie nie było fajnie, marzły im dupy, byli głodni, zmęczeni, bali się. W takiej sytuacji każdy myśli o tym, czy przeżyje, to z pewnością legenda, że ojciec był wtedy szczęśliwy. Jednak sam tam wszedł, zachłysnął się, bo dobrze radził sobie w górach, i nie dostrzegł niebezpieczeństwa. Nie mogę mówić, że mam urazę. Dziecko mogłoby mieć, bo źli ludzie zabrali mu ojca, ale jako osoba dorosła trzymam się od tej emocji z daleka – mówi.

Marcin mógłby mieć żal do Tadeusza Piotrowskiego, że zostawił ojca na linie, pozwalając mu zamarznąć, i poszedł w dół. On, silny, doświadczony, jeden z najlepszych wówczas polskich wspinaczy, i Staszek, pierwszy raz w górach wysokich, kilka razy w Tatrach, filmowiec. Tak, Tadek miał poczekać, ale nie poczekał, tylko łatwo jest oceniać człowieka z perspektywy kilkuset metrów wysokości nad poziomem morza, gdy on dokonywał wyboru na kilku tysiącach, w huraganowym wietrze, skrajnym mrozie, walcząc

o życie. Marcin jest pewien, że dziewięćdziesiąt procent osób w tej sytuacji spieprzyłoby jak najniżej. – Nigdy nie czułem, żeby Piotrowski był winien czegokolwiek, oprócz tego, że sam chciał się ratować – mówi. – Nie mogę go oceniać za to, co się stało, bo ojciec był dorosły, szedł na tę górę i wiedział, co ryzykuje. Wszedł bardzo wysoko na własne życzenie, uznał, że może, a potem zmieniły się warunki, za co nie odpowiada żaden człowiek, bo to nie jest przewidywalne, nie jest związane z jego decyzjami, tylko z przyrodą.

Po co?

Dla Marcina człowiek, który jest w stanie wejść na najwyższe góry, jest bohaterem.

Ale. Robił niedawno research do zdjęć o fotoreporterach wojennych i porównuje ich z himalaistami. Zarówno fotograf wojenny, jak i himalaista, jadąc na swoją wyprawę, ryzykują życie, jest bardzo prawdopodobne, że jeden i drugi ze swojej wyprawy nie wróci. Obaj są bohaterami, jeden dlatego, że spełnia marzenia, a drugi dlatego, że robił coś ważnego dla świata. Dzięki zdjęciom fotografa wojennego można zobaczyć to, co niedostępne, ale to nie wszystko, dzięki nim może się coś ważnego wydarzyć. Himalaista też może zrobić film o tym, jak jest wysoko na górze, ale to on będzie w tym filmie bohaterem.

– Bohaterstwo w Himalajach to egoizm?

– Tak. Chociaż myślę, że w przypadku ojca było to bardziej marzenie, żeby stać się superbohaterem. Chciał się odegrać na życiu, przezwyciężyć trudności, pokazać, że jest chojrak. Żył w pewnej iluzji, legendzie odczuwania świata. Miał postawę buntownika bez powodu, wejście na górę było przygodą życia. Jestem przekonany, że wierzył, że wejdzie i że zejdzie. *C'est la vie*.

– Mówi się, że jest pierwszą ofiarą polskiego himalaizmu zimowego.

– Tak, od niedawna tak się mówi. Tylko co ja z tego mam?

Jeszcze raz film

Marcin chce zrobić kolejny film związany z ojcem i górami. Tytuł: *Iluminacja*.

– To będą podróże filozoficzne Mateusza Retmana, syna Franciszka Retmana, bohatera filmu *Iluminacje*, którego grał mój ojciec. Pojedziemy w Himalaje zobaczyć miejsce, w którym zginął, zobaczyć tę górę, na którą chciał wejść, Lhotse. Polecimy samolotem nad Himalajami, żeby sfilmować je z góry. Obrazowi będą towarzyszyć fragmenty tybetańskiej księgi umarłych.

Ojciec, filmy, Himalaje, to się nie kończy, tylko coraz mocniej zaciska.

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin

Ja bym też poszła

– Wspaniale, że chcesz napisać o tacie! Bo jesteśmy na ty, prawda? Ja wciąż wierzę, że on nie zginął, tylko zszedł z tej góry i żyje gdzieś tam w monasterze. Nigdy nie przestałam na niego czekać, nie pogrzebałam go. Nikt nie jest tak wspaniały jak on, trzy związki mi nie wyszły, nikt nigdy nie potrafił mu dorównać. Doskonale rozumiem jego pasję, chcę się nauczyć wspinać, bez wahania pojechałabym w Himalaje, tylko że ja mam czworo dzieci, one potrzebują mamy. Ale lada moment skończę też czterdzieści siedem lat, czas leci, zaraz będzie za późno. Chcę napisać książkę o tacie, żeby została po nim pamiątka, zbieram materiał. Chcę też zorganizować wyprawę na Api, żeby go upamiętnić. Wyobraź sobie, że ja, nikomu nieznana postać, pojechałam kiedyś na festiwal górski, żeby poznać to środowisko. Zastanawiałam się, jak mam podejść do Krzysia Wielickiego czy Denisa Urubki, przecież mnie nie znają, ale przemogłam się...

– ...Magda, dzwonię tylko, żeby umówić się na rozmowę, nie mów mi teraz tego wszystkiego, bo jak się spotkamy, nie powtórzysz.

– Powtórzę, zobaczysz.

Znak pierwszy. Rano ojciec będzie jechał na lotnisko. Na suficie w pokoju, w którym śpi dziesięcioletnia Magda, w nocy pojawia się wielki czarny pająk. Wisi akurat nad jej półkotapczanem. Wyjątkowo duży gruby tułów, grube odnóża, ma wielkość spodka, takiego, na jakich w latach osiemdziesiątych stawiano szklankę z herbatą. Rodzice nie chcą, żeby Magda się obudziła i go zobaczyła, bo bardzo boi się pajaków. Ojciec bierze więc karton i skradając się po cichu, próbuje złapać pająka. Mama mówi, że on wygląda jak czarna wdowa. Chyba komuś uciekł. Wisi na suficie, wdowa, uciekł.

Znak drugi. Matka nigdy nie odprowadzała ojca na samolot. Zawsze pakował się i po prostu wychodził. Tym razem pojechała

z nim na lotnisko. Pożegnała się bardziej niż zwykle.

Znak trzeci. Wigilia Bożego Narodzenia, dzień. Magda dostała paczkę, a w niej mały czarny elegancki zegarek elektroniczny, z cieniutkim długopisem. Te zegarki były wtedy modne. Tata przysłał pocztą z Nepalu, doszło akurat pod choinkę. Wigilia to dzień graniczny, ale otwierając paczkę, Magda jeszcze tego nie wiedziała.

Znak czwarty. Wieczorem mama Magdy ubrała się cała na czarno, jak nigdy. – Co ty, Ewa, żałobę masz? – dziwi się jej bratowa, Bożena. – Na kolację wigilijną ubierasz się jak na pogrzeb? – A, tak jakoś.

– A on wtedy wracał ze szczytu lub walczył z żywiołem o życie – mówi Magda. Ma długie ciemne, pachnące włosy, na spotkanie przynosi różę. Jest wiosna 2020, na świecie trwa pandemia koronawirusa, ale w Polsce właśnie pozwolono już otworzyć restauracje. Siedzimy w Tawernie Orłowskiej nad morzem, przy oknie, patrzymy na stalowe fale. Pada deszcz, szkoda, bo poszłybyśmy na spacer w jej ulubione miejsce za Klifem Orłowskim, gdzie przychodzi z psem, siada na uwieszonej na gałęzi huśtawce z lin, patrzy w morze i marzy. Najczęściej o tym, że chodzi po Himalajach. Albo że medytuje w odosobnieniu w górskim monasterze, tak jak być może robi to teraz jej ojciec. Byłaby wtedy szczęśliwa.

Tak, doskonale pamięta, jak się dowiedziała, że ojciec zaginął.

– Jest styczeń, jesteśmy w domu babci Marii i dziadka Leona Tillaków i cały czas nie wiemy, że coś się stało. I oczywiście ja odbieram telefon, bo przeważnie dzieci to robiły. Dzwoni babka z Agencji Reutera i mówi: – Dzień dobry, Hanka Wiktorowska, czy mogę prosić kogoś dorosłego? A ja mówię: – Ale kogo? Jurka? Ale wujek jest na wyprawie w Himalajach. A ona mówi: – A z kim rozmawiam? Ja mówię: – Z Magdą. Cisza. I w tym momencie mama odbiera telefon w jadalni, pytając, z kim rozmawiam. Widzę z przedpokoju, że stoi nieruchomo, trzymając słuchawkę przy uchu, jest blada, opada na kanapę. Wtedy przybiega jej bratowa, ciocia

Bożena: – Ewa, Ewa, co ci się stało? Bo mama była wtedy w czwartym miesiącu ciąży. Wrywa słuchawkę i krzyczy: Jezus, jak to, Andrzej nie żyje, jak Andrzej nie żyje! Cały czas krzyczy. Tego nie zapomnę, to było coś strasznego. Miałam dziesięć lat. Stałam, ona krzyczała, mama siedziała już z podkówką i płakała. I film mi się urwał.

Strona Aleja Pamięci, prowadzona przez Klub Wysokogórski Trójmiasto, poświęcona jest zmarłym alpinistom. Ma służyć pielęgnowaniu wspomnień o ich losach. Jest tam też obszerna notatka o ojcu Magdy autorstwa Ryszarda Bylca.

„Andrzej Napoleon Bieluń urodził się 8 kwietnia 1946 roku w Gdyni. Rodzice Helena i Władysław Bieluń pochodzili z Kresów (dzisiejsza Białoruś), skąd przeprowadzili się w latach trzydziestych ubiegłego wieku do Gdyni.

Andrzej uczęszczał do Szkoły Podstawowej nr 2 w Gdyni, którą ukończył w roku 1960. Od dziecka wyróżniał się dużym talentem muzycznym. W latach 1958–1963 uczęszczał do Szkoły Muzycznej w Gdyni – do tzw. sekcji młodzieżowej. Jego instrumentem wiodącym były skrzypce. W latach późniejszych był założycielem i kierownikiem zespołu muzycznego, w którym grał na gitarze i flecie”.

– Nastroił mnie do muzyki. Śpiewaliśmy w domu, w szkole muzycznej też zapisałam się co prawda na fortepian, ale przyjęli mnie jedyną na skrzypce i potem na wybrany przeze mnie klarnet, ale po dwóch latach rzuciłam – wspomina Magda.

„W roku 1966 został powołany do służby wojskowej, jednak z powodu kontuzji doznanej podczas ćwiczeń został przedterminowo zwolniony do cywila. Podjął pracę jako operator sprzętu budowlanego. W roku 1971 pomyślnie zdał egzamin maturalny w Zaocznym Liceum Ogólnokształcącym w Gdańsku. W roku 1973 wstąpił w związek małżeński z Ewą Tillak. W 1973 roku przyszła na świat córka Magdalena”. – Żyli w dwóch różnych światach. Mama nie rozumiała tego, co jego wciągało, męczyła się z tym. Ja czuję, że patrzę jego oczyma, jako córka, która go ukochała, uwielbiała.

„W tym czasie podjął pracę w firmie Polcarga, z którą był związany przez kilka lat. Od firmy otrzymywał listy pochwalne za rzetelną pracę. Działalność wspinaczkową rozpoczął w roku 1974 od wyjazdów skałkowych. W następnych latach były to regularne wyjazdy w Tatry zimowe i letnie”.

– Pamiętam go, jak był w domu. Nie bywał dużo, ale pamiętam. Zabierał mnie na wycieczki do lasu, chodził ze mną na spacer, każdą chwilę spędzał ze mną. Mam fajne wspomnienia z nim związane. Tata był we mnie zapatrzonny. Rozumieliśmy się. W rodzinie teraz mówi się, że Magda jest zupełnie pokrecona, jak Andrzej, i że jak to możliwe, żeby być tak podobnym.

„Przeszedł kilkadziesiąt dróg wspinaczkowych w skali nadzwyczaj i skrajnie trudnej. (...) Pasjonowała go szczególnie wspinaczka klasyczna. Był autorem nowych dróg: na Świstowym Rogu (skała VI) i Diablwinie (skała V+). Jako speleolog prowadził działalność eksploracyjną w Krasie Słowackim, brał udział w centralnym obozie unifikacyjnym zimą 1979 roku. W górach wysokich zadebiutował w roku 1978”.

– Pamiętam jego twarz. Zapamiętałam go jako wysokiego, silnego człowieka. W domu uprawiał kulturystykę, miał różne sprzęty do treningu, był postawnym mężczyzną. A kiedy wracał z gór, był wychudzony, zupełnie inny człowiek. Dziecko tego nie rozumiało, więc byłam załamana, jak na niego patrzyłam.

Rok 1978, Magda ma pięć lat – wejście na Pik Lenina w Pamirze (7134 m).

Rok 1979, Magda ma sześć lat – drugie wejście, nową drogą na Rakaposhi (7788 m) w Karakorum. Kierownikiem wyprawy był Ryszard Kowalewski.

Rok 1980, Magda ma siedem lat – pierwsze wejście na Distaghil Sar East (7696 m) i Yazghil Dom (7440 m) w Karakorum. Kierownikiem był Ryszard Kowalewski.

Rok 1981, Magda ma osiem lat – uczestnictwo w wyprawie na Dunagiri (7066 m) w Himalajach Garhwalu, kierownikiem był Eugeniusz Temlak. Zespół zawrócił z wysokości około 6800 m.

Rok 1982, Magda ma dziewięć lat – udział w międzynarodowej wyprawie na Nanga Parbat (8126 m) w Himalajach, wspólnie

z Tadeuszem Piotrowskim. Kierownikiem był Karl Herrligkoffer. Celem wyprawy było poprowadzenie nowej drogi z doliny Rupal. Wyprawa osiągnęła grań po zdobyciu Rakhiot Peak (7070 m).

Rok 1983 – udział w wyprawie na szczyt Himalchuli (7893 m). Kierownikiem był Tadeusz Piotrowski. Wyprawa przeprowadziła zaawansowaną próbę wejścia na szczyt nową drogą. Zespół szturmowy, w którym uczestniczy Andrzej, na skutek niekorzystnych warunków pogodowych (nadejście monsunu) zawrócił z wysokości około 7200 m.

Rok 1983 – udział w wyprawie na szczyt Nun (7135 m) w Kaszmirze. Kierownikiem był Eugeniusz Temlak. Zespół szturmowy, w którym był Andrzej, zawrócił z kopuły szczytowej na wysokości około 7000 m z powodu późnej pory.

Rok 1983 – zimowa wyprawa na Api (7132 m) w Himalajach.

„Przekrój” nr 15 z 1984 roku drukuje *Śmierć na Api*, zbiór listów napisanych przez Andrzeja Bielunia poprzedzonych notką: „W połowie stycznia gazety zamieściły lakoniczną informację. Ministerstwo Turystyki Nepalu poinformowało 8 bm. o śmierci polskiego himalaisty Andrzeja Bielunia z Gdyni, uczestnika zimowej wyprawy himalajskiej na szczyt Api (7132 m n.p.m.) w zachodnim Nepalu. Agencja Reutera doniosła: Polska ekipa atakowała wierzchołek Api. Gdy do szczytu pozostawały wspinaczom już tylko dwie godziny, jeden z trzech uczestników grupy szturmowej, Zbigniew Terlikowski, zrezygnował z wejścia na szczyt. Dwaj inni wspinacze, Andrzej Bieluń i Tadeusz Piotrowski ze Szczecina (kierownik ekspedycji), dokonali pierwszego zimowego wejścia na wierzchołek. Tragiczny wypadek zdarzył się już w czasie powrotu. Najprawdopodobniej Andrzej Bieluń został zdmuchnięty przez gwałtowny podmuch wiatru”.

Hanka Wiktorowska – Magda nigdy nie zapomni tego nazwiska. Z Agencji Reutera zadzwoniła najpierw do rodziny, a potem odczekała, zanim puściła w świat informację. Od kiedy wspinacze mają w namiotach wi-fi, a dziennikarze numery telefonów satelitarnych ekip szturmujących szczyty, o wiele trudniej jest

dawać rodzinom przywilej pierwszeństwa w dowiadywaniu się o tym, co dzieje się z ich bliskimi na wyprawach w Himalajach. Zdarza się, że o ich śmierci dowiadują się z mediów, bo dziennikarze są szybsi niż ci, którzy jadą przekazać wiadomość.

Magda próbuje dokładnie ustalić, co się wtedy stało. Pytała Zbyszka Terlikowskiego, Tadeusza Piotrowskiego nie mogła, bo zginął w 1986 roku na K2. Rozmawia więc z ludźmi, którym o tym opowiadał. Mówi, co wie. W ekipie było pięć osób: ojciec, Zbyszek Terlikowski („Krowa”), Tadek Piotrowski, Wojtek Jedliński i Rysiu Kowalewski. Wszyscy chcieli wejść na szczyt, wszyscy czuli się na siłach. Ojciec, Tadek i Zbyszek poszli do najwyższej położonego obozu. Za nim była już tylko droga na szczyt. Po nich ruszyli Wojtek i Rysiu. Kiedy ojciec, Tadek i Zbyszek byli w obozie, okazało się, że jest okno pogodowe (podobno wtedy nie używało się tego zwrotu, mówiono po prostu, że jest słońce). Ojciec i Tadek postanowili atakować szczyt. Zbyszek zrezygnował z powodu poważnych odmrożeń. Ojciec ruszył bardzo szybko. Wyprzedzał Tadeka o jedną-dwie godziny, choć masywny i silny Tadek znany był z wytrzymałości, miał sławę niepokonanego, nie do zdarcia, mówili na niego „Muton”.

Było ciemno, kiedy Tadek zobaczył w oddali, jakieś dwieście metrów od oświetlonego księżycem szczytu, światełko. To był, można powiedzieć, ostatni raz, kiedy widział ojca Magdy. A ponieważ światełko znajdowało się tak blisko celu, koledzy uznali, że ojciec zdobył szczyt. Niemożliwe, żeby zawrócił, bo skoro wchodził z taką prędkością, musiał być nadludzko zdeterminowany. Magda jakby to widziała: śnieg, blask księżyca, jasno, wszystko widać, światełko pnie się przed siebie, Piotrowski idzie daleko za nim.

Okno pogodowe zamknęło się, zanim którykolwiek wrócił. Nadeszły lodowata wichura i zawieja. Wiało tak mocno, że kiedy Zbyszek wyszedł z namiotu zobaczyć, co z kolegami, błędził, zanim trafił do niego z powrotem. Piotrowski schodził ze szczytu, ale nie był w stanie odnaleźć drogi, nocował w lodowej szczelinie. Gdzie był wtedy ojciec? Magda bardzo chciałaby wiedzieć.

Dom babci w Gdyni przy placu Grunwaldzkim. Magda ma dziesięć lat i stoi w przedpokoju, w którym przed chwilą zadzwonił telefon. Ciotka krzyczy do słuchawki: „Jak to, Andrzej nie żyje?”, a mama siedzi i płacze. Co było dalej, Magda wie z relacji matki, cioci i babci, bo od tej chwili nic z tego dnia nie pamięta.

– Kiedy dorośli zorientowali się, że stoisz w tym korytarzu i wszystko słyszysz?

– Oni chyba nie zwrócili na to uwagi. Przeżywali szok, to były warunki nadzwyczajne. Na mszę żałobną mamę prowadzili, bo nie była w stanie utrzymać się na nogach. Nie pamiętam momentu, w którym poroniła, ale stało się to bardzo szybko po tej mszy. Dorośli skupili się wtedy na innych problemach.

– I nikt nie zapytał dziesięcioletniego dziecka, jak się czuje?

– Nie. Nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Tyle się działo przecież. Później się mną zajęli, mój wujek, brat mamy, zabrał mnie w ferie na wyprawę po Tatrach, żebym odreagowała, ale ja wtedy nie byłam gotowa, żeby odreagować w górach. Nie zastanawiałam się wcześniej nad tym, ale rzeczywiście, nikt nie wytłumaczył mi, co się stało, nie pomógł tego zrozumieć. I do mnie do tej pory nie dotarło, że tata nie żyje.

Dlatego Magda wciąż stoi w tym przedpokoju. Wciąż jest dziesięcioletnią dziewczynką, nad którą wybuchła burza, wokół wałę pioruny, straszne słowa, płacz, krzyki, ale to do niej nie dociera. Czeką na powrót ojca.

– Może dlatego tak bardzo wierzę, że on mógł przejść na drugą stronę gór i zamknąć się w monasterze?

Uwierzyła jeszcze bardziej, kiedy znalazła w domu pamiątnik taty z wyprawy. Mama schowała go przed nią, ale nie dość dobrze. Snuł w nim rozmyślenia o skupieniu w monasterze. A kiedy dowiedziała się, że mówił też o tym Zbyszkowi („Krowie”), poczuła, że przekonanie o tym nie jest tylko mglistym marzeniem, to może być prawda. Więc Magda czeka. A jeśli ojciec nie żyje, czeka na dowód jego śmierci, może być najmniejszy, jakikolwiek ślad, który pozwoli jej przestać.

– To była jego trzecia wyprawa z rzędu – mówi. – Nie wracał już do kraju, nie chciał ponownie załatwiać wizy, nie miał pieniędzy. A czuł niedosyt, bo te poprzednie wyprawy były nieudane, nie zdobył schronienia. Rozumiem to.

Nikt nie widział, jak Andrzej Bieluń ginie. Nikt nie widział, jak leci w przepaść, wpada do szczeliny, zjeżdża ze zbocza, nie zostały po nim zerwana lina, pęknięty rak, nie było ciała w oddali na skale ani w śnieżnej zaspie. Żadnego śladu, który zobaczyłby ktoś, kto go znał. Został po nim jednak ten list wysłany z Nepalu przed wyruszeniem w drogę na Api.

„Pogodziłem się z brakiem sukcesu i z zapałem dołączyłem się do wyprawy śląsko-gdyńskiej. Chłopcy z wyprawy na Api bardzo sympatyczni. Pojedziemy niebawem do Darchuli, wcześniej do Katmandu, a potem w odległe rejony pogranicza Indii i Nepalu.

Tak obiecywałem sobie grzybobranie i cieszenie się urokami jesieni. Niestety, jeszcze jedna jesień nie taka, jak... Piszę jako wielki pokutnik, który jakby zaplanował i realizuje tę wielką wschodnią tułaczkę, naznaczoną nie tylko radościami bytowania w górach, ale i wielkimi niewygodami. Wyznaczyłem sobie to wygnanie sam. (...) Po wyprawie chciałbym powędrować po Indiach (Goa, Cejlon, może pojadę do Ladakhu do Leh, które podobno jest bardziej tybetańskie niż Tybet. Tam, w buddyjskich świątyniach i monasterach, będę szukał spokoju i gromadził go na lata. Jeśli uda się, pożyję w buddyjskim klasztorze, jako nowicjusz, gdzie w trudnych warunkach i ciężkiej prymitywnej pracy być może znajdę upragniony spokój ducha”.

Z rozmów ze Zbyszkim („Krową”) Magda wywnioskowała, że ojciec rzeczywiście miał to zaplanowane, chciał zejść z gór do Indii (Leh jest właśnie w Indiach). Odłączyć się od wyprawy i od dotychczasowego życia, żeby przemyśleć je na nowo i odpokutować w indyjskim monasterze.

– Tak, odpokutować. Moja mama była w ciąży, a tata od lat był związany z inną kobietą, którą bardzo kochał. Pamiętam ją z dzieciństwa. Poznałam ją, choć nie wiedziałam, co ją łączy z tatą. Pamiętam jej twarz, próbowała być dla mnie miła, ale ja byłam zdystansowanym dzieckiem, nie dało się mnie kupić. Nie lubiłam

obcych kobiet w naszym domu. Domyślałam się wielu rzeczy. Teraz chciałabym do niej dotrzeć. Wtedy tego nie kojarzyłam, ale po latach zrozumiałam, że mama wiedziała o tym związku, w domu były o to kłótnie. Mąż tej kobiety też wiedział, namawiał mamę, żeby połączyli siły, żeby to przerwać, ale mama nie chciała z nim zawierać sojuszu. A ja próbuję tę kobietę znaleźć, bo myślę, że ona wie o tacie coś, czego my nie wiemy. Ponoć przez dziesięć lat po jego zaginięciu przysyłała dla niego na gwiazdkę prezenty na adres jego przyjaciela, jakieś tabletki, które gdzieś załatwiała, jakby uważała, że są mu wciąż potrzebne, ciepłe skarpetki, czekoladki, pisała listy miłosne. W końcu przestały przychodzić. Ona musiała wiedzieć, że tata przeszedł na drugą stronę, musiała wiedzieć o tym planie!

„New Delhi, 7.11.83.

Wybrałam sobie najbardziej przekorny z losów, a on mnie chyba polubił. Każde moje ryzykowne przedsięwzięcie będące dla innych zgubą, mój los wynagradza mi bardzo fortunnym zakończeniem. A kiedy siedzę na d..., dzieją się rzeczy dziwne, niepokojące, nieszczęśliwe. Wydaje mi się, że gdybym poszedł na wojnę i walczył w pierwszej linii, wyszedłbym z każdej potyczki cały i zdrowy, a gdybym zbyt długo siedział w okopach, na pewno trafiłby mnie pierwszy zabłąkany odłamek. Mój los jest moim sprzymierzeńcem tylko w najbardziej gorących chwilach. Świadomość tego pozwala mi na najbardziej szalone i ryzykowne przedsięwzięcia. To cudowne uczucie panowania nad lękiem, a w środowisku człowiekowi wrogim i nienaturalnym działa jak narkotyk. My, „twardzi ludzie gór”, jesteśmy narkomanami życia, które odchodzi czasem od nas. Jesteśmy z niego wyrywani w momencie największego cieszenia się nim. Podobno to mniej boli. (...)

Będę w kraju około 30 marca przyszłego roku. Skąd ten odległy termin? Jest ze mną na tourist campie Szymek Wdowiak. Umówiłem się z nim po wyprawie na spływ Gangesem, pontonami od źródła do ujścia, lub kupię od niego ponton z silnikiem i z Krową [Zbyszkiem Terlikowskim – przyp. aut.] przepłynę Kali Ghandaki w Nepalu,

a w Dakarze sprzedam ponton z zyskiem. Chcę wyrobić sobie wizę singapurską i posiedzieć tam z tydzień. Po przyjeździe do Srinigaru zorientuję się, czy przełęcz Zoila jest przejezdna, i jak będzie, pojedę do Leh”.

Do Leh, gdzie przypomnijmy, w buddyjskich świątyniach i monasterach chciał szukać spokoju i gromadzić go na lata.

„Imieniny, 83.

Intensywne życie zniszczyło tak wiele z mojej psyche i ciała. Jestem zmęczony, ale odpoczynku nie pragnę. Ta wielka zmienność wydarzeń i miejsc w mojej pasji odbija się piętnem nieumiejętności przywiązania. Tak bardzo chciałbym czasem to zmienić, ale czy to jest możliwe? Każda pasja jest egoizmem, który nie liczy się z niczyją troską. Moja wymaga od swoich wyznawców niekiedy ceny najwyższej, bo ceny życia”.

Dwadzieścia cztery dni później ojciec Magdy będzie po raz ostatni widziany przez Tadek Piotrowskiego pod szczytem Api.

Zbliża się koniec roku 1983, niedługo będzie trzecia rocznica odejścia ojca, trzynastoletnia Magda czyta najnowszy numer „Taternika” (czasopisma wydawanego przez Polski Związek Alpinizmu od 1907 roku do dziś), a w nim tekst Jerzego Kukuczki o tym, jak z Tadekiem Piotrowskim zdobyli K2. Płacze, bo czyta, że Tadek spadł w przepaść.

– Niby to wszystko wiedziałam, bo w domu się o tym mówiło, ale kiedy czytałam, jak Tadek krzyczy: „Jurek” i spada, cała się trzęsłam.

Magda czytała to: „Zacząłem schodzić pierwszy, Tadek za mną. W pewnym momencie poczułem, że lód pod śniegiem jest twardszy niż normalnie, poradziłem więc Tadekowi, by poszedł bardziej w lewo. Chwilę później zobaczyłem, że z buta spadł mu rak. Zawołałem, by uważał, on wtedy wykonał jakiś ruch i w tym momencie poleciał rak z drugiej nogi. Usłyszałem krzyk: »Jurek« i zobaczyłem, że Tadek spada. Stałem prosto pod nim, w stromym lodzie – spadł na mnie całym ciężarem, z trudem udało mi się ustać,

ale nie byłem w stanie mu pomóc. Zobaczyłem tylko, jak znika za krawędzią pionowej tu ściany”.

– Jako dziecko nie zajmowałam się zabawą z rówieśnikami, tylko czytaniem takich rzeczy. Nikt o tym nie wiedział, mama była w pracy, ja wracałam ze szkoły i nie siadałam do lekcji, tylko do czytania. Płakałam, przeżywałam, całe dzieciństwo, nikt o tym nie wiedział.

Później było świadome macierzyństwo. Bardzo szybko chciałam mieć dzieci, także po to, żeby przelać na nie uczucia, zaspokoić niedosyt miłości, dać ją komuś i nie myśleć, że czuję jej brak. Jednak to nie pomogło, bo ten brak powstał w dzieciństwie i został ze mną do dziś. Wydaje mi się, że to z tego powodu mam za sobą nieudane związki. Szukam wyjątkowej osoby, takiej jak ojciec, ale nikogo takiego nie spotkałam. Zawsze wybierałam dużo starszych mężczyzn, jakbym szukała w nich ojca, jego opiekuńczości, której mi brakuje. Z drugiej strony jednak nie chcę być nikomu podporządkowana, mam swoje cele, marzenia, plany, dobrze wiem, czego pragnę, chcę być wolna, a moi partnerzy chcieli mnie zamknąć w domu, nie pozwalali rozwijać się, jeździć w góry, byli bardzo zazdrośni. A dla mnie to nie jest życie. Mam wiele pasji: góry, malowanie, śpiewanie, jestem uzdolniona artystycznie, mnie się nie da zamknąć w klatce. Nawet mama mówi: „Przecież masz dzieci, zejdz na ziemię”. A ja chyba nigdy nie zejdem na ziemię. Ciągle fruвам w przestworzach. Potrzebuję miłości, pięknych, dobrych i rozumiejących ludzi wokół. Jeśli to się układa, jestem szczęśliwa i daję dobrą energię innym. Ktoś mi powiedział, że muszę przeżyć śmierć taty. Jestem na najlepszej drodze, bo już tak tego nie przeżywam. Rok temu nie porozmawiałybyśmy tak swobodnie jak teraz, byłby płacz. Miałabym szczękościsk, opowiadając o tym.

Kiedy oglądała film *Everest*, płakała od początku do końca. Oparty na faktach, opowiada o kilku wyprawach, które w tym samym czasie wchodziły na najwyższą górę świata. Głównym bohaterem jest właściciel firmy organizującej komercyjne wyprawy w Himalaje, Rob Hall. Zginął, próbując ocalić swojego klienta. Inny klient

przeżył, bo jego żona zorganizowała helikopter, który wystartował w teoretycznie skazaną na niepowodzenie misję.

– Każda książka mną wstrząsa, każdy film. Wciąż nie czuję spełnienia, wciąż drążę, chcę dowiedzieć się, co się mogło stać, i nie boję się już wyśmiania – mówi Magda.

Na Facebooku polubiła profil Janusza Majera, jednego z najbardziej znanych himalaistów, organizatora górskich festiwali.

– Zaczęłam być na bieżąco z tym, kto jest w Himalajach na wyprawie, bo Janusz publikuje tak wspaniałe rzeczy, że wiele można z tego wyciągnąć. Majer wrzucał posty – trzymamy kciuki, bo Tomek będzie zdobywał Nanga Parbat.

Magda śledziła wyprawę Mackiewicza i Élisabeth Revol na bieżąco.

– Pamiętam ten dzień, kiedy napisać: „Trzymamy kciuki, bo dziś zdobywają szczyt”. I za chwilę wydarzyło się to, co się wydarzyło. Zaczęłam wyobrażać sobie ich uwięzionych tam, wysoko. Wróciły do mnie wszystkie myśli o tacie, co się z nim działo wtedy, kiedy był sam na górze. Wpadłam w totalną depresję, nie byłam w stanie zająć się domem, dziećmi, psem, żyłam tylko wiadomościami z Nanga Parbat, cały czas na telefonach. Nie mogłam zrozumieć, że tam został człowiek, a oni po niego nie wejdą.

Kiedy trwała akcja zbierania pieniędzy na ratowanie Tomka, Magda natychmiast dołączyła. Przez kilka dni nie odrywała się od komputera. Nie mogła pojąć, dlaczego helikopter nie ruszył z pomocą, choć zostały zbierane pieniądze. Czytała o Tomku, płakała nad tatą. Słów krytyki, że „Czapkins” był lekkomyślny, nie brała pod uwagę, bo ją oburzają. Kiedy na szali jest ludzkie życie, trzeba zrobić co się da.

– Wiedziałam, że on tam czeka, i biorąc pod uwagę jego doświadczenia z różnymi używkami i wychodzenia z uzależnień, wiedziałam, że jest psychicznie przygotowany i silny, nie traciłam nadziei. Wszyscy już go pogrzebali, a ja wciąż wierzyłam, że da się go uratować. Walczyłam o niego tak, jakbym walczyła o ojca. Kiedy wiedziałam, że już na pewno po niego nie wejdą, umierałam razem z nim. Przypłaciłam to ciężką depresją. Budziłam się z myślą, że

może jednak ktoś po niego pójdzie, i zasypiałam z niemocą. Ten czas bardzo dał mi się we znaki.

Kiedy Andrzej Bargiel zjechał na nartach z K2, Magda nie myślała o niczym, jak tylko o tym, żeby jechać na festiwal górski, jak najszybciej złapać Bargiela i porozmawiać z nim o tym, czy nie zjechałby dla taty z Api. Jeszcze się z nim nie spotkała.

– Boli mnie to, że mówi się o wielu sławach polskiego himalaizmu, a o moim ojcu nie. Przecież on funkcjonował w tym środowisku, zaistniał jako wspinacz, był ciekawą postacią. Wyścig o pierwszeństwo w zdobywaniu ośmiotysięczników przesłonił fajnych ludzi i teraz się ich nie pamięta. Kiedy wspomina się ludzi gór, to nie jego. Kiedy robi się kalendarze z zaznaczonymi datami zdobycia szczytów czy śmierci ludzi ze środowiska, jego tam nie ma. Wiem, że nie był wielką postacią, sławą, ale ma swoje osiągnięcia i przykre jest, że odszedł w zapomnienie. Dlatego, ponieważ jestem jedynaczką, zrozumiałam, że to właśnie ja muszę coś zrobić, żeby przywrócić pamięć o tacie. Dla siebie, dla naszej rodziny, dla moich dzieci i wnucząt.

Magda wpadła na trzy pomysły. Pierwszy – urządzi prelekcję o ojcu, na którą zaprosi środowisko ludzi gór. Drugi – zorganizuje wyprawę na Api, żeby nagłośnić nazwisko pierwszego zdobywcy góry, Andrzeja Bielunia. Sama oczywiście na szczyt nie wejdzie, bo nie umie, robią to znani himalaiści. Trzeci – spisze wspomnienia o ojcu i wyda je w książce. Zabrała się do roboty.

Prelekcja odbyła się w kwietniu 2015 roku, na urodziny taty. To było szaleństwo.

– Chciałam zrobić prelekcję, tylko nie wiedziałam z czego. Przecież nie mam pamiątek, zdjęć. Wypisałam sobie wszystkich, którzy przychodzili do nas do domu, poprosiłam o pomoc Michała Kochańczyka i Marka Kaniewskiego, oni też pomogli mi zdobyć numery telefonów. Michał był przez wiele lat prezesem Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto, a Marek Alpinistycznego Klubu Eksploracyjnego w Sopocie. Michał należy do władz PZA i ma

szerokie kontakty, zna ludzi, jest łącznikiem między środowiskiem a rodzinami. To dzięki Michałowi w Alei Pamięci w internecie znalazł się wpis o Andrzeju Bieluniu. Michał bardzo mi pomógł, gdyby nie on, sama bym do tych wszystkich osób nie dotarła. Dzwoniłam do przyjaciół taty, pytałam, jakim był człowiekiem, jak go zapamiętali w szkole, w dzielnicy, jaki był na wyprawach. Chętnie mówili. Zalały mnie emocje, nie mogłam złapać oddechu, kiedy z nimi rozmawiałam, czułam ucisk w klatce piersiowej. Teraz jestem na innym etapie, ale wtedy były łzy. Zapraszałam na prelekcję. Zadzwoiłam między innymi do Krzysztofa Wielickiego, przeprosił, co było miłe, bo się nie znamy, że go nie będzie, musi wiedzieć z wyprzedzeniem, ale bardzo fajna inicjatywa. Zbyszek Terlikowski nie mógł, bo miał uszkodzone biodro. Zaprosiłam rodzinę, przyjaciół, alpinistów. Nawet mamę namówiłam, chociaż od początku dziwiła się, po co to wszystko robię, po co drażę, przecież ojciec nie był taki sławny. Mówię: mamo, robię to dla niego, dla siebie. Mama została przez niego zraniona i jako kobieta zraniona w trzech związkach, wiem, co może czuć. Jednak ona też powinna zrozumieć, że to, co robię w związku z ojcem, to moja wielka życiowa misja.

Sytuacja jest taka, że za kilka dni wszyscy mają przyjechać, ma być uroczysta msza, ksiądz umówiony, chór zakontraktowany, ale nie mam żadnych pamiątek, zdjęć, które mogłabym powiesić, nic, co wiązałoby się z ojcem i czym mogłabym udekorować przestrzeń. Pomyślałam: Danka Piotrowska, żona Tadka, który był kierownikiem wyprawy na Api, ma z niej piękne zdjęcia.

Danuta Piotrowska wydała serię albumów zatytułowaną *In Memoriam*, dokumentującą przedsięwzięcia jej męża. Albumy są eleganckie, efektowne, zdjęcia artystycznie obrobione.

– Bałam się do niej zadzwonić, ale postanowiłam się przemóc. No i dzwonię, że robię prelekcję, będzie za trzy dni i muszę mieć zdjęcia, błagam o pomoc. Ona na to: wariatka, za trzy dni? Czasami jedno zdjęcie obrabia się trzy dni, a trzeba wybrać, przygotować. Niemożliwe. Uprosiłam ją w końcu, zgodziła się, ale pod warunkiem, że profesjonalnie oprawię fotografie. Musiałam jej to przysiąc. Przysięgłam ze świadomością, że nie wystarczy mi

pieniędzy. Przeznaczyłam już na organizację imprezy większość oszczędności. Oprawa zdjęć i wyeksponowanie ich na sztalugach przerastały wielokrotnie moje możliwości finansowe. Bardzo pomógł mi mój przyjaciel Robert Kalinowski z Czeladzi.

Na prelekcję zarezerwowałam klub wspinaczkowy BlokFit Boulder Center Gdańsk. Danką dała mi piękne zdjęcia.

Bardzo chciałam rozstawić je na sztalugach, tak jak chciała, ale musiałam wymyślić coś innego.

Pojechałam do sklepu plastycznego, wzięłam duże kartony i poprosiłam, żeby mi dali taką masę, na którą w gazetach przyczepia się próbki kremów. Zapytałam, czy mogę przykleić nią na krótko zdjęcia. Powiedzieli, że będzie dobrze, więc przykleiłam. Spieszyłam się, miałam ponad osiemdziesiąt fotografii. Kartony, do których je przykleiłam, przyczepiłam klamerkami na sznurku, jak pranie. Ładnie to wyglądało, zdjęcia były przepiękne, nie wszystkie nieopisane, ale to też dodawało uroku, bo panowie, którzy je podziwiali, spierali się, kto je robił, uważali, że oni sami. Prelekcja się udała. Rysiu Kowalewski przyniósł stare liny, haki i młodzi mogli zobaczyć, czym dysponowali kiedyś wspinacze. To był inny świat. Jaś Kwiaton z Bydgoszczy, który był z tatą na jednej z wypraw, opowiadał, jak zdobywali pieniądze, jedzenie, bo wtedy wszystko trzeba było zdobywać. Cudowne przygody. W sumie zebrało się z osiemdziesiąt osób ze starszego i młodego pokolenia. Później tylko musiałam oddać Dance te zdjęcia. I okazało się, że masa za mocno trzymała, trzy są uszkodzone. Bałam się do niej zadzwonić, a potem bałam się odbierać od niej telefon, kiedy zaczęła się niecierpliwić. Ma do mnie żal, i słusznie. Strasznie mi głupio.

Mój ojciec zaginał, kiedy miał trzydzieści siedem lat. Złapałam się na tym, że zwracam uwagę na wysokich mężczyzn, przypominających z wyglądu tatę, próbuję go sobie przypomnieć, wyobrazić sobie, wracam do momentów, w których go widziałam. Najczęściej powracam do wspomnienia, w którym tata czeka na mnie na dziedzińcu Szkoły Podstawowej nr 26 w Gdyni, a ja spoglądałam na niego przez okno z klasy i po chwili pędzę jak oszalała, by rzucić mu się w objęcia. Kiedy patrzę na mojego zięcia Jarosława, który ma teraz tyle lat co tata, gdy widziałam go po raz

ostatni, uświadamiam sobie, jak bardzo był wtedy młody. Oglądając zdjęcia i slajdy z ostatniej wyprawy taty, powiększam je, patrzę na jego ręce, palce, rysy twarzy, żeby go sobie przypomnieć. Na niektórych zdjęciach ma swoją ulubioną czerwoną kraciastą koszulę, pamiętam ją. We wszystkich wydanych książkach z tamtego okresu szukam informacji o nim i oglądam zamieszczone z nim zdjęcia. Pamiętam wiele szczegółów.

Książka, czyli drugi sposób upamiętnienia, byłaby namacalną pamiątką, zastąpiłaby ubrania po ojcu, zdjęcia czy jego zapiski. Jednak jej przygotowanie również wymaga zawarcia znajomości środowiskowych i odnalezienia osób, które mogłyby coś opowiedzieć, udostępnić fotografie, notatki, podzielić się anegdotami. To także nie jest łatwe. Nie każdy chce rozmawiać. Jeśli na wyprawie ginie jeden z partnerów, to zdarza się, że jego rodzina ma żal do tego, który przeżył, obwinia go, ma pretensje nawet o wspomnienia. Niektórzy na wyprawach konfliktują się z kolegami i potem nie chcą ich nawet wspominać. Inni wolą nic nie mówić na wszelki wypadek, żeby nie powiedzieć czegoś, co wzburzy, sprowokuje do gniewu. Środowisko ludzi gór często się kłóci, wiele w nim konfliktów, wzajemnych oskarżeń. Magdzie rzuciło się to w oczy, kiedy czytała książki o wyprawach. Ktoś na kogoś nie poczekał, ktoś się nie cofnął. Ale kiedy posłuchać także i jego wersji, można zrozumieć, że po prostu walczył o życie.

Z Magdą więc też nie wszyscy chcą rozmawiać.

– Proszę, żeby to uszanować. Rozumiem ich, nie mam pretensji. Jednak bardzo bym chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tacie.

Jeden z kolegów ojca, na którym jej szczególnie zależy, nie odpisuje na SMS-y, na maile, na wiadomości na Messengerze, nie odbiera telefonów. – Widocznie nie chce – mówi Magda. – Ktoś mi powiedział, że on wie, że go szukam, ale nie jest gotowy. Napisałam więc do niego, że nie roszczę żadnych pretensji, nie mam żalu, że nie chce się ze mną spotkać. Ale mam nadzieję, że się zdecyduje. Mam nadzieję, że tak się stanie, bo zależy mi na tym, żeby

powiedział, czy tata rzeczywiście mógł mieć plan, żeby zejść z góry i zamknąć się w klasztorze.

Magda chce przeprowadzić wywiady o tacie i zebrać je w książce, bo to, co jest w internecie, artykuł w „Przekroju”, notka w Wikipedii i kilka wzmianek na portalach górskich, to za mało.

Widzi, jak Danka Piotrowska dba o pamięć o swoim mężu, realizuje filmy, wydaje albumy ze zdjęciami i książki o wyprawach opracowane na bazie jego wspomnień. Są więc tam także wspomnienia o tacie Magdy, który wspinał się z Tadkiem. Jest w nich opisany z perspektywy Tadka, a Magda zna te same historie także z innych stron. Stąd na przykład wie, że Tadek i jej tata rywalizowali ze sobą, co wpływa na sposób opowiadania. Poczuła to szczególnie, kiedy w 2018 roku Danuta wydała album z fotografiami i reprintem książki Tadeusza Piotrowskiego o wyprawie na Nanga Parbat w 1982 roku. Piotrowski szedł w międzynarodowej ekipie razem z Andrzejem Bieluniem. „To ostatnia, niedokończona książka Tadeusza Piotrowskiego poświęcona Andrzejowi Bieluniowi, towarzyszowi wspólnych górskich wypraw, który w wigilijną noc 1983 roku został na Api (7132 m)” – czytamy w notce wydawniczej.

– Akurat leciałam do Francji, kiedy postanowiłam przeczytać książkę o Nanga Parbat, opisującą wyprawę taty i Tadka Piotrowskiego, dokończoną przez Dankę Piotrowską. Kupiłam ją na Festiwalu Górskim w Łądku-Zdroju w 2018 roku. Wzięłam ją do samolotu. Mój pierwszy odbiór, człowieka, który stoi obok, a nie córki, był taki, że tata był pechowy, mało co mu się udawało, w końcu spadł. Został w tej książce przedstawiony tylko z perspektywy Tadka. Mój wujek, Jerzy Tillak, również alpinista, ma wiele uwag co do treści zawartych w tej książce. Był wręcz wzburzony, kiedy mówiłam, jak został w niej przedstawiony tata. Dlatego właśnie chcę wydać książkę, w której opowiedzą o nim także inni alpiniści, którzy się z nim wspinali. To jest ważna misja dla mnie i mojej rodziny.

Trudno jednak dotrzeć do wszystkich żyjących świadków. Kiedy jechała samochodem do Danki do Szczecina po zdjęcia na prelekcję, nagle poczuła, że właśnie teraz, w tym momencie, musi odnaleźć

Zbyszka Terlikowskiego, który też był na wyprawie. Dobrze, że nie prowadziła, bo emocje były tak silne.

– Dzwonię do niego, cisza w słuchawce. W końcu mówi: Magda, nie wierzę, czekałem na ten telefon. Nie da się opisać, co poczułam, kiedy to powiedział. Całą drogę z Gdańska do Szczecina rozmawialiśmy. Emocje. Zresztą zawsze, jak rozmawiam ze Zbyszką, kiedy omawiam z nim jakieś pomysły, to jestem w takim dygocie, że tracę kompletnie głowę, ostatnio, rozmawiając z nim, prawie wpadłam pod samochód. On mówi bardzo ważne rzeczy o tamtym czasie, a ja próbuję sobie to wszystko wyobrazić i poukładać. Był przyjacielem taty, mieli wspólne plany. I chyba odczuł w końcu potrzebę, by opowiedzieć, jak tam było. Zaczął od tego, co się działo pod szczytem w dniu, kiedy tata zdobył Api. Zapytałam: – Zbyszek, czy jesteś pewny, że tata wszedł na tę górę? – Tak jestem pewny. – A na jakiej podstawie? – Bo już był tak blisko, że nie było innej możliwości. Tylko ta siła, Magda, ta siła to jest niemożliwa. Wyrwał pierwszy, wyprzedził wszystkich. Jak to możliwe, żeby dał radę tak gnać? My byliśmy wykończeni, Tadek ledwie dychał, a uchodził za mocnego faceta. Tadek, jego kierownik, zawracał go, ale tata nie odpowiadał, nie chciał. Ja to rozumiem, to była jego trzecia wyprawa, dwie skończyły się niepowodzeniem. Musiał bardzo pragnąć tam wejść. Zbyszek opowiadał, że tata miał tragiczne początki na Api, że wcześniej, przy niższych obozach, spadał gdzieś, zjeżdżał i cudem wychodził z tego cało. Musiało stać się coś, co sprawiło, że ruszył, nie oglądając się na innych. Są przecież relacje ludzi po chorobach wysokościowych, którzy robili dziwne rzeczy, wchodzili na szczyt i nie mieli siły zejść, wpadali do szczelin, usypiali. Podobno tata miał przy sobie jakieś tabletki, chciałabym wiedzieć więcej, może ktoś coś wie? Wujek, brat mojej mamy, Jerzy Tillak, mówił, że tata był wtedy bardzo silny, zdobył się nawet na takie słowa, że jego zdaniem był dużo silniejszy i bardziej przygotowany niż Tadek Piotrowski. Wujek sporo wiedział o tacie, to on zaszczepił w nim smykałkę do wspinania, jeździli razem na niektóre wyprawy. Wujek ma 74 lata i do tej pory wyjeżdża w Himalaje. Nie opowiada, kiedy jedzie, zaledwie kilka osób wie. Zawsze się o niego wtedy martwię, śledzę informacje ze

świata, żeby wiedzieć, co się może z nim dziać. Nikt z bliskich nie wie, że to sprawdzam i tak bardzo przeżywam. Jest skromnym człowiekiem. Ma dużą wiedzę i odwagę mówienia o rzeczach, o których nie mówi nikt, dlatego go namawiam, żeby wypowiedział się w książce o tacie. Twierdzi, że tam, na górze, stało się coś, czego on nie rozumie, ale nie wierzy, że tata nie poradziłby sobie z zejściem. Był wtedy w Himalajach, robił rekonesans na Nanga Parbat. Kiedy zszedł, jeszcze w Delhi w Indiach, spotkał się z chłopakami z wyprawy taty, zapytał ich, gdzie jest Andrzej. Oni odpowiedzieli, że został. Wujka oburzyło, że mieli „dobre” nastroje. Zapytał wtedy, czy my wiemy. Powiedzieli, że nie. Okazało się potem, że w dniu, kiedy wujek nadał telegram, zadzwoniła do nas Hanka Wiktorowska.

Trzeci sposób na upamiętnienie taty – wyprawa. Magda wymyśliła, że namówi ludzi gór, żeby zorganizowali wyprawę ku czci jej taty.

– Bardzo mnie boli, że o Api się nie mówi. Ojciec wszedł na nią zimą, a o tej górze nikt nic nie wie. Nawet doświadczeni wspinacze pytają: gdzie to jest?

Chce, żeby alpiniści weszli na szczyt, a inni, niedoświadczeni uczestnicy, jak ona, doszli po prostu do bazy.

Tylko skąd wziąć doświadczonych alpinistów, skoro samemu się nie wspina i nie zna się środowiska? Otóż z festiwalu górskiego. Takich imprez odbywa się kilkanaście w roku: przeglądy filmowe, festiwale podróżnicze, wspinaczkowe. Na najważniejszych i najbardziej prestiżowych bywa elita, górskie sławy, można powiedzieć – celebryci. Ci, którzy teraz jeżdżą na najgłośniejsze wyprawy, ale też dawni zdobywcy, ich rodziny, krótko mówiąc: całe środowisko tam się zbiera.

Magda wybrała się na Spotkania z Filmem Górskim do Zakopanego i Łąka-Zdroju. Był rok 2018, tuż po powrocie narodowej wyprawy na K2, po śmierci Tomka Mackiewicza i uratowaniu Élizabeth Revol na Nanga Parbat. Wszyscy tam byli: Adam Bielecki, Denis Urubko, Krzysztof Wielicki, Janusz Majer, Janusz Gołąb, Piotr Pustelnik, Leszek Cichy, Rafał Fronia, Artur Małek, Rysiu Kowalewski, Michał Kochańczyk, Krysia Palmowska,

Ania Czerwińska, Waldek Fiut, Danka Piotrowska, Alek Lwow, Andrzej Bargiel, Magda mogłaby jeszcze długo wymieniać, była też Revol po powrocie z Nangi.

Magda chciała do nich podejść i zapytać, czy byliby zainteresowani wyprawą na Api, chciała ich też po prostu poznać. Znała ich z książek, filmów, śledziła ich kariery. Gdyby jej ojciec tu był, byłby ich kolegą, ale go nie ma i już go nie pamiętają. Wiedziała, że kiedy się przedstawi, jej nazwisko im nic nie powie.

– Bałam się, że mi nie pomogą. Zastanawiałam się, jak zacząć rozmowę, jak opowiedzieć, czego od nich chcę?

Podeszła. Nie zachęciła do zdobycia Api, ale porozmawiała.

– Krzysiu Wielicki stwierdził, że to bardzo odległa góra i nie jest na tyle atrakcyjna, żeby organizować wyprawę.

Podeszła do Élisabeth Revol.

– Zaczęłam jej mówić, że cieszę się, że żyje, że bardzo się z nią utożsamiam, że wiem, jak trudna była dla niej śmierć Tomka, bo ja w wieku dziesięciu lat straciłam tatę w Himalajach. Zainteresowała się, zaczęła pytać, na jakiej górze tata zginął, jak to się stało, czy nie chciałabym tam wrócić. Kobieta kobietę lepiej rozumie, zadawała pytania, których nigdy by nie zadał mężczyzna. Robiła to w subtelny sposób, fajnie nam się rozmawiało. Bardzo pozytywna osoba, bardzo ciepła.

Kiedy siedziałyśmy w tawernie nad morzem, idea wyprawy na Api wydawała się zawieszona. Magda planowała trekking z Januszem Kalinowskim, himalaistą, który prowadzi agencję górską. Postanowiła z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin wybrać się do sanktuarium pod Annapurną. Miesiąc później pojechała na wakacje w Tatry. Chodziła śladami ojca, wrzucała na Facebooka zdjęcia, między innymi tablicy z jego nazwiskiem w Wiktorówkach. I nagle dostałam od niej wiadomość: „Odwiedził mnie w Kościelisku Janusz Kalinowski, wiceprezes klubu Polskie Himalaje. I teraz już oficjalnie mogę powiedzieć, że będzie trekking!” i przekazuje wiadomość od Kalinowskiego: „Api Base Camp Trek 2026 w hołdzie Andrzejowi Bieluniowi na 80. urodziny. Termin: kwiecień 2026. Lider:

Magdalena Bieluń. Patronat: Miasto Gdynia, Miasto Gdańsk, Klub Wysokogórski Trójmiasto, Alpinistyczny Klub Eksploracyjny Sopot, Organizator: klub Polskie Himalaje”. „Wow! Gratulacje! Ale musisz być szczęśliwa. Na szczyt czy do bazy?” „Ja pod szczyt, może ktoś zechce na szczyt. Jestem bardzo szczęśliwa!”

Magda pisze: „Chcę, aby po mojej śmierci tam, na Api, zostały rozrzucone moje prochy”.

„11 listopada 83.

Córeczko Moja Kochana,

(...) Zadziwiło mnie Twoje zainteresowanie górami. Pamiętasz, kiedyś rozmawialiśmy na ten temat i nie chciałaś pojechać w góry. Twierdziłaś, że jest tam zimno i ciężko. Wiedz o tym, że góry nie tolerują leniuchów i takich, którzy nie lubią trudu do ostatka. Te wszystkie moje radości w górach okupione są bardzo ciężką pracą i skrajnymi niewygodami. Radość ze zdobycia szczytu przychodzi dopiero w bazie, kiedy po zmaganiach zejścia z góry zdejmuję przepoconą wielokrotnie, cuchnącą odzież i po kąpieli jeszcze raz patrzę na górę, którą zdobyłem. A bywa i tak, że trud całego przedsięwzięcia przekreśla okres złej pogody – trzeba się wtedy gorzko godzić z przegraną.

Być może kiedyś spędzimy razem wakacje w górach i jeżeli zasmakujesz w górskich mozolach, będzie to Twoja wielka pasja do końca życia (...).

Pisz do mnie jak najwięcej”.

– Doskonale rozumiem ludzi, którzy idą, zostawiają rodziny.

– Naprawdę to rozumiesz?

– Rozumiem.

– Po tym, co przeżyłaś?

– Ja bym też poszła...

– Ale nie idziesz.

– Boję się, że... wiem o tym, że gdybym tam poszła, poczułabym to co oni. Nie idę, nie umiem się wspinać, ale pójdę na trekking pod szczyt w 2026. Dzieci będą starsze, nie idę wysoko i będą mnie

prowadzić profesjonalści, więc to nie to samo. Ale rozumiem tę potrzebę.

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin

Między ojcami

Bardzo ambitni ludzie nie zawsze dobrze kończą.
Anna Czerwińska, „Gazeta Wyborcza”, *Lodowi wojownicy boją się kobiet*, wywiad Łukasza Długowskiego, 28.03.2014.

Małgorzata mówi, że był przystojny. Bardzo męski, sto procent testosteronu. Uderzyło ją, jakie miał piękne oczy. Spojrzała w nie i jej intuicja artystki powiedziała, że ten, kto ma takie oczy, ma też piękną duszę.

Zakochała się bez pamięci.

1982

I rzeczywiście: ze zdjęcia spogląda wysoki, pięknie zbudowany mężczyzna z bardzo współcześnie przystrzyżoną kasztanową brodą. Oczu, a zatem i duszy, na tej kolorowej rodzinnej fotografii, chyba zrobionej polaroidem, nie widać.

Ale nie trzeba nawet oglądać zdjęć Karola, żeby zrozumieć, że to zakochanie było nieuchronne.

Bielsko-Biała, rok 1982. Stan wojenny, pustki w sklepach, zamknięte granice. Najciekawsze firmy w okolicy to Fabryka Samochodów Małolitrażowych, w której robotnicy montują małego fiata, Studio Filmów Rysunkowych, gdzie powstaje bajka *Bolek i Lolek*, oraz Polmos.

Życie towarzyskie toczy się w domach, przy liściastej herbacie yunnan lub przy produktach Polmosu. Nie ma wielu możliwości. A Małgosia, maturzystka po liceum plastycznym, specjalistka od tkania artystycznego, szuka czegoś więcej. Nie dostała się do łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych, pracuje w bielskim domu kultury i czeka na przygodę.

Marzy, żeby jej życie było inne niż życie jej mamy.

Małgorzata: – Jej życie to był heroiczny trud. Bieda, ciężka praca i zero przyjemności.

Ojciec Małgosi jako dwudziestolatek na wiele lat trafił do stalinowskiego więzienia za atak na posterunek milicji. To doświadczenie złamało mu życie. Wyszedł jako zniszczony człowiek. Zmęczony, schorowany i trudny. Matka musiała radzić sobie sama. Z piątką dzieci, domem i ogrodem. Żeby mieć co jeść, hodowała kaczki, kury, króliki, uprawiała warzywa. Kiedy była już starszą panią, z goryczą powiedziała do Małgosi: „Ja nic w życiu nie użyłam. Nic, tylko robotę”.

Kiedy się poznają, Karol pracuje w Fabryce Samochodów Małolitrażowych, próbuje utrzymać się na studiach na politechnice i dorabia, malując wieżę kościoła. Ma uprawnienia do pracy na wysokości, a potrzebuje każdych pieniędzy, bo zbiera na wyprawę w wysokie góry. Tu, w Polsce 1982 roku, w czasie stanu wojennego, między jedną a drugą falą podwyżek, on zbiera na wyjazd do Nepalu.

Inaczej niż koledzy z plastyka, Karol jest dorosły. O dziewięć lat starszy, ma własne zakładowe mieszkanie i pasję. I do tego te oczy.

Poznali ich wspólni znajomi. Spotkali się na prywatce, wśród plastyków było sporo wspinaczy, oba towarzystwa się mieszały. Impreza, randka, druga randka...

Małgosia poznała Karola krótko po jego okresie rowerowym: – Jeździł na kolarzówce. Ale jak! Do upadłego. Bo miał tendencję do robienia wszystkiego na maksa. Bezwzględnie, do końca.

Paweł Sopicki, syn Małgorzaty i Karola: – W rodzinie jest mnóstwo legend opowiadających o szalonych pomysłach ojca. O tym, jak zjeżdżał na nartach z dachu stodoły, albo o tym, jak jadąc w Himalaje, wysiadł z pociągu na jakiejś malutkiej stacji, bo chciał kupić coś do jedzenia, a wtedy pociąg ruszył. Tata złapał jakiś samochód, kazał kierowcy gonić pociąg, skoczył, wdrapał się na dach i przez uchylone okno wślizgnął się do przedziału!

Kolarstwo jest bardzo niebezpieczne. W pierwszej chwili wydaje się to śmieszne, przecież każdy z nas jeździ na rowerze – po

podwórku, do pracy, do sklepu – i nie myślimy o tym, jak o czymś ekstremalnym. A jednak wyścigi kolarskie uchodzą za jeden z najbardziej niebezpiecznych sportów – kolarze osiągają ogromne prędkości i jednocześnie nie są zabezpieczeni, w razie upadku łatwo dochodzi do bardzo poważnych obrażeń.

Karol lubił się ścigać, dopóki nie pojechał na zakładową wycieczkę nad Morskie Oko. Miał dwadzieścia siedem lat, kiedy pierwszy raz zobaczył Tatry.

Wrócił i postanowił, że będzie się wspinać.

Od razu, po tej pierwszej wycieczce, na której zobaczył Mięguszwieckie Szczyty, wiedział, że nie będzie wchodził na góry szlakiem turystycznym. Tak jak wcześniej nie jeździł turystycznie rowerem.

Zrobił podstawowy kurs wspinaczkowy w skałach, zaraz potem kurs taternicki, dający uprawnienia do wspinania się w Tatrach, potem taternicki zimowy.

I wspinał się tak, jak wcześniej ścigał – do upadłego, na maksa, do końca. A nawet bardziej, bo oprócz nowej pasji miał jeszcze poczucie straconego czasu.

Większość wspinaczy zaczyna wcześniej. Adam Bielecki urywał się w skałki pod koniec szkoły podstawowej, Wanda Rutkiewicz – na początku studiów. Norma to szkoła średnia, początek studiów. Karol miał osiem–dziesięć lat w plecy i ambicję, by dogonić kolegów.

Rzeczywiście, na początku lat osiemdziesiątych czterdziestolatek w Himalajach uchodził za staruszkę. Nie to co w obecnym stuleciu, kiedy pierwszego zimowego wejścia na Broad Peak dokonał między innymi pięćdziesięciodziewięcioletni Maciej Berbeka.

No, ale tego Karol nie mógł wiedzieć.

Drugiego października 1982 roku wzięli ślub.

– Krótko go znałam, ale pojawiło się dziecko i trzeba było się pobrać. Zamieszkali w kawalerce Karola i zaczęli się poznawać.

Pierwszego sylwestra spędzili osobno.

Karol pojechał ze znajomymi w góry, Małgosia, w ósmym miesiącu ciąży, do rodziny. Jej znajomi się dziwili, jego nie.

1983

Pawełek przyszedł na świat w lutym. Małgosia urodziła sama, w czym nie było nic dziwnego, bo nie słyszano jeszcze w Polsce o porodach rodzinnych.

Miała dwadzieścia dwa lata. Spojrzała na dziecko i poczuła, że jest bezgranicznie szczęśliwa.

– Patrzyłam na niego i myślałam, że to jest cud. Absolutny cud świata, prawdziwy dar od Boga. To, że to dziecko żyje i że jest moje... Natomiast mąż inaczej ten cud odbierał. Niby próbował jakoś łączyć jedno z drugim, czyli życie z górami, ale raczej wybierał to drugie. Czyli góry.

Co to dokładnie znaczy?

Że wolne dni spędzała sama z Pawełkiem. Albo z Pawełkiem i swoimi znajomymi. Ale bez Karola, bo Karol był w górach.

Że Karol nadal łąpał wszystkie zlecenia, żeby mieć na sprzęt i na wyprawy, więc ciągle go nie było w domu.

Już w kwietniu, kiedy Paweł miał dwa miesiące, jego tata był w Indiach.

Małgorzata czuła, jakby dla jej męża rodzina była dodatkiem, doklejką do prawdziwego życia. Życia, w którym trzeba wskoczyć na dach, by złapać uciekający pociąg. Jak to widział on sam? Na pewno tęsknił. W kwietniu pisał z Nowego Delhi:

„Kochana Żono!

Dzięki wyjazdowi mam przyjemność pisać po raz pierwszy list do Ciebie i zwracać się w ten niecodzienny sposób. Przedwczoraj, czyli w poniedziałek rano, wylądowałam w Delhi. Już na lotnisku w Moskwie spotkałem parę z dzieckiem na ręku w wieku Pawła – płakał tak samo jak on. Również później każde spotkane malutkie dziecko na ręku matki robiło na mnie takie wrażenie jak onegdaj panienki w wieku kwitnącym. Teraz jest odwrotnie, bo panienki pomijam bez emocji, a na widok small children dostaję tkliwości.

Paweł najprawdopodobniej nadal jest zdrowy?

Od trzech dni kręcę się w świecie biznesu. Zdążyłem już zarobić 200 dolarów i zmagazynować 4,5 kg kawy, pięć spódnic i chyba z siedem różnych sukienek”.

Kiedy Karol był z nimi, czasem bawił się z Pawełkiem. Lubił go podrzucać albo uprawiać z nim gimnastykę.

Paweł Sopicki: – Ćwiczył mnie w taki sposób, że trzymał mnie w powietrzu za nogi, a moim zadaniem było zachować pion. Ale to nie jest moje wspomnienie, mnie się wydaje, że to pamiętam, ale tak naprawdę pamiętam, jak mi to mama i wujek opowiadali. Po tacie mam dziurę, praktycznie żadnych własnych wspomnień. Z wyjątkiem jego brody.

1984

Małgorzata: – Pojechaliśmy nad morze, na wczasy pracownicze. Jak ja się cieszyłam! Myślałam, że wreszcie pobawimy się we trójkę, zwiedzimy coś, popływamy... A gdzie tam! Nie wchodziły w grę spacer, stawianie babek, oglądanie zachodów słońca. Karol biegał po plaży, trenował tak, że odbił sobie pięty. Potem spakował się i wyjechał.

Wrócił do Bielska, ona została. Z dzieckiem, bagażami, dmuchanym kołem i wiaderkiem do zabawy w piasku.

Z całym tym majdanem przyjechała pociągiem do domu. Mąż odebrał ich z dworca w bardzo dobrym humorze. Udało mu się wyskoczyć na parę dni w Tatry, zrobił kilka świetnych dróg.

Nie rozumiał jej żalu.

Nie rozumiał ani tego, jak jej było ciężko wpełznąć się do zatłoczonego pociągu z walizką i dzieckiem na ręku, ani tego, jak piękne były jej marzenia o wspólnych spacerach po plaży i chwili oddechu, kiedy on zająłby się synem.

A może zrozumiał, ale później?

„Podróżując tak sam – dopiero 10. dzień – doszedłem do wniosku, że na przyszły rok trzeba zostawić przynajmniej tydzień urlopu i pojechać z Tobą i Pawełkiem na wczasy, może nad morze. Nawet nie czujesz, jak jesteście kochani i jak tęsknię za Wami. Chciałbym jak najszybciej wrócić do Was”.

1985

Karol był tak głodny wspinania, zdesperowany potrzebą nadgonienia lat, kiedy jeszcze nie znał gór, że wstąpił do dwóch klubów wysokogórskich – trójmiejskiego i bielskiego. Dzięki temu miał więcej partnerów i więcej szans na wyprawy. To niestandardowe, himalaiści zwykle wiążą się z jednym klubem, tym, który działa na terenie ich zamieszkania.

W roku, w którym zginął, był na dwóch wyprawach.

Pierwszą, wiosenną na Czo Oju, szósty najwyższy szczyt świata (8201 m n.p.m.), leżący na pograniczu Tybetu i Nepalu, organizował Klub Wysokogórski Trójmiasto. Kierownikiem był Wacław Otręba.

Dwunastego maja Karol napisał do Małgosi z tej wyprawy:

„Kochana Gosiu i Pawełku!

Zamiast pojechać do Kalkuty, w ciągu jednego dnia i dwóch nocy przyjechałem do Katmandu, gdzie jestem już drugi dzień. Gdy wsiadłem w Delhi do pociągu nabitego bambusami, nie mogąc całą noc zmrużyć oka, bo jechałem sam i musiałem sobie pilnować bagażu, złapała mnie taka tęsknota za Wami, że gdybym był sam, tobym się z przyjemnością pobeczał – czyż to nie jest dowód miłości do Was, o czym na co dzień się nie mówi?!

Tutaj, w Katmandu, są tanie japońskie zegarki elektroniczne i już wiem, jaki Tobie kupię, wracając z gór (...).

Gdybyś jednak zdecydowała się napisać do mnie list, goniec, jakiego wyprawa zatrudnia, przyniosłby mi go do bazy. Po

otrzymaniu takiego listu z radości na pewno wlaźłbym na Czo Oju i jeszcze rozglądał się za Everestem!

Serdeczne pozdrowienia,
Karol”

Listy Karola do żony mówią nie tylko o nim, ale i o obyczajach środowiska (handel, jako podstawa finansowania wypraw) i o standardach tamtych czasów. Słowa, które dziś są rasistowskie, wtedy były niewinne, wydawały się żartobliwe, a nawet ciepłe. Zupełnie jak Murzynek Bambo z wiersza Juliana Tuwima, dziś rugowany z lektur szkolnych, nienadający się do czytania dzieciom bez słów komentarza, w czasach autora nie był niczym złym. Zmienił się świat, zmienił się nasz język. Zegarek „elektronowy” stał się elektroniczny.

Zegarka zresztą Karol żonie nie przywiózł; to szczęście, że sam wrócił.

Bo z Czo Oju jeszcze wrócił, choć z kontuzją.

Podczas wyprawy doszło do groźnego wypadku, w którym ucierpiały trzy osoby: Karol Sopicki, Mirosław Gardzielewski i wyprawowy lekarz, Marek Roslan, którzy byli w obozie, gdy zeszła gigantyczna lawina. Barwnie opisali to zdarzenie Wojciech Fusek i Jerzy Porębski, autorzy książki *Lekarze w górach. Bohaterowie drugiego planu*:

„Masa śniegu i lodu, spadając z południowej ściany Czo Oju, wywołała podmuch porównywalny z podmuchem po wybuchu bomby atomowej. To zaskoczyło wspinaczy. Doktor tak bardzo nie potrafił przewidzieć, co się wydarzy, że wyszedł przed namiot i fotografował niezwykle zjawisko. Nagle pędząca przed śnieżnym tumanem fala uderzeniowa uniosła i przerzuciła kilkadziesiąt metrów jego i pozostałych. Zdarła czapki, okulary, a nawet niezapięte kurtki. Następnie śnieżny pył przysypał wszystko białą warstwą. Gdy świst pędzonych wiatrem odłamów lodu ucichł, każdy z trójki miał w głowie jedną myśl: PRZEŻYŁEM!

Podmuch rzucił Karola Sopickiego na skałę, 30 metrów za namiotami! Wyglądało, że ma pękniętą miednicę, uraz głowy i klatki piersiowej. Ból powodował, że nie mógł się ruszać”.

Rannych udało się ewakuować helikopterem. Karol wrócił do domu potężnie poobijany, ale z poczuciem niedosytu i z wykorzystanym urlopem na cały rok.

Małgosia nie pomyślała wtedy tego, co później wciąż jej chodziło po głowie: że ta lawina na Czo Oju była ostrzeżeniem. Żółtą kartką, którą los pokazał Karolowi, a ten ją, niestety, zlekceważył.

Jesienią ruszyła druga wyprawa, tym razem pod jego kierownictwem. Jej celem był Ganesh IV, siedmiotysięcznik (7104 m n.p.m.), również leżący w Himalajach, na nepalsko-tybetańskim pograniczu. Przed wyprawą Karol poszedł do kierownika z prośbą o dodatkowy, bezpłatny urlop. O pieniądze się nie martwił, wiedział, że z Nepalu przywiezie tyle kilogramów kawy, indyjskich sukienek, spódnic i chust haftowanych srebrną i złotą nitką, że zarobi więcej niż w fabryce.

Małgorzata: – Te sukienki, te złote nitki, to był wtedy szzał! Dziewczyny to sobie wrywały!

Niestety, kierownik nie zgodził się na dodatkowy, nawet bezpłatny urlop. W tej sytuacji Karol rzucił pracę.

Tak jak kilka lat wcześniej rzucił studia. Miał problem z egzaminem z zaawansowanej matematyki – w pierwszym terminie oblał, drugi wypadał w trakcie zaplanowanej już wyprawy.

Wykładowca oznajmił: „No cóż, musi pan wybrać, co jest dla pana ważniejsze”. I Karol wybrał.

Został skreślony z listy studentów.

Przed wyjazdem na jesienną wyprawę powiedział żonie: „Nie martw się, jak wrócę, wszystko pozałatwiam”.

Drugiego października w Katmandu, dwa dni przed wyjazdem autobusem do miejsca, z którego wspinacze mieli ruszyć

dziesięciodniową karawaną do bazy, Karol napisał do żony list:

„Kochana Gosiu!

Dzisiaj trzecia rocznica! Miałem wysłać telegram, ale spotkaliśmy koleżankę, która jutro odlatuje do Amsterdamu, a stamtąd do RFN i weźmie z sobą ten list, który wyśle z RFN. Dałem jej też film KODAK z poprzedniej wyprawy i ma go przysłać do domu po wywołaniu.

Gosiuniu – dzisiaj dostaliśmy permission na Ganesha IV (...). My wyjeżdżamy pojutrze razem z oficerem łącznikowym. Pozwolenie mamy do 15 listopada i najpóźniej tego dnia powinniśmy być na szczycie. Przedwczoraj mieliśmy spotkanie z miss Howley z agencji Rojtera. Dzisiaj jakiś kolekcjoner przyszedł do nas, aby mu złożyć po 50 podpisów (autografów) na kopertach. Spotykamy się z uczestniczkami kobiecej wyprawy z KW Katowice na Nilgiri North 7100 m (...). Następny list będę chciał wysłać z bazy przez sirdara, który będzie naszym łącznikiem między bazą a resztą świata – gdyby tak przyniósł do bazy list od Ciebie! Z wiadomościami z normalnego świata i od Ciebie! (...)

Z okazji trzeciej rocznicy ślubu chciałbym Ci życzyć, aby chociaż następną spędzić razem.

Przesyłam pozdrowienia dla Pawełka.

Karol”

Piątego listopada 1985 trzech polscy wspinacze, Karol Sopicki, Bogusław Janczała i Krzysztof Przysiał, znikli obserwującej ich z bazy przez lornetkę lekarce wyprawowej, Ewie Bancer, we mgle spowijającej szczyt Ganesh. Szacowali, że zdobędą go 8 listopada, po trzech dniach wspinaczki. Kiedy po tym czasie nie wrócili, doktor Bancer wezwała pomoc. Dziesiątego listopada trzech szerpów ruszyło na poszukiwania zaginionych himalaistów, ale jedyne, co znaleźli, to namiot rozbity na wysokości 6700 metrów, czterysta metrów w linii prostej nad ostatnim obozem.

Małgorzata: – Byłam w pracy. Nagle ktoś podszedł i powiedział, że w radiu mówią, że w górach zaginął jakiś Karol Sopicki. Czy to przypadkiem nie mój Karol?

Jeszcze nie było mowy o tym, że himalaiści nie żyją, na razie radio informowało, że są poszukiwani.

Wyszła z pracy. Pobiegła do siedziby klubu wysokogórskiego. Tam wiedzieli niewiele więcej. Szerpowie przypuszczali, że himalaiści zginęli w lawinie, to było jedyne wyjaśnienie.

Po kilku miesiącach Małgorzatę odwiedziła doktor Ewa Bancer, młodziutka lekarka, tuż po studiach. Przywiozła rzeczy Karola.

– Buty i sweter z owczej wełny, który mu zrobiłam na drutach. Patrzyłam na to, myśląc, co po człowieku zostaje – mówi Małgosia.

Lekarka opowiadała o wyprawie. O tym, jak obserwowała trzy punkciki mozolnie poruszające się do góry i jak nagle punkciki znikły. O tym, jak była przerażona, kiedy została w bazie sama z tragarzami. I o rozmowie z ekipą, która spotkała Polaków, schodząc ze szczytu.

Małgorzata: – Ostrzegli ich, żeby zawrócili, bo będzie załamanie pogody. Ale oni wiedzieli, że to ich ostatnia szansa, bo pogoda miała się zepsuć trwale, a pozwolenie na atak wygasało za kilka dni, postawili więc wszystko na jedną kartę.

Kiedy Małgorzata myślała, że gorzej nie może być – ma dwadzieścia cztery lata, niespełna trzyletnie dziecko, właśnie straciła męża, którego szaleńczo kochała – okazało się, że jej i Pawełkowi grozi eksmisja.

Bo kiedy Karol zwolnił się z pracy, żeby móc pojechać na Ganesh, stracił prawo do zakładowego mieszkania. Zaginął czy zginął, ona i dziecko muszą się wyprowadzić. Już.

Wtedy pomogli mi koledzy Karola z klubu. Ktoś wiedział, że w jego fabryce jest wolny etat, poradzili, żebym się szybko zatrudniła i napisała podanie o zachowanie mieszkania.

Tak zrobiła, nie zastanawiając się ani chwili.

Kiedy bliski człowiek zaginie, cierpienie nie ma dna. W każdą bezsenłą noc snuje się rozważania, gdzie teraz jest, jak cierpi, bo nie dostaje pomocy. Może stracił pamięć? Nie wie, kim jest i dokąd ma wrócić, żeby odzyskać siebie. Może jest w strasznej opresji? W niewoli? Biedzie, głodzie? Może ma nową, lepszą rodzinę?

Latami, nie tylko w bezsenne noce, można sobie zadawać tortury, wyobrażając sobie jego dalsze życie.

Ale zaginięcie daje też pewien komfort. Oczywiście komfort względny, tylko w porównaniu z wiedzą o śmierci.

Maria Błaszkiwicz, mama Wandy Rutkiewicz, do końca swojego stuletniego życia wierzyła, że jej starsza córka żyje. Z jakiegoś sobie tylko znanego powodu zeszła z Kanczendzongi i ukrywa się w Tybecie. Jeśli ukochany człowiek zaginął, a nie zginął, jest nadzieja, że cierpienie kiedyś się skończy. Tak widzą to jedni. Inni znów chcą za wszelką cenę poznać prawdę, uznając, że najgorsza jest wieczna niepewność. Większość, prędzej czy później, chce móc ukochaną osobę pochować. Choćby symbolicznie.

Znajomi Karola zorganizowali nabożeństwo w jego intencji. I to było straszne. Ludzie wzruszeni, zatopieni w modlitwie, płaczą. Ona też powinna. Przynajmniej modlić się za jego duszę lub ocalenie powinna umieć. A nie umiała. Jedna msza, druga, a ona tylko chciała, żeby Karolowi było tak ciężko jak jej. Żeby tak samo cierpiał.

– Ja nawet nie byłam wtedy w stanie dać na mszę za niego. Nie ze złości. Z bólu.

Cierpiała tak strasznie, że chciała ze sobą skończyć.

Powstrzymała ją myśl o Pawełku. Bo co z nim będzie?

I Bóg. Bo poszła ze swoją rozpaczą do kościoła i doznała łaski nawrócenia.

Co jak najbardziej dosłownie uratowało i zmieniło jej życie.

Przystąpiła do Ruchu Odnowy w Duchu Świętym. Grupa modlitewna dała jej nie tylko możliwość rozwoju duchowego, ale

też poczucie przynależności. I kto wie, czy nie było to wtedy najważniejsze – życzliwe, ciepłe towarzystwo.

Kawalerka była mała, co miało ten feler, że nie mieli z Pawłem gdzie się przed sobą schować, ale też tę zaletę, że czynsz był niski. Polski Związek Alpinizmu zarządzał funduszem dla dzieci alpinistów, którzy zginęli, i przez jakiś czas Małgosia z Pawłem dostawali wsparcie. Czasem coś podrzuciła teściowa, potem doszła renta, jakoś udawało się spłacić budżet.

Nagła śmierć bliskiej osoby oznacza nie tylko dramat uczuciowy i pogorszenie warunków życia, ale także konieczność załatwienia wielu spraw papierkowych.

– Długo wierzyłam, że Karol żyje. Ale minął rok, minął kolejny. Żeby dostać rentę na dziecko, musiałam mieć akt zgonu. Trzeba było sądownie przeprowadzić uznanie go za zmarłego.

Marian Sajnog, ratownik górski, uczestnik sześciu wypraw w Himalaje i Karakorum: – To trudna i męcząca procedura biurokratyczna. Dlatego często z wnioskiem o uznanie zaginionego w górach himalaisty za zmarłego występuje kierownik wyprawy.

Tu jednak kierownikiem był Karol Sopicki.

Gdy nie wiadomo, czy osoba zaginiona żyje, polskie prawo nakazuje odczekać dziesięć lat, nim zaginiony zostanie uznany za zmarłego. Są jednak wyjątki od tej zasady, na przykład zaginięcie w katastrofie morskiej czy lotniczej albo sytuacja ewidentnego bezpośredniego zagrożenia życia, jak na przykład podczas zejścia lawiny śnieżnej.

Wtedy wystarczy rok. Sąd postanawia o uznaniu zaginionego za zmarłego po przesłuchaniu świadków. Dopiero wtedy można uzyskać z urzędu stanu cywilnego akt zgonu, zrobić symboliczny grób, przeprowadzić sprawę spadkową, ponownie wziąć ślub.

1991

Przyszła nowa Polska. Nowy ustrój, nowy rząd, demokracja, łóżka polowe na ulicach i sklepy pełne najróżniejszych dóbr, a Paweł

i Małgorzata wciąż dzielili jeden pokój w kawalerce zakładowego mieszkania. Co wieczór przed snem, po dniu pełnym przygód na podwórku i łące niedaleko bloku, Paweł klękał do modlitwy. I co wieczór, po obowiązkowym *Ojcze nasz*, dodawał od siebie: „Panie Boże i proszę Cię o drugiego tatę”.

Co wieczór Małgosię dławiło w gardle, a potem szła płakać w łazience. Tak jak płacze, wspominając to trzydzieści lat później:

– On się modlił, a ja myślałam: skąd mam mu tego tatę wziąć? Z szafy go wyciągnąć czy skąd?!

Nie rozmawiali o tym.

– Przez długi czas myślałem, że tata nie umarł, tylko został gdzieś w Nepalu i założył drugą rodzinę. Nie czułem się gorszy, że nie mam ojca. Bardziej przeszkadzało mi to, że byłem rudy. Jako jedyny w klasie – mówi Paweł.

– Dla mnie najgorsze było to, że on ciągle o tego tatę prosił. I ciągle czuł się wybrakowany.

– Naprawdę? Ja tego tak nie pamiętam. Jeden z moich kolegów też nie miał taty, ale nigdy nie myślałem, że to nas jakoś łączy.

Trzeba przyznać, że Paweł w końcu tatę wymodlił. Z Małgosiną grupą modlitewną wyjechali do Chorwacji do parafii, w której od 1981 roku odnotowuje się objawienia maryjne. Dwudziestego piątego czerwca 1981 sześcioro młodych ludzi zobaczyło na wzgórzu Matkę Boską. Ivanka Ivanković, Mirjana Dragičević, Vicka Ivanković i Ivan Dragičević, Marija Pavlović i Jakov Čolo modlili się i rozmawiali z nią jeszcze kilka razy od tamtej pory. Mimo prześladowań, jakie spadły ze strony ówczesnych komunistycznych władz zarówno na nich, ich rodziny, jak i księdza z parafii, na terenie której doszło do serii objawień, wiejski kościół w Medjugorje stał się światowym miejscem pielgrzymek, porównywanym z Fatimą i Lourdes.

Paweł Sopicki: – I właśnie tam, w Medjugorje, poznaliśmy tatę.

Właściwie to tatę, nowego tatę, poznał on. Usłyszał, że mężczyzna w pobliżu modli się po polsku, i zanim zastanowił się, co robi, poklepał go po łysej głowie. Małgorzata nie miała wyjścia, musiała wytłumaczyć syna przed Zdzisławem. A potem samo poszło.

– Tata zaczął przyjeżdżać do nas, do Bielska. Bardzo dbał o moje zainteresowania, byłem modelarzem, a on przywoził mi modele samolotów i czołgów, jakieś książeczki. I jednocześnie gonił mnie do nauki, maglował podczas wycieczek, na które mnie zabierał. A mnie strasznie zależało na jego akceptacji, więc nie protestowałem.

1996

Po ślubie Małgosia i Paweł, wpatrzony w ojczyzna jak w obrazek, przeprowadzili się do Krakowa, gdzie mieszkał Zdzisław. On też nie jest tuzinkowym mężczyzną. W PRL związany z opozycją, osiem miesięcy był internowany. Też się wspina. To on zabrał kilkunastoletniego Pawła na ściankę wspinaczkową. Ale też to on, kiedy kilka lat później Paweł pchał się w góry, powiedział: – Paweł, ty uważaj. Historia lubi się powtarzać.

Paweł: – Nie bronił mi gór, ale jednocześnie mnie przed nimi przestrzegał. Był głosem rozsądku.

Małgosia: – Uważałam, że nie mogę zabronić Pawłowi wspinania się, chociaż się tego bałam. Widziałam jednak, że on szuka ojca, że chce się zmierzyć z jego legendą, i twierdziłam, że ma do tego prawo. Na szczęście mąż, który go wspierał, bardzo rozsądnie umiał mu wytłumaczyć, że wspinaczka jest super, ale trzeba umieć w pewnym momencie zadać sobie pytanie, czy na pewno chce iść się dalej.

Karol by poszedł. Nie zadałby pytania, po prostu by poszedł.

Zdzisław nie. Bo nie jest ryzykantem.

Czy jest nudny?

Małgosia: – Nie! Jest bardzo aktywny. Kiedyś lubił spędzać wakacje tak, że brał plecak i przez całe lato obchodził Polskę, wzdłuż granic. Nic oprócz trasy nie miał zaplanowane, spał gdzie popadnie, u ludzi w stodole, w namiocie...

A jaki jest Paweł?

Zawieszony między dwoma ojcami. Podobny do obu. I do żadnego do końca.

Babcia ze strony taty, pierwszego taty, i jego brat zawsze powtarzali, że Paweł jest bardzo podobny do biologicznego ojca. Fizycznie i nie tylko, także pod względem energii, która ich obu roznosiła.

I w drobiazgach: Karol miał paskudny zwyczaj robienia ludziom „iskierki”. Podchodził od tyłu i nagle łaskotał ich pod żebrami. Paweł któregoś dnia zorientował się, że często robi to samo.

Jednocześnie widzi swoje podobieństwo do drugiego taty. On też się wspina, ale tak jak Paweł, czyli od czasu do czasu, rekreacyjnie. Raz na jakiś czas wypad w Tatry, zdarza się nawet zimowe przejście, ale nie tak, żeby każdą wolną chwilę spędzać w górach.

Drugi tata studiował fizykę, nie skończył jej, wybrał teologię, Paweł obronił doktorat z fizyki cząstek elementarnych. Ma świadomość, że to ojczym zaszczerpił w nim miłość do nauki. Ostatnio zastanawia się, czy nie wybrał tej fizyki, żeby mu sprawić przyjemność.

Kiedy Paweł miał siedemnaście lat, urodziła się jego przyrodnia siostra Kasia.

Paweł: – Byłem ministrantem, a w naszym kościele ministranci mieli prawo w czasie mszy wypowiadać swoje intencje modlitewne. Poprosiłem wtedy, pamiętam, żebym był gotów obdarzyć tego malucha miłością. Czyli chyba się trochę bałem...

Wakacje Małgorzata i Zdzisław spędzają głównie na zwiedzaniu – Słowacja, Węgry, Karpaty. Ale kiedy Kasia była mała, pojechali nad morze. I było dokładnie tak, jak Małgosia wyobrażała sobie siedemnaście lat wcześniej: budowanie zamków, kopanie fosy, zachody słońca na plaży i długie spacery wzdłuż brzegu morza.

Po pierwszym tacie Paweł ma w genach jakiś trudny do zaspokojenia i do określenia głód. Głód czegoś więcej, czegoś wszechogarniającego, czegoś silniejszego niż zwykle „tak, lubię góry, podziwiam ich majestat”, „tak, mam ciekawą pracę, fizyka jest szalenie interesująca”.

– Mam w sobie trochę żalu do taty, mojego pierwszego taty, że nie okiełznał odrobinę swoich marzeń ze względu na mnie, a jednocześnie zazdroścę mu, że potrafił całe swoje życie poświęcić pasji. Tej wyprawy, na której zginął, nie zorganizował po

to, żeby zbić nie wiadomo jakie kokosy i mieć na kolejną. Tu chodziło o parcie na szczyt. Tata za wszelką cenę chciał przeprowadzić atak szczytowy. Jednocześnie z jego listów bije ogromna miłość i czułość wobec mamy. Dlatego ja na ojca patrzę jak na człowieka, który miał konflikt tragiczny.

Dwudziestego szóstego września 1985 roku w liście ze swojej ostatniej wyprawy Karol pisał do Małgosi:

„Gosiu! Marzy mi się, abyśmy w przyszłym roku latem razem z Pawłem pojechali nad morze do Bułgarii, chyba w lipcu lub sierpniu. Natomiast w styczniu lub lutym '87 to stare hasło Kos Amuj na Tajlandii (...). Dwa wyjazdy z rodziną w roku to jest coś!”

Tajlandia w 1987 roku brzmi jak bajka. Piękna, ale jednak tylko bajka. Ale już Złote Piaski brzmią realnie. Czy gdyby Karol nie zginął na Ganeshu IV, pojechaliby do Bułgarii?

Czy rzeczywiście o tym marzył, czy tylko tak mu się wydawało w chwilach, gdy przy świetle nowej japońskiej czołówki pisał wzruszające listy do domu?

Czy taki właśnie jest los osoby, która, jak mówi Paweł Sopicki, nosi w sobie tragiczny konflikt: męczyć się z rodziną na plaży i tęsknić za tą męką, będąc samemu? A może to konflikt, którego doświadcza każdy żonaty mężczyzna i każda zameężna kobieta, tylko bardziej dramatyczny, bo rozgrywający się w niezwyklej scenografii?

Karol Sopicki został upamiętniony na pomniku poświęconym dziesięciorgu trójmiejskich wspinaczy, którzy zginęli w wysokich górach. Pomnik odsłonięto 20 października 2018 roku na gdańskim cmentarzu Srebrzysko.

Sweter, który po śmierci Karola przywiozła z wyprawy doktor Ewa Bancer, jeszcze do niedawna nosił Paweł.

Małgorzata w 2010 roku skończyła studia, pracę licencjacką napisała o lwowskich freskach. Pasjonuje się pisaniem ikon, chce się tym poważnie zająć na emeryturze. Wciąż używa nazwiska Karola.

Joanna Sokolińska

Ginąc, zawsze robi się komuś krzywdę

*Nie pytajcie, czy musimy ginąć, i nie szukajcie winnych.
Aleksander Lwow, Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później*

Był 27 maja 1989 roku. Już od ponad miesiąca studenci okupowali plac Tiananmen w Pekinie, w pierwszym tak wielkim proteście w komunistycznym imperium, w dodatku popieranym przez zdecydowaną większość mieszkańców miasta. Była nadzieja i był lęk.

Tego dnia na pograniczu chińsko-nepalskim, na przełęczy Lho La pod szczytem Mount Everestu, przy założonym wcześniej obozie pierwszym na wysokości 5850 m spotkało się sześciu himalaistów z Polski. Eugeniusz Chrobak i Andrzej Marciniak zeszli właśnie ze szczytu, szczęśliwi, ale wyczerpani, Mirosław „Falco” Dąsał i Mirosław Gardzielewski czekali na nich, już w gorszych nastrojach, bo po nieudanym ataku szczytowym, na wypadek gdyby kolegom trzeba było pomóc zejść niżej („Falco” był zmęczony, dzień przed atakiem pisał w dzienniku, że to ostatnia jego wyprawa i że już nawet nie czuje satysfakcji), Andrzej Heinrich i Wacław Otręba weszli na przełęcz z bazy, aby wesprzeć chłopaków i znieść na dół sprzęt. Byli doświadczeni, niektórzy bardzo – ówczesna czołówka.

Byli już blisko zakończenia wyprawy, przedostatnia prosta. Przed nimi była ściana nad przełęczą, musieli się na nią wspiać, a potem zejść w dół, do bazy. Warunki jednak były trudne, wiatr, śnieżyca. Z tego powodu trzymali się blisko siebie. Wisieli na jednej linie na pionowej ścianie, byli już prawie na jej krawędzi, kiedy jak wspominał później Andrzej Marciniak, śnieg nagle uniósł się nad nimi niczym fala. Potężna lawina oderwała się od ściany i razem z grupką ludzi runęła kilkaset metrów w dół. Noc zastała żywych tylko Marciniaka i Chrobaka, w dzień żył już tylko Marciniak. Trzydziestoletni, najmłodszy i najmniej doświadczony ze wszystkich, zdobywca Everestu, ale teraz zupełnie sam. Ponowna

próba sforsowania ściany, by dotrzeć do bazy, nie wchodziła w rachubę, żeby przeżyć, musiał cofnąć się do obozu pierwszego. „Widoczność spadła do zera. Jediną wskazówką był wiatr, który zawsze wiał od przełęczy. Osamotniony himalaista wiedział, że chcąc dotrzeć do namiotu na Lho La, musi poruszać się w takim kierunku, żeby wiatr omiatał go z prawej strony. Po kilku godzinach błędzenia przypadkowo natknął się na namiot. Niestety, na lawinisku zgubił okulary lodowcowe i niemal całkowicie stracił wzrok. Po omacku wyszukał jedzenie, maszynkę butanową i leki. Połączył się też z bazą” (portal gory.online).

Czekał trzy dni. Kiedy stracił nadzieję na pomoc i postanowił iść sam, usłyszał nadchodzących ratowników.

Koledzy z bazy ruszyli od razu. Musieli jednak zawrócić, bo wciąż padało i z góry mogły zejść kolejne lawiny. Na przełęcz trzeba więc było dotrzeć od chińskiej strony, i to zajęło kilka dni gorączkowego pokonywania przeszkód.

Król Nepalu postanowił użyczyć śmigłowca. Musiałby on jednak polecieć przez Chiny, gdzie władze szykowały się właśnie do rzezi studentów. Nie na rękę było im wpuszczanie na swój teren śmigłowca dla ratowania życia jednego człowieka. Za kilka dni chińscy żołnierze mieli ruszyć do pacyfikacji studentów, zabić tysiące młodych ludzi, strzelając do nich i rozjeżdżając czołgami, to tym będzie żył świat. Na razie żył protestami. Chiny piętrzyły więc przeszkody i warunki, aż król zrezygnował z wysłania maszyny. W organizację akcji ratunkowej zaangażowały się ambasady kilku krajów; proces zgód, negocjacji i formalności przeciągał się. Nie pierwsza to była taka akcja i nie ostatnia, znamy przecież te historie, tyle że w tamtym czasie nie było internetu, a proces poszukiwań nie zamieniał się w wielkie bolesne widowisko.

O uwięzionym na przełęczy pod Everestem Polaku, który zdobył najwyższą górę świata, ale nie może o własnych siłach z niej zejść, dowiedzieli się himalaiści z różnych stron świata przebywający akurat w Katmandu. Zaangażowali się w akcję ratunkową. Sprawę przejął Artur Hajzer, późniejszy twórca programu Polski Himalaizm Zimowy. Właśnie zszedł z wyprawy Reinholda Messnera na Lhotse. Rozkręcił akcję – to sprawa górskiej solidarności iść na ratunek

człowiekowi, który utknął w ścianach. Messner pomógł. Hajzer wyruszył z Katmandu z ekipą, w której był też Robert Hall, Nowozelandczyk, siedem lat później sam zginie na Evereście podczas zorganizowanej przez swoją agencję komercyjnej wyprawy turystycznej (powstaną na ten temat książka *Wszystko za Everest* i film *Everest*). Dojechali pod górę przez Chiny (busem po Himalajach można, stamtąd nie da się przeprowadzić żadnej dywersyjnej akcji pacyfikacji studentów), a potem doszli od chińskiej strony na przełęcz. Pierwszego czerwca, trzy dni przed tym, jak w Pekinie wojsko ruszyło na studentów, na przełęczy Lho La pojawili się ratownicy. Sprowadzili Marciniaka, ciała jego kolegów zostawili. Zorganizowanej później specjalnie w tym celu wyprawie nie udało się ich odnaleźć. Tragedia pod Everestem jest uznawana za największą w dziejach polskiego himalaizmu. Z masakrą studentów łączy ją zbliżone miejsce i czas, poza tym to dwa równoległe światy, dwie różne walki na śmierć i życie o zupełnie różne sprawy. Łączy je może jeszcze to, że po każdej z nich zostali bliscy ofiar, a więc ból i strach.

W gdańsko-krakowskiej ekipie szturmującej Mount Everest zabrakło jednej osoby – Michała Kochańczyka z Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto, organizatora i koordynatora przygotowań ze strony gdańskiej. To była jego wyprawa, jednak w dniu wyjazdu zamiast na lotnisko pojechał do szpitala, gdzie koledzy klubowi, a jednocześnie lekarze, wycięli mu pęcherzyk żółciowy. Na stół trafił po porannym badaniu, do którego zmusiła go koleżanka, sąsiadka okulista. Można powiedzieć, że podwójnie zawdzięcza jej życie. A może nie?

– Uważam, że gdybym był na tej wyprawie, niektóre rzeczy z pewnością ułożyłyby się zupełnie inaczej – wspomina. Może pomógłby kolegom uniknąć błędu, który doprowadził do osunięcia się zwałów śniegu? Nie wiadomo.

W Gdańsku do wspomnień o lawinie wraca się regularnie, mimo że minęło już ponad trzydzieści lat. Nic dziwnego, większość ofiar pochodziła z tego miasta, dwie osoby były z Krakowa – Chrobak i Heinrich. Kochańczyk ich znał, z niektórymi się przyjaźnił. Należeli

w końcu do tego samego klubu, jeździli razem w skały i na wyprawy.

– Najdłużej znałem Wacka Otrębę. Razem szkoliliśmy się w Morskim Oku, wspinaliśmy się na klubowych obozach, byliśmy na wyprawie na Czo Oju wiosną 1985, współpracowaliśmy w zarządzie Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto. I oczywiście wspólnie przygotowaliśmy wyprawę na Everest. To ja namówiłem Wacka na wyjazd. Podobał mi się u niego jego stosunek do rodziny. Na obozy wspinaczkowe zabierał żonę Adę i syna Marcina.

Z Gardzielewskim był na czterech wyprawach himalajskich, dwie prowadziły na ośmiotysięczniki – Czo Oju i Nanga Parbat w 1985 roku. Zapamiętał, że „Falco” Daśal umiał cieszyć się życiem, na wyjazdach wspinaczkowych wieczorami grał na gitarze, przejmująco śpiewał piosenkę o Krywaniu. Zygmunt Heinrich to był twardziel, persona, himalajski pogromca. Gienek Chrobak marzył o zdobyciu Everestu od 1980 roku. Był wtedy bardzo blisko szczytu, ale się nie udało. Tym razem nie mógł odpuścić.

Jest początek czerwca 1989 roku. Michał Kochańczyk musi powiadomić żony chłopaków, że zostały wdowami, że ich mężowie nie wrócą do domów, że ojcowie nie wrócą do swoich dzieci.

– Mieliliśmy na to dwadzieścia cztery godziny. Za komuny istniała pewna kultura powiadamiania, nie było takiej sytuacji jak teraz, że na klatce schodowej sąsiadka mówi sąsiadce: a wie pani, że mąż zginął w Himalajach? Teraz sąsiedzi dowiadują się o wypadkach z mediów często przed rodziną. Wtedy mieliśmy czas, żeby powiadomić bliskich osobiście, jako pierwszych. To było bardzo trudne zadanie.

W aneksie do książki *Dosięgnąć Everestu* Doroty Kobierowskiej, opartej w dużej mierze na relacjach uczestników wyprawy: Andrzeja Marciniaka, Marka Rosłana, Jacka Jezierskiego, Kochańczyk wspomina, jak to się odbyło:

„Późnym popołudniem dwudziestego siódmego maja przyszedł do mnie przyjaciel Jacek Bruzdowicz i wstrząsającym głosem powiedział: – Mam bardzo złe wieści. – Kto zginął? – Falco, Mirek, Wacek, Zyga!

To zdawało się niemożliwe.

Zbyszek Kowalewski z Polskiego Związku Alpinizmu zapewniał nas, że media w Polsce zostaną zablokowane na dwadzieścia cztery godziny, abyśmy mogli w godny sposób zawiadomić rodziny.

Wraz z Jackiem i Marcinem Karczem najpierw pojechaliśmy do Kończewic na Żuławach do Eli Gardzielewskiej – żony Mirka. Jak ścięty szedłem pierwszy do ich nauczycielskiego mieszkania. Ela powitała mnie jak zwykle promiennie: – Cześć, Michał, jakie masz wieści o Mirku? Przytuliłem ją z całej siły i już wiedziała. W zdenerwowaniu wyprosiła dziesięcioletniego Marcina do jego pokoju. Przyznaliśmy, że mamy tylko szczątkowe informacje, ale raczej przyniesiona przez nas wieść jest prawdziwa. Zarówno jej, jak i nam było bardzo trudno.

Tego dnia pojechaliśmy też do siostry Mirka do Rumi. To był także trudny moment. Siostra Mirka krzykiem protestu zwróciła się do swojego męża, by zażądał od nas odwołania tragicznej wieści.

Do Ady Otrębowej pojechaliśmy w piątkę: następnego dnia nad ranem. Oprócz Jacka z tą trudną wizytą udali się: siostra Ady i klubowi koledzy – Rysia Zieniawa i Witek Giejsztowt. Ada, widząc nas wszystkich razem w wizjerze, już się domyśliła. Otwierała drzwi, mówiąc: – Tak wiem, złe wieści.

Najbardziej w pamięci utkwiała mi scena, gdy czternastoletni, szczupły, wysoki jak tyka Marcin przylgnął do matki siedzącej w rozpaczy i wtulił się jak noworodek w jej ciało.

Niedawno spytałem Adę, czy nie ma do mnie pretensji, że namówiłem Wacka na wyprawę. Odpowiedziała: – On bardzo chciał tam pojechać...”.

– Trzeba było nie tylko powiadomić rodziny, ale też pomóc im zorganizować uroczystości, kontakty z mediami. Nie można było ich tak zostawić – opowiada Michał Kochańczyk. Uchodzi w Gdańsku za duszę i opiekuna środowiska. – Przypadki śmiertelne zdarzały się nieustannie od lat siedemdziesiątych, po tych, którzy nie wrócili, zostały rodziny. Trzeba poświęcić dużo czasu, żeby pokazać im, że ktoś o nich pamięta, być z nimi, nie opuszczać. Czas leczy rany, ale trzeba wciąż utrzymywać kontakt. Członkowie klubu chodzą na

cmentarze ze zniczami „Jesteś w naszej pamięci, przyjacielu z klubu wysokogórskiego”. Mamy spotkania rocznicowe, memoriały, zawody wspinaczkowe czy narciarskie. W różny sposób czcimy ich pamięć, bo to jest ważne dla bliskich.

Michał Kochańczyk opowiada o miejscu pamięci na gdańskim cmentarzu Srebrzysko, symbolicznym nagrobku poświęconym tym, którzy nie wrócili z gór, zostali pochowani przez kolegów w szczelinach albo zaginęli. Składa się z dwóch płyt z blachy nierdzewnej, ułożonych prostopadłe do siebie. Pionowa kształtem przypomina góry, jest na niej dziesięć tabliczek z imionami i nazwiskami himalaistów oraz datą i miejscem ich śmierci. Od każdej z tabliczek biegnie linia do płyty poziomej, gdzie można postawić świece.

Kiedy lokalna prasa odnotowała odsłonięcie płyt, w komentarzach pod tekstami na ten temat pojawiły się pytania – a dlaczego nie ma tam innych ważnych nazwisk, przecież to nie wszyscy gdańscy wspinacze, którzy już nie żyją. Klub Wysokogórski Trójmiasto wyjaśniał, że jest to miejsce pamięci poświęcone tym, którzy nie wrócili z gór, bo ich ciała zostały w lodowcach Himalajów, Hindukuszu czy Andów. Nie mają swoich grobów w Polsce, zatem powstało miejsce symboliczne, które ich przypomina i gdzie można się za nich pomodlić, zapalić świeczkę...

Tym, którzy w wysokich górach odnieśli sukces, poświęcony jest pomnik Korona Himalajów we Władysławowie (ustawiła go fundacja Aleja Gwiazd Sportu). Czternaście kamiennych bloków z piaskowca symbolizuje wszystkie ośmiotysięczniki. Na każdej płycie przymocowane są tablice z nazwiskami pierwszych polskich zdobywców. Jako jedna z pierwszych stanęła tablica Mount Everest z nazwiskami Chrobaka i Marciniaka. Dlaczego akurat we Władysławowie?

– To dobre miejsce, bywa tam rocznie nawet pół miliona osób – tłumaczy Kochańczyk.

W trzydziestą rocznicę tragedii pod Everestem na symbolicznym cmentarzu taternickim pod szczytem Osterwa w słowackich Tatrach uroczystie odsłonięto tablicę, na której wyryte są nazwiska Chrobaka, Dąsala, Gardzielewskiego, Heinricha i Otręby. Tablica,

tak jak inne tu zgromadzone, przybita jest do skały. Klub Wysokogórski Kraków zamieścił na swojej stronie internetowej obszerną relację z uroczystości.

Przyjechały żony i dorosłe dzieci zrzuconych przez lawinę wspinaczy, ich koledzy z klubu, przyjaciele. Andrzeja Marciniaka nie było, zginął w 2009 roku w słowackich Tatrach, a więc w pobliżu miejsca, w którym teraz wszyscy się spotkali, by wspominać tamtą ekipę.

Cmentarz symboliczny urządzony jest w pobliżu szlaku do pięknego górskiego stawu otoczonego skałami, jak nasze Morskie Oko, nazywa się Popradzki Staw. Nad stawem stoi dość duże schronisko z obszerną jadalnią. Dzień przed odsłonięciem tablicy towarzystwo z Gdańska i Krakowa i inni goście zebrali się tam na wieczór wspominkowy. Z rzutnika puszczały slajdy, przyjaciele opowiadali anegdoty. Było smutno i wesoło. Na zdjęciach z tego spotkania widać twarze zapatrzone w wyświetlone na ścianie obrazy, uśmiechnięte, ale też usztywnione nagłym wzruszeniem. Zdjęcia (umieszczone na stronie Klubu Wysokogórskiego Kraków) są dobrze opisane, łatwo zidentyfikować żony i dorosłe już dzieci Chrobaka, Dąsala, Gardzielewskiego, Otręby, którzy nie wrócili z przełęczy.

Tablicę odsłonięto następnego dnia przed południem. Twarze na fotografiach z uroczystości są poważne, nie ma na nich cienia nostalgicznego rozbawienia, jak dzień wcześniej. Na kolejnym zdjęciu z cmentarza wdowy i dzieci pozują wspólnie, tu już się uśmiechają, są bardziej na luzie, choć nie wszyscy.

Minęło trzydzieści lat, można było już się przyzwyczaić i pogodzić z tym, co wydarzyło się daleko, na wysokiej lodowatej przełęczy pod Everestem, akurat wtedy, kiedy w Polsce wszyscy skupiali się na najważniejszym po wojnie przełomie, wyborach 4 czerwca.

Trudno rozumieć tę pasję. Trudno też być rodziną człowieka, który wybrał rodzinę i góry, a nie jedno albo drugie. Może zginąć i go już nie będzie, może przeżyć, ale wtedy też rzadko bywa w domu. Życie

z człowiekiem, który chce łączyć rodzinę z górami, to życie przeważnie w pojedynkę.

Michał Kochańczyk wspinał się w Tatrach, Pamirze, Himalajach, Andach, w górach Afryki, na Spitsbergenie i Alasce. Był kierownikiem i uczestnikiem dwudziestu wypraw w wysokie góry. Brał udział w przeprowadzeniu nowej drogi na jedną z najtrudniejszych gór na świecie: Fitz Roy w Patagonii. Jest żeglarzem i podróżnikiem, przemierzał pustynie, lasy równikowe, przepłynął w poprzek Bałtyk na drewnianej tratwie. Właśnie wydał część swoich wspomnień w książce *Jedno lato w Himalajach*. Opisuje w niej zmagania związane ze zdobywaniem dwóch ośmiotysięcznych szczytów – Czo Oju i Nanga Parbat. Obie wyprawy odbyły się w 1985 roku, kiedy polski himalaizm przeżywał rozkwit, a regionalne kluby wysokogórskie starały się zaznaczyć swoją obecność w wysokich górach. Ich organizatorami, podobnie jak tamtej, na Mount Everest, były Klub Wysokogórski Trójmiasto i Klub Wysokogórski Kraków. Kiedy koledzy wracali z wypraw do domów, on szykował się na następną. Nigdy nie miał dylematu – wyprawa czy rodzina. Góry zawsze były na pierwszym miejscu, bo rodziny nie założył.

– Kiedy miałem dwadzieścia, trzydzieści lat, moja pasja była tak wielka, że gdy był wybór dziewczyna albo góry, wybierałem góry. Chciałem być wolny. Nie można powiedzieć, że to było moje założenie życiowe, że się nie ożenię. Tak się złożyło. Kiedy miałem trzydzieści pięć lat, bardzo się zakochałem, to było ważne, chciałem się ożenić z tą dziewczyną, ale nie wyszło. Jednak faktem jest, że wcześniej ani później też się nie ożeniłem, a wyprawy miały na to na pewno wpływ. Cieszę się, że na nie jeździłem, że zjechałem świat, a on mnie nadal zachwyca. Czy po dwudziestu latach małżeństwa żona też by mnie zachwycała, a ja ją? Małżeństwo to loteria nie mniejsza niż góry.

Rozumie jednak kolegów, którzy pozakładali rodziny. Nie zgadza się, że musi wtedy być trudniej, jeśli chce się wspinać wysoko (choć zgadza się, że może).

– To jest indywidualne, każdy ma inną wrażliwość – tłumaczy. – Jeden cieszy się, że będzie miał do kogo wrócić. Inny cieszy się, że

może się dzieciom pochwalić, przekazać swoje wartości. Jeszcze inny czuje obciążenie psychiczne, bo ma świadomość, że jeżeli coś się stanie, to będzie duża krzywda. Są też tacy, którzy świadomie zdecydowali, że dzieci nie chcą, i dzięki temu mają większy komfort psychiczny. Jednak ginąc, zawsze robi się komuś krzywdę: rodzicom, rodzeństwu, nawet znajomym, którzy nas lubią, nawet jeśli nie ma się żony i dzieci.

I z kogo dzieci mają mniejszy pożytek – z tego, który codziennie siedzi do nocy w biurze, w weekendy myśli o pracy i jest nieobecny duchem, czy z tego, kto wyjedzie na wyprawę, a potem wróci i zarazi je pasją? Kochańczyk zna odpowiedź, jednak przyznaje:

– Żony i dziewczyny alpinistów zostają na długie miesiące z lękiem o życie ukochanego. Widziałem, ile nerwów, siwych włosów kosztuje to moich kolegów.

Najszczęśliwszy moment związany z wyprawą dla kolegów, którzy założyli rodziny, to ten, kiedy dostawali zgodę żony.

– To była większa radość niż z otrzymania paszportu – mówi Kochańczyk, wspominając lata PRL. – Żony często się zgadzały, pod warunkiem że to ostatni raz. Trzeba było przyrzekać, a potem się te przyrzeczenia łamało. To zrozumiałe, zawsze chce się mieć poczucie bezpieczeństwa. Alpiniści z kolei twierdzą, że ich żony wiedziały, z kim się wiążą, i nie mogą po ślubie żądać, żeby się zmienili.

– Ale sytuacja życiowa może się zmienić. Mogą na przykład urodzić się dzieci.

– Przecież wiadomo, że małżeństwo oznacza dzieci. To nie jest tak, że kobieta wychodzi za alpinistę i nie wie, że będą dzieci. Tak nie wolno stawiać sprawy.

– Czyli żona nie ma prawa używać argumentu, że sytuacja się zmieniła?

– To jest kwestia dogadywania się w małżeństwie. Jedna żona się cieszy, że jej mąż się realizuje, a druga będzie wściekle zazdrosna o jego pasję, a przede wszystkim będzie czuła obawę, że coś mu się stanie. Znam to środowisko pięćdziesiąt lat i wiem, że zdarzają się bardzo różne sytuacje. Widziałem dziewczyny, które przychodziły do klubu zafascynowane chłopakiem, razem z nim przeżywały tę pasję, zdobywali drogi, chodzili w jaskinie, a potem okazywało się,

że one za tym nie przepadały, robiły to z miłości i kiedy była obrączka, dziecko, stawiały szlaban. Zakochana kobieta potrafi zrobić różne rzeczy, żeby osiągnąć swój cel.

– I co wtedy, rozwód?

– To despotyczna sytuacja, gdy mężczyzna, chcąc być szczęśliwym w związku, musi rezygnować z pasji.

– Można być szczęśliwym w związku, rezygnując z pasji?

– Na to nie ma recepty. Można szukać szczęścia w czymś innym – pójść na kajaki, na żagle, jeździć po świecie. Ale jeśli to się nie uda, to zabronienie komuś wyjeżdżania w góry kończy się dużym konfliktem w małżeństwie.

Agnieszka, żona Andrzeja Marciniaka, zabroniła. W książce *Broad Peak. Niebo i piekło* Bartka Dobrocha i Przemysława Wilczyńskiego opowiada o tym, jak wtedy w czerwcu 1989 roku czekała przerażona w Katmandu na wieści z akcji ratunkowej prowadzonej przez Artura Hajzera. A kiedy Andrzej wrócił, postawiła mu ultimatum – ona albo góry. Wybrał ją, poprosił tylko o jeden wyjątek. W 1996 roku chciał pojechać na wyprawę na Annapurnę. Agnieszka opowiada o tym w książce.

„– Najpierw była awantura, płacze, kłótnie. A potem pomyślałam: niech jeszcze raz jedzie, bo po Evereście nie miał nawet święta, była tylko tragedia. Niech udowodni sobie, że Everest nie był żadnym wyjątkiem.

(...) Marciniak po powrocie z Annapurny, zgodnie z naleganiami żony, bierze rozbrat z górami wysokimi. – Jeszcze był potem Wielicki i go namawiał na K2 – wspomina Agnieszka. – Andrzej powiedział: rozmawiajcie z żoną. A ja mówię do Wielickiego: »Tak? To niech on do ciebie od razu jedzie z tych gór«. (...) Jak mnie potraktował? Nie traktowali mnie poważnie. A, gada sobie baba – tak chyba myśleli. Teraz myślę, że on miał odwagę, by im odmówić”.

I jeszcze jedna wypowiedź Agnieszki: „– Po tym wszystkim nienawidzę gór. Nie potrafię znaleźć uzasadnienia, po co oni tam

chodzą. Dziwię się żonom, które opowiadają o tym z fascynacją. Nawet się tej fascynacji boję”.

Argumenty: „wiedziałam, z kim się wiąże”, „to jego pasja”, „nie mogę mu tego zabronić” to bardzo częsta reakcja rodzin himalaistów na pytania o zrozumienie dla specyficznego zamiłowania partnera. To samo dotyczy bliskich himalaistek. Na postawę taką jak ta Agnieszki Marciniak trudno natknąć się w wywiadach z rodzinami himalaistów czy w książkach o górskich wojownikach. Jednak Aleksander Lwow, znany wspinacz, cytowany w tej samej książce co Agnieszka Marciniak, ma zwyczaj dzielić rodziny himalaistów na takie, które otwarcie wyrażają brak akceptacji dla pasji swoich bliskich, i na takie, które tę niezgodę ukrywają.

Dobroch i Wilczyński cytują jego wypowiedź: „– Himalaiści niewątpliwie przyciągają kobiety stylem swojego życia – zauważa Lwow. – Ale później to ich życie zaczyna stanowić w relacji przeszkodę. Apogeum naszej, pokolenia zdobywców lat 80., działalności to wyjazdy po dwa, trzy razy w roku na okres około trzech miesięcy każdy. To nawet trzy czwarte roku poza domem! Żadna kobieta się na to dobrowolnie nie zgodzi. Tylko że one, biedaczki, nie miały innego wyjścia. Mogły tylko nas albo kopnąć w dupę, albo to akceptować. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że nie ma takiej żony, która gdzieś tam głęboko nie chciałaby, żeby on przestał jeździć. Kobieta potrzebuje mężczyzny na co dzień. One tak naprawdę pieprzą ten himalaizm. Oczywiście, są nim początkowo zafascynowane, ale jak przyjdzie co do czego, chciałyby tego faceta zatrzymać. I nic dziwnego, nie należy wiązać się z himalaistami, bo oni muszą prędzej czy później zabić się w tych górach – powtarza swoją znaną w środowisku górskim maksymę Lwow. To tylko kwestia czasu i wytrwałości w dążeniu do celu”.

Himalaiści lubią powtarzać, że zginąć można też na przejściu dla pieszych, nie trzeba jechać w najwyższe góry. To argument, który wywołuje odruch buntu, jednak...

Andrzej Marciniak przyrzekł żonie, że będzie jeździł tylko w takie góry, w które zabierze ze sobą syna. Tatry są górami, w które warto zabrać dziecko i nastolatka. I właśnie tam, podczas wakacji z synem, zginął Marciniak, który przeżył lawinę na najwyższej górze świata. W łatwych, jak na swoje umiejętności, warunkach. Przygniótł go blok skalny, z którym odpadł od ściany.

Na symbolicznym cmentarzu pod Osterwą, na którym jest tablica upamiętniająca Chrobaka, Dąsala, Gardzielewskiego, Heinricha i Otrębę, jest też tablica Marciniaka.

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin

To jest choroba ludzi z tego środowiska, że uciekają.
Ja to rozumiem

*Tam na dole zostało Wszystko to co cię męczy Patrząc z góry wokoło
Świat wydaje się lepszy
KSU, Za mgłą*

Depesza amerykańskiej agencji informacyjnej United Press International z 6 lipca 1987.

„Polski wspinacz ginie, schodząc z McKinleya.

Park Narodowy Denali, Alaska – polski wspinacz (...) spadł 2600 stóp podczas zejścia ze szczytu McKinley o wysokości 20 320 stóp (...).

Piotr Jankowiak, 35, z Gdańska, jest szóstą osobą zabita w tym sezonie wspinaczkowym na szczytach Alaska Range w Parku Narodowym Denali – powiedział Ralph Moore ze służb strażników parku narodowego.

Czterech wspinaczy zginęło w lawinie na górze Foraker, jeden zmarł na górze Hunter; to dwa najwyższe szczyty gór Alaska po McKinleyu, który jest najwyższą górą Ameryki Północnej.

Jankowiak i jego partner wspinaczkowy udali się na Kuluar Messnera, opisany przez Moore’a jako »bardzo trudna trasa«, którą próbowała przejść tylko garstka alpinistów wspinających się na McKinleya każdego roku. (...) Moore powiedział, że wszyscy Polacy mają duże doświadczenie, wspinając się w Ameryce Południowej i Himalajach”.

Marzec 1988, miesięcznik „Gościniec” wydawany przez PTTK, na kolumnie udostępnionej pismu „Taternik” donosi (w stanie wojennym objętość gazet i czasopism została zredukowana o połowę, a „Taternik” był podwójnie pokrzywdzony, bo wcześniej, w związku z trudnościami z papierem, RSW Prasa zmniejszyła pismom przydziały. A był to akurat czas największych górskich

sukcesów Polaków, które trzeba było przecież gdzieś dokumentować):

„Śmierć na Mount McKinley.

Wyprawy udane dbają o reklamę, natomiast informacji o tych zakończonych tragicznie szukać trzeba na ogół w prasie lokalnej. I tak »Wieczór Wybrzeża« z 15 listopada 1987 roku zamieścił krótką relację z trójmiejskiej wyprawy na najwyższy szczyt Ameryki Północnej Mount McKinley (6195 m). Ekipę tworzyli: Czesław Jakubczyk (kierownik), Piotr Jankowiak, Jacek Jezierski i Michał Kochańczyk. Wejść dokonano dwiema drogami: Jakubczyk i Kochańczyk – przez West Buttress, Jezierski i Jankowiak – Kuluarem Messnera, szczyt osiągając 20 i 21 lipca. Druga dwójka schodziła drogą wejściową. Ażeby przyspieszyć zejście, alpińscy zaczęli zjeżdżać po śniegu na butach, prędkość zjazdu regulując czekanami. W pewnym miejscu Piotr Jankowiak trafił na pas twardego lodu. Zaczął spadać, bezskutecznie usiłując wyhamować pęd czekanem. Upadek zakończył się śmiercią. Zjazdy na butach lub siedzeniu praktykowane są często, nieraz jednak kończyły się tragicznie, także w naszych Tatrach”.

Lipiec, 2009, „Gazeta Wyborcza” (wywiad Bożeny Aksamit z Michałem Kochańczykiem):

„Gdy podczas wyprawy na Mount McKinley na Alasce dotarłem do ciała Piotra Jankowiaka, poczułem ukłucie w sercu. Ułamek sekundy i koniec. »Jakie życie kruche« – wtedy takie myśli mają inną wagę, bo ty, tam wysoko, smagany wiatrem, deszczem, jesteś świadkiem tej kruchości. Wiesz, że koniec życia twojego kolegi stanie się dla jego bliskich początkiem cierpienia, tęsknoty, żalu i gniewu. Słowa zawsze w kontraście do śmierci będą banalne. Naprawdę każdy dzień potem smakuje już inaczej, bo pamiętasz, że dla niego tamten był ostatni, i dociera do ciebie z całą mocą, że każdy twój też może być ostatni. Pamiętam, gdy wracaliśmy z Alaski samochodem, i nagle zrobiło się pusto, bo brakowało czwartego, i strasznie gryzły nas komary. Przedtemssały tylko Piotra. I wtedy już wiesz, że nie będzie więcej rozmów, uścisku dłoni, śmiechu. Masz jednego przyjaciela mniej”.

– Osierocił piątkę dzieci, jedno z pierwszego małżeństwa, czworo z drugiego, najmłodszy syn, Adam, urodził się po jego śmierci – mówi Michał Kochańczyk.

Witold Jankowiak jest najstarszy z czworga dzieci z drugiego małżeństwa. Teraz ma trzydzieści osiem lat, wtedy miał pięć.

– Musiało być wam ciężko.

– Było. Mama miałaby więcej na ten temat do powiedzenia. Można byłoby mieć żal o to, że wyjechał, że zginął i że zostawił nas w ciemnej dupie, ale też można go nie mieć. Ja nie mam.

Nigdy nie miałem pretensji

– Ojciec to był facet, który zasłużył na miłość mojej mamy. A skoro mama go kochała, to ja też nie miałem do niego pretensji. Zawsze był obecny w naszym życiu. Mama nie snuła wprawdzie o nim zbyt wielu opowieści, ale kiedy coś mówiła, to zawsze dobrze, nigdy źle. A mogłaby źle, bo nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy tego małżeństwa, gdyby ojciec nie zginął. Byłby w stanie nabroić. Jednak go kochała.

Chodziliśmy na cmentarz, bo to chyba Michał Kochańczyk jakoś to załatwił, że można było sprowadzić ciało, choć zazwyczaj się zostawia. Mieliśmy stały kontakt z dziadkami, rodzicami ojca, było przy nas środowisko górskie. Dlatego nie odczułem jego nieobecności, on był. Próbuję sobie przypomnieć takie uczucie, że ojciec jest daleko, że go nie ma. Nie znajduję.

– Nie czuł pan porzucenia?

– O nie. Porzucenia nie.

Michał Kochańczyk: – Piotr Jankowiak zapożyczył się na tę wyprawę. Dlatego jeszcze w Kanadzie, w Toronto, zrobiliśmy zbiórkę pieniędzy wśród Polonii. Poszła dobrze, więc wdowa mogła spłacić długi męża i miała jeszcze pieniądze na pierwszy rok życia. Potem nasz Klub Wysokogórski Trójmiasto regularnie w ramach Funduszu Berbeki zrzucał się na pomoc. Także Polski Związek Alpinizmu włączył się do akcji i przez kilka lat wypłacał stypendium

dla wszystkich dzieci. Nie wyobrażam sobie, że można by zostawić w potrzebie rodzinę kolegi.

Dla rodzin himalaistów, którzy zginęli w górach, przy Polskim Związku Alpinizmu powstał w 1964 roku Fundusz im. Krzysztofa Berbeki. Służy do tego, by pomagać finansowo ofiarom wypadków wspinaczkowych albo ich rodzinom. Na stronie funduszu można przeczytać, że to najstarsza inicjatywa samopomocowa w środowiskach sportowych w Polsce.

Witold: – Nie były to wielkie sumy, ale mama zawsze na nie czekała. Michał Kochańczyk pilnował, żeby docierały do nas regularnie. Rodzina i znajomi otoczyli nas opieką. Byli też koledzy, przyjaciele, towarzystwo turystyczne, troszczyli się o nas, choćby utrzymując z nami kontakt i wspierając finansowo. Przede wszystkim był Michał Kochańczyk.

Dlaczego? Bo tak

Monika Witkowska, podróżniczka i wspinaczka, zdobywczyni Korony Ziemi i kilku ośmiotysięczników, opisuje na swoim blogu wyprawę na McKinley z 2014 roku. Pisze o górze: „Dla jednych to Mt McKinley, dla innych Denali. Góra dwóch nazw – piękna i wcale niełatwa. W tym roku (sezon wspinaczkowy zakończył się w lipcu) zaliczany do Korony Ziemi najwyższy szczyt Ameryki Północnej atakowało 1204 wspinaczy, z czego wierzchołek zdobyło tylko 429. (...)

Wiedziałam, że z McKinleyem może nie być łatwo. I nie było! – Uważaj! Nawet Kukuczka za pierwszym razem nie wszedł na tę górę... – ostrzegali znajomi. Respekt budził też wypadek jednego z kolegów, który kiedyś szkolił mnie w górach na kursie przewodnickim – on z kolei zdobywanie McKinleya przyplącił odmrożeniami i amputacją obu stóp. Nie na darmo znajdująca się na Alasce najwyższa góra Ameryki Południowej ma opinię jednej z najzimniejszych – wiejące tam wiatry nierzadko przekraczają 160 kilometrów na godzinę, a temperatury nawet latem spadają do minus 40 stopni Celsjusza. Jest to uzasadnione – w końcu to 63.

stopień szerokości geograficznej północnej, tak więc arktyczne wpływy są mocno odczuwalne. No i do tego kwestia wysokości – Mt McKinley oficjalnie ma wysokość 6194 metry, ale ze względu na cieńszą w okolicach okołopodbiegunowych warstwę atmosfery można to ponoć odnieść do 7 tysięcy na równiku”.

Kiedy ojciec ginie na misji wojskowej, bo jest żołnierzem i taką ma pracę, albo kiedy jest kierowcą i ginie w wypadku drogowym, albo górnikiem i urywa się na niego skała, jego śmierć można zrozumieć. Zginął, bo musiał ratować innych ludzi, albo dlatego, że ktoś popełnił błąd, podczas gdy on zarabiał na życie, albo z tego powodu, że jego praca to codziennie ryzyko, a on jest twardzielem i wykonuje ją, żeby utrzymać rodzinę. Jak jednak ułożyć sobie śmierć ojca, który zginął, bo realizował swoją pasję? Pojechał dla własnej satysfakcji, nie dla innych, nie musiał, po prostu chciał.

Za każdym razem, kiedy w górach dochodzi do głośnej tragedii, wracają pytania – po co tam szli? Od kiedy jest internet, są one stawiane brutalniej i częściej. Ostatnia gorąca fala komentarzy przetoczyła się po śmierci Tomasza Mackiewicza na Nanga Parbat. Mackiewicz uparcie wracał na górę, aż na niej został, osierocając troje dzieci. Trudno nadać takiej śmierci sens, który usprawiedliwiłby ryzyko.

– Jak pan sobie tłumaczył, dlaczego ojciec zginął?

– Myśl o tym, że zginął w górach, nigdy nie nastęczała mi trudności. Gdybym miał odtworzyć swoje dziecięce uczucia związane ze śmiercią ojca, to raczej czułem dobrze rozumianą dumę. Oczywiście po latach wiem, dlaczego on w te góry jeździł, wiem, dlaczego sam bym pojechał, ale wtedy patrzyłem na to inaczej. Odpowiedź jest taka – po prostu. Po prostu zginął w górach.

– Teraz też nie zadaje pan sobie pytania: dlaczego?

– To zależy od perspektywy, z jakiej się patrzy na świat. Jeśli ktoś jest fatalistą, będzie patrzył z punktu widzenia fatalizmu, wierzący – z punktu widzenia Opatrzności.

– Ale dziecko tak nie patrzy.

– Rozumiem, ale nie widzę problemu.

– A co mówili jego koledzy? Wyobrażam sobie, że wspólnoty rodzin żołnierzy, którzy zginęli na wojnie, uzasadniają ich śmierć

bohaterstwem. A czym koledzy ojca uzasadniali jego śmierć, kiedy z panem rozmawiali?

– Nie pamiętam, żeby uzasadniali.

– Co łączyło to środowisko?

– Wspólne zainteresowania i pasja, to jasne. W czasach komuny więzy międzyludzkie były na wagę złota. Życie towarzyskie kwitło intensywniej niż teraz, tych ludzi łączyły silne przyjaźnie. Przyjaźń zasadniczo rozwija się wokół jakiejś wartości. Koledzy z pracy czy przyjaciele mają wspólnotę wartości albo te same zainteresowania. W ich przypadku były to góry. W tamtych czasach klub wysokogórski działał jak dobrze prosperująca firma, dostawał zlecenia na roboty wysokościowe, w klubie się pracowało. Wokół gór zgromadziła się więc grupa osób, które je lubiły i były razem. Pamiętam, jak w dzieciństwie spotykaliśmy się z ludźmi ze środowiska, mój chrzestny jest jednym z nich, chrzestny mojej siostry też, to było żyte towarzystwo.

Mama

– Mama miała do ojca pretensje, że wyjeżdża?

– Dobrze to rozumiała. To sztuka rozumieć faceta, który ma pasję, którego wciąż nie ma w domu, wyjeżdża, także z innymi kobietami, bo ojciec wspinał się w parze z koleżanką. A mama to rozumiała.

– Dlaczego?

– Miłość dużo ułatwia.

Na wyprawie na himalajski ośmiotysięcznik był raz, w 1985 roku. Na Czo Oju (8201 metrów). Z wejścia na szczyt zrezygnował z powodu odmrożeń. „Na wyprawie szczyt atakowali we czwórkę. Ci dwaj Amerykanie, bardzo dobrzy wspinacze, Wacek Otręba i Piotrek Jankowiak. Wacek już nie żyje. Piotrek też nie żyje, zginął tego samego roku na McKinleyu na Alasce. Piotrek się odmroził i wycofał z tego ataku, tak że ich zostało już tylko trzech. Wacek i Amerykanie” – wspominał w 2013 roku w wywiadzie dla portalu Forum Extremum Krzysztof Paul, uczestnik tej wyprawy, alpinista i polarnik z Gdańska.

– W mamie też jest nutka awanturnictwa. W ogóle w mojej rodzinie byli ludzie z nutką awanturnictwa, swobody przekraczania granic, nieposłuszeństwa, niepokory. Chce, to robi, nie ogląda się na innych. Wuj, brat mamy, też się wspina. Dziadek po kądzieli był żeglarzem. Najstarsza z jego córek jeździ na wózku, ale brała udział w rajdach samochodowych. Inna skakała ze spadochronem. Mama była wioślarką, odnosiła sukcesy, dostała powołanie do kadry. Rano szła na trening, potem do pracy, potem znowu na trening, a potem się uczyła, bo studiowała na politechnice. Zresztą awanturnicza jest też historia jej miłości. Mama musiała pokonać dużo trudności, żeby wyjść za ojca. Była najmłodszą z pięciorga dzieci, ukochaną córką dziadka i nagle okazało się, że zakochała się w rozwodniku, który ma syna z pierwszego małżeństwa. To był związek niesakramentalny i dla jej rodziny stanowiło to problem. Mama musiała być gotowa na koszty, nie mogła przystępować do komunii, jednak dopięła swego. Dziadek przyszedł w końcu na ślub cywilny, ale bez krawata. Mama mogła wspominać ojca w sytuacjach nie do końca szlachetnych, ale nigdy go nie oskarżała. Mój ojciec to był facet, którego moja mama pokochała i ja ojca poznawałem przez pryzmat tej miłości.

– Żony wspinaczy mówią często: wiedziałam, za kogo wychodzę.

– Tylko że mój ojciec zaczął się wspinać po ślubie. Mama mówiła, że to ona wprowadziła go w świat gór, bo w podróż poślubną pojechali w Bieszczady. Jeździli też dużo na turystyczne wędrowki. Wtedy PTTK działało bardzo prężnie, nie było soboty, żeby rodzice siedzieli w domu. Brali plecak i szli w góry, jechali nad morze, na rowery, szli na piesze rajdy. Wychowałem się w rodzinie turystycznej, pamiętam rodzinną wyprawę w Pieniny. Chodzenia po górach nauczyłem się od mamy, wiele w tym względzie zawdzięczam gdańskiemu Przymierzu Rodzin, a zwłaszcza panu Markowi Kaniewskiemu, z którym chodziłem m.in. po Tatrach. Myślę, że pasja ojca związana z górami była pogłębieniem zainteresowania turystycznego. To się nie wzięło z kapelusza.

– Pasja turystyczna polega na tym, że się bierze plecak, dzieciaki i idzie na wycieczkę.

– Ale ile można? Są ludzie, którzy szukają czegoś więcej.

Doskonale rozumiem, dlaczego jeździł w góry

„Gazeta Wyborcza”, wywiad Bożeny Aksamit z Michałem Kochańczykiem: „– Co jest takiego we wspinaczce, że tyle osób traci dla niej głowę? – Jak wytłumaczyć, co czuje człowiek, który dwa lata szykował ekspedycję, kilkanaście dni wisiał na ścianie szarpany wiatrem? Marzył, walczył ze zmęczeniem, zwątpieniem, z kawałkami lodu. I wygrał. Jak opowiedzieć o śmierci kolegi po drodze, pogrzebie i zdobyciu szczytu kilka dni później? Bo gdy tam już jesteś, na nagrzanym słońcem wierzchołku, czujesz nieziemską radość, przepełnienie, satysfakcję, której nic nie odda. (...) Większość alpinistów powiedziałaaby: Co za głupie pytanie! Reinhold Messner zawsze mówił, że jeśli ktoś stawia w ten sposób pytanie, i tak nie zrozumie odpowiedzi. Ta potrzeba świadczy o królewskości istoty ludzkiej. Przecież człowiek jest nie tylko egzystencjalny. Życie to nie tylko jedzenie, picie, prokreacja. W górach, na ścianie, na szczycie odbieramy rzeczywistość inaczej, niż siedząc w fotelu i zmieniając pilotem kanały”. – A pan rozumie, dlaczego ojciec jeździł w góry?

– Doskonale. Góry niesłychanie wciągają. Są azylem, można się w nich schować, uciec od rzeczywistości, a zwłaszcza od odpowiedzialności. To jest, niestety, choroba ludzi z tego środowiska, że uciekają w góry przed wyzwaniami codzienności. To samo dają żeglarstwo, motor czy gry komputerowe. Góry są owiane aurą tajemniczości. Wiem, że ojciec był moim książkowym, bardzo dużo czytał, zwłaszcza fantastyki, to też była forma ucieczki od rzeczywistości. Nie chcę powiedzieć, że jadąc w góry, uciekał od mamy, natomiast z pewnością zmagał się z rzeczywistością. Bo jeśli ja się zmagam, mój dziadek się zmagał, to on też z pewnością to robił. Jednak ja nie mogę uciekać w góry ze względu na zdrowie, chociaż bardzo kiedyś chciałem. Gdyby mi żona powiedziała: dobrze, idź, tobym poszedł. A nawet gdyby powiedziała: słuchaj, może byś nie pojechał, i tak bym pojechał.

– Nie bałby się pan, że pana dzieci mogłyby zostać bez ojca?

– Pewnie byłaby gdzieś taka obawa. Mój ojciec pewnie też się po swoim obawiał, nie było tak, że rzucał wszystko i jechał. Wyprawa na Alaskę była dużym przedsięwzięciem, pojechali na pół roku, żeby najpierw na nią zarobić. Góry stanowiły dla niego wartość. Rozumiem to, ja też chodzę za swoimi wartościami. Ludzie, którzy jeżdżą w góry, są wrażliwi, słyszą ich głos. Trudności ich nie zniechęcają, przeciwnie – motywują. Powiem na przykładzie. Jest noc, godzina dwudziesta trzecia, wieje wiatr, pada deszcz, zimno jak jasna cholera, a ja wkładam buty i polar i idę na spacer. Żona pyta: co robisz? Nic, taka pogoda, trudno nie wykorzystać. Poczuć siłę wiatru, deszczu, jak tu nie iść, jak to zostawić? To jest ten moment, kiedy przyroda się burzy, a ty czujesz, że cholera, fajnie, i myślisz, ale musi w górach wiać. Sądzę, że ojciec miał to samo. Ludzi, którzy mają pasję, zagrożenie śmiercią nie zniechęca. Oni śmierci się nie boją. Jak ktoś lubi jeździć szybko samochodem, nie myśli, że ryzykuje życie, tylko jedzie. Zdaję sobie sprawę, że w tym towarzystwie jest dość wysoka śmiertelność, ojciec sam był na wyprawie, na której ktoś zginął, i brał udział w poszukiwaniach ciała. Śmierć to nie był dla niego obcy temat, miał to jakoś przemyślane.

Jeśli kocha się góry, można tak ryzykować, stawiać na szali zdrowie, życie, śmierć, pomyślność rodziny, dzieci. Można kochać człowieka albo wartości, góry są wartością, której można oddać całego siebie, zrobić im z siebie prezent. Ja też słyszę ich głos. Nie mam pretensji do ojca, odkąd zacząłem rozumieć, że współdzielimy tę cechę i że to, że on kochał góry, było wyrazem tego, jaki był. Poniekąd jesteśmy podobni.

– Ryzykował nie tylko swoje życie, ale i pana.

– Ocena ryzyka nie jest rachunkiem matematycznym. Nie wynika z niej, że nie można pojechać, bo konsekwencje śmierci mogą być dotkliwe także dla innych. Nie twierdzę, że wspinacze nie mają świadomości konsekwencji swojej śmierci, natomiast wciąż mnie nie dziwi, że jeżdżą. Ja pewnie bardziej oglądam się na rodzinę niż mój ojciec, ale teraz jest taka moda, zbytnio troszczy się o rodzinę i dzieci. Chucha się i dmucha na te dzieciaki. Mam wrażenie, że

kiedyś warunki życiowe były trudniejsze, surowe, więc ludzie byli bardziej zaimpregnowani przed trudnościami. Dziś co drugi z nas wpada w depresję. Moi dziadkowie zanosili na cmentarz jedno dziecko, a drugie już nie żyło. Byli twardsi niż my. Ja oczywiście jestem dzieckiem swoich czasów, co nie oznacza jednak, że o tym nie myślę.

Dziedziczenie ducha

Witold bardzo słabo pamięta ojca, kilka scen. Jak wrócił z Himalajów i przywiózł jemu i rodzeństwu resoraki, pamięta wóz strażacki na spacerze zimą, tata próbował rozpalić ognisko na śniegu i mu się nie udało, bo strasznie wiał wiatr. Witold miał wtedy cztery lata. Pamięta telewizor w pokoju, mieszkali wtedy na gdańskim osiedlu Morena. Po śmierci ojca przeprowadzili się do Torunia, bo dostali dom od wuja, też alpinisty. W gdańskim mieszkaniu spali na piętrowym łóżku, tata zrobił wokół niego zasłonę z pieluszek, żeby mogli oglądać mamą filmy. A może pójść do łóżka? Kiedy mama wieczorem wychodziła do koleżanek, tata robił im chleb z solą, to była ich rodzinna tajemnica. Gdy żona Witolda wychodzi z koleżankami, on też robi chłopakom kanapki.

– Jest coś takiego jak dziedziczenie z ojca na syna w sferze duchowej. Ktoś powie psychicznej, ale nie, chodzi o duchową. To nie jest też genetyczne. Choć nie pamiętam dobrze mojego ojca, mogę powiedzieć, że go znam, bo coraz lepiej poznaję siebie, bo patrzę na moich braci, na moich synów. Czasami, jak obserwuję ich, to myślę, o, chłopie, ty to jesteś Jankowiak. Te same cechy, zachowania, wrażliwość, podobne reakcje, a przede wszystkim słabości, co w męskim świecie jest istotne. Kiedy facet walczy ze sobą, to tak naprawdę walczy ze swoimi słabościami. Jak wchodzi w miłość i bierze za nią odpowiedzialność, to też się z nimi spotyka i na co dzień musi je pokonywać.

To, że rozumiem ojca, jest wynikiem śledzenia naszych życiorysów. Myślę o sobie, o moich dziadkach, o moich pradziadkach, o moich synach. I skleja mi się w całość taki obraz, że

trudno obok niego przejść obojętnie. Ktoś powie, że nadbudowuję opowieścią fakty, że sztucznie tworzę swoją tożsamość. Tworzę swoją opowieść, żebym czuł się bezpiecznie. Może tak być. Jednak jaki był ojciec, dowiaduję się, patrząc na siebie i braci.

Rozliczenie z ojcem

– Dziecko patrzy na ojca, jak na chodzący ideał. Kiedy dorasta, dowiaduje się o nim prawdy, która nie nadaje się na afisz, kiedy poznaje słabości ojca, zaczyna widzieć, że jednak ideałem nie jest. Wtedy przychodzi moment na rozliczenie. Każdy facet musi się rozliczyć z własnym ojcem. Musi się i z nim pogadać, rozłożyć wszystko i omówić. Ja i moi bracia też musieliśmy tę lekcję przerobić. Ponieważ nie mogłem usiąść z ojcem, pogadałem z nim inaczej. Pytałem o niego, szukałem informacji, ludzi, którzy go znali. Kiedy zacząłem poznawać swoje własne słabości, niesłuchanie dobrze skorelowały mi się one z jego historią życia, z opowieściami o nim. A jak zacząłem gadać z moimi braćmi o tym, co ich gryzie, dostałem dodatkowe argumenty na to, że był właśnie taki, jak czuję. W tym przypadku trudno mówić o wiedzy, raczej o dobrze rozumianej wierze. Mogę powiedzieć, że wierzę, że ojciec miał takie a nie inne słabości, bo znam historie jego, swoją, mojego dziadka i pradziadka. Mógłbym powiedzieć sztamkowo, że łączyło ich zamiłowanie do kobiet i wódki. To jednak byłoby zbyt duże uproszczenie, bo im w duszy grało dużo więcej. Bardziej politycznie będzie pewnie stwierdzić, że łączyła ich zdolność do przekraczania granic, łamania norm, a z drugiej strony chęć ucieczki, wyrwania się ze znoej codzienności i jej wyzwań. Nie jestem dokładnie taki sam, ale kiedy patrzę na siebie, braci i synów, to składa mi się to w pokolenie. Rozliczenie z ojcem to proces dojrzewania, w którym szuka się swoich korzeni, zadaje pewne pytania, i albo mówi się ojcu: ty draniu, albo idzie się z nim na piwo.

– I co pan zrobił?

– Poszedłem z nim na piwo. Nie mam wyidealizowanego obrazu ojca. Pogodziłem się z nim na bazie własnego doświadczenia.

Dlatego nie mam do niego pretensji. Nie pamiętam, żebym się kiedykolwiek na niego złościł. Brakuje mi go, ale żeby go obwiniać? Nie.

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin

Zrobił, jak uważał

Każdy z nas miał czystą, egocentryczną chęć pójścia wyżej i zdobycia tej góry.

Piotr Pustelnik o uczestnikach wyprawy na Makalu, *Ja, pustelnik. Autobiografia*

Anna Czerwińska, kierowniczka wyprawy na Makalu, pisze świeżo po powrocie w drugim numerze „Taternika” z roku 1988: „Zespół polski osiągnął tego dnia obóz IV, a 14 października wyruszył ok. 8 rano ku szczytowi. [Ryszard] Kołakowski i [Tomasz] Kopyś wspinali się bez liny i stopniowo odległość między nimi narastała, gdyż pierwszy z nich był wyraźnie wolniejszy. Kopyś osiągnął szczyt Makalu (8463 m) około godziny 16 i schodząc, spotkał w kuluarze poniżej grani swego partnera, bardzo powoli posuwającego się w górę. Pora była bardzo późna, mimo to próby namówienia go do odwrotu nie dały rezultatu. Kołakowski nie potrafił już zrezygnować i z determinacją kontynuował wspinaczkę”.

– Pomyślałeś kiedyś, że Tomek go tam zostawił?

– Nigdy nie miałem do niego o to żalu, bo wiem, jaki był mój tata, i nie dało się go zawrócić. Na jednym z forów wspinaczkowych ktoś kiedyś zarzucił Tomkowi, bo tam się gada o różnych rzeczach i dużo się pierze syfu, że zostawił Ryśka na Makalu. Ja tego tak nie oceniam.

Dalszy ciąg tekstu Czerwińskiej w „Taterniku”: „Okolo godziny 21 wieczorem z obozu III na Makalu-La dostrzeżono w rejonie wierzchołka światło jego czołówki. Myślę, że szczyt osiągnął... Nie zobaczyliśmy go już jednak więcej. Kołakowski nie powrócił do obozu IV, gdzie aż do południa następnego dnia czekał na niego Kopyś. Jakakolwiek akcję ratunkową skutecznie uniemożliwiał wiatr. Przyszło nam w końcu zwinąć bazę i odejść, pozostawiając niewyjaśnioną tajemnicę tego, co wydarzyło się nocą wysoko pod szczytem, pozostawiając w górach jednego z nas”.

Ostatni wpis Ryszarda Kołakowskiego do dziennika prowadzonego podczas wyprawy na Makalu, 10 października, czyli cztery dni przed tym, jak ostatni raz dostrzeżono światło jego czołówki: „Wychodzimy jutro. Czuję moc! Ciekawe, jak wysoko zajdziemy”.

– Miałeś dwa lata. Nie pamiętasz, jak zginął.

– Z tym akurat jest ciekawa sprawa. Może tego nie słysząc, jak rozmawiamy, ale mam wadę wymowy, zacinam się. W sytuacjach stresowych mówię gorzej, kiedy jestem spokojny: lepiej, kiedyś na pewno mówiłem gorzej. Jak zadzwonił telefon, że tata zginął, to tak się przestraszyłem, że prawdopodobnie od tego momentu się zacinam. Pamiętam to jak przez mgłę, byliśmy w mieszkaniu dziadków na Stegnach, telefon wisiał na ścianie w przedpokoju, w domu zrobił się straszny harmider. A ja się bardzo wystraszyłem.

– Mama ci opowiadała o tym momencie?

– Najlepsze jest to, że nigdy jej o to nie pytałem.

– Dlaczego?

– To jest dobre pytanie, wiesz? Nie wiem, czy mama sama to pamięta. To było w 1988 roku.

– To ważny moment.

– Ale nigdy o nim nie rozmawialiśmy. Wydaje mi się, że może tego dokładnie nie pamiętać.

– Skoro mama ci o tym nie opowiadała, to znaczy, że ty to naprawdę pamiętasz. To autentyczne wspomnienie.

– Pamiętam jeszcze trzy zdarzenia z wczesnego dzieciństwa. Moją prababcie, która umarła, kiedy byłem bardzo mały. I jak spadłem z szafki i złamałem obojczyk, mając dwa i pół roku. Też to pamiętam jak przez mgłę. To są takie kadry z filmu. Być może takie traumatyczne wspomnienia tkwią mocno w mózgu.

Teraz Jerzy ma trzydzieści cztery lata. Jest project menagerem w firmie IT. Znajomi mówią na niego Jerry. W ostatnią rocznicę śmierci ojca opublikował na Facebooku post: „14.10.1988 – 31 lat temu gdzieś na szczycie Makalu...”.

Dalej cytuje fragment dziennika ojca z wyprawy:

„08.10.

Constans. Słońce świeci, wiatr wieje, my w bazie. Role rozdane. Wychodzimy w drugim rzucie 11.10. Albo kita, albo sława. Plan teoretycznie dobry. Tylko albo zawiodą ludzie, albo pogoda nie pozwoli go zrealizować. Schodzimy w dół osiemnastego, czyli jeszcze dziesięć dni – a kiedy w Polsce? Znowu włos mi się jeży – biedna Iwona. Przysięgam, że jak wrócę, to na początku w ogóle nie będę wychodził z domu. Zamknę się w łazience i będę oglądał z wanny telewizję. Świeżego powietrza starczy mi na długo. Najgorsze są przebudzenia i tuż przed zaśnięciem.

Zimno. Siedzę w piękącym słońcu, a lodowaty wiatr liże mi stopy. Można oszaleć. Z drugiej strony jak gdybym przyzwyczaiał się do wszystkiego. Taki odjazd. Jeść to jeść, wyjść to wyjść, zimno to zimno. Żeby chociaż udało się wejść na osiem! A Barni to już chyba we Wiedniu!

Dzisiaj pierwszy raz wyciągnąłem karimat na słońce. Dało się poleżeć. Wprawdzie w ubraniu, ale zawsze. Od razu poczułem się lepiej. Może jakoś wytrzymam do końca”.

– Brakowało ci ojca w dzieciństwie?

– To było naturalne, że go nie ma. Od zawsze, od kiedy pamiętam, było wiadomo, że tata zginął w Himalajach. Nie pamiętam, żebym miał w dzieciństwie taką myśl, że szkoda, że taty nie ma. Było dla mnie naturalne, że wychowuję się bez niego, nie przypominam sobie, żebym odczuwał jego brak. Wychowywali mnie mama, babcia i dziadek, pełnowartościowa rodzina. Mama poświęcała mnie i siostrze dużo czasu, nie mogę powiedzieć, żeby mi czegoś w dzieciństwie brakowało.

– Dorastałeś w jego legendzie?

– Mama niewiele o nim opowiadała. Na pewno nie na każdym kroku, raczej jak o coś zapytałem. Tyle że ja więcej pytam dziś niż kiedyś. O to, jaki tata był albo jak by postąpił w danej sytuacji. Myślę, że mama nie mogła pograć się w rozpacz, rozpamiętywać, że zginął, musiała wziąć się w garść i wychowywać dwójkę dzieci,

zarabiać pieniądze, żeby wiązać koniec z końcem. Nie było czasu na słabości, trzeba było żyć tu i teraz. Mama była archeolożką, ale kiedy tata zginął, stwierdziła, że z tego nie wyżyje, więc zaczęła jeździć do Indii i sprowadzać ciuchy, rozkręciła sieć India shopów, które miała przez prawie dwadzieścia pięć lat.

Miałem jednak bardzo dużo zdjęć taty. W dzieciństwie wyciągałem je z pudeł i oglądałem. Robiłem to sam z siebie, nie było tak, że mama mi je pokazywała z nabożeństwem. To były zdjęcia taty i mamy z różnych wyjazdów wspinaczkowych, bo mama też się wspinała. Były na nich góry, rodzice w różnych plenerach, w Zakopanem, nad Morskim Okiem, w Jurze, w Saksonii. Były też późniejsze zdjęcia mamy z Indii, z Singapuru, gdzie jeździła w celach zarobkowych. Na tych zdjęciach było ich życie, także wspinaczkowe. Jednak oglądając je wtedy, w dzieciństwie, nie próbowałem sobie wyobrazić życia rodziców w górach, nie tworzyłem sobie na ich podstawie obrazu taty, jak teraz.

– Chciałeś się wspinać jak oni?

– Nie z powodu zdjęć czy chęci naśladowania taty. W pawlaczu oprócz fotografii leżało trochę sprzętu rodziców, w domu był też drążek. Wzięliśmy kiedyś z kolegą uprząż, nie wiem, czy taty, czy mamy, linę i wisieliśmy na tym drążku przez pół dnia po szkole. Spodobało mi się, chciałem spróbować wspinania. Mama wysłała mnie więc do znajomej na Jurę na obóz. Miałem wtedy chyba dziesięć lat. Byłem na tym obozie dwa tygodnie, przez pierwszy tydzień lał deszcz, w drugim zaczęliśmy się wspinać. Poszliśmy na skałkę, trochę było fajnie, trochę nie, bo strasznie się bałem. Obóz się skończył, mama po mnie przyjechała, wróciłem do Warszawy. I potem za rok znowu pojechałem z siostrą na obóz w to samo miejsce, z tymi samymi ludźmi. Wspinałem się przez dwa tygodnie. Nadal trochę się bałem, ale byłem zły, że nie mogę wspinać się, jak chcę. Wspinałem się na wędkę, a strasznie chciałem z dolną asekuracją, ale mi nie pozwalali, mówili, że jeszcze na to za wcześnie. Gdy wspinasz się na wędkę, lina przywiązana do uprząży idzie na szczyt skałki do punktu asekuracyjnego i potem w dół do osoby, która cię asekuruje. To jest raczej sposób treningowy niż ekstremalny. A wspinanie z dolną asekuracją polega na tym, że masz

w skałce stałe punkty asekuracyjne, przeloty. Idziesz od dołu, wpinasz w nie linę co jakieś dwa metry. Jak odpadniesz od skałki, lecisz do przelotu, a jeśli się w jakiś nie wepniesz, lecisz do poprzedniego. To może być trochę przerażające. No więc wróciłem z tego drugiego obozu, mając lat jedenaście, i stwierdziłem, że mi się nie chce. Na kolejne szesnaście wspinanie poszło w kąt, a fotografie taty do kartonów. Historię ojca zamknąłem w pudłach ze zdjęciami, schowałem je do pawlacza i przez szesnaście lat nie wracałem do tego myślami.

„Makalu 88, 5.09.

W ogóle jestem coraz bardziej wkurwiony, że tu jestem. Po co i dla czego. Żeby dać dupy na tej pierdolonej górze. Ile osób weszło dotychczas na wysokie ośmiotysięczniki? Dlaczego akurat ja miałbym być tym wybranym? Nastrój mam podły, we łbie huczy jak w ulu, leżenie oczywiście nic nie pomaga. Jest zimno w cieniu, a na słońcu nie można wytrzymać. To w ogóle nie są warunki do życia. I niech mi nikt nie pierdoli o romantyce czy innych takich głupotach. Banda niedowartościowanych bałwanów dorobiła sobie ideologię, ażeby móc się wykazać. Rzeczywiście trzeba mocno siebie nie lubić, żeby skazywać się na takie cierpienia. W imię czego? Przerost ambicji i zadęcie! Jest mi po prostu źle! I chcę do domu”.

– Skończyliśmy z siostrą studia, ona studium międzynarodowe na Uniwersytecie Warszawskim, ja to samo w Collegium Civitas. Podstawówki kończyliśmy publiczne. Siostra bardzo dobrze się uczyła, była prymuską, a ja przeciętnie, nie byłem Einsteinem, ale też nie powtarzałem żadnej klasy, chodziłem do szkoły i robiłem to, czego ode mnie wymagano. Własnym zajawkom poświęcałem się po szkole.

– Jakim zajawkom?

– W wieku jedenastu lat zacząłem jeździć na BMX-ach, to jest taki mały wyczynowy rower. Przez szesnaście niemal się z nim nie rozstawałem. Byłem na poziomie pro, czyli miałem sponsoring. Dostawałem od pewnej zagranicznej firmy ubrania i części zamienne za to, że jeżdżę i promuję je w jakichś magazynach. To jest niszowy

sport, ale też ma swoje formy promocji. Wtedy dopiero się u nas rozwijał. W 2004 roku na mistrzostwach Polski byłem drugi. Życie mijало mi na jeźdźeniu i skakaniu na wyczynowym rowerze. Standardowym chłopakiem z osiedla, który kopie piłkę, nie byłem, w piłkę nawet nie umiem grać. W żadne sporty zespołowe. Jestem typem indywidualisty, ewidentnie niestadnym.

„Makalu 88, 27.08.

Tak ogólnie to uczucia mam mieszane. Chętnie powłóczyłbym się tu w małej grupie i w dobrą pogodę. Ale taki kołchoz zupełnie mi nie leży”.

„Makalu 88, 21.09.

Gdybym tylko mógł, to jednak odwróciłbym się plecami i poszedł w dół. Może w bardzo zgranym, znającym się dobrze towarzystwie takie eskapady mają sens. Ale taki przypadkowy zespół to horror. Teraz rozumiem hermetyczne grupki, broniące się rękami i nogami przed nowymi twarzami. Po co skazywać się dobrowolnie na przymus obcowania z jakimś pojebanym osobnikiem? W końcu nikt mnie nie przymuszał do brania udziału w tej hecy – sam chciałem. Jestem dorosły i muszę znieść to do końca”.

– Masz w genach życie na krawędzi?

– Można powiedzieć, że tak. Siostra trenowała karate z wynikami na arenach europejskiej i polskiej, nie wiem, na ile to ekstremalne. Nie byliśmy jednak wychowywani tak, że mamy być ryzykanccy.

– Jak się zacząłeś wspinać?

– Jeździłem na rowerze od szóstej klasy podstawówki, całe gimnazjum, liceum i studia. Potem poszedłem do pierwszej pracy i też jeździłem. Dopiero w 2013 roku trochę mi się odechciało, towarzystwo od jazdy zaczęło robić inne rzeczy, dorośliśmy, każdy poszedł w swoją stronę. Ja też. Wyprowadziłem się z domu, zamieszkałem z dziewczyną, to wprawdzie nie miało wpływu na rower, ale ekipa się wykruszyła. Byłem też starszy i gorzej mi się jeździło, zacząłem ulegać kontuzjom, miałem problemy z nadgarstkiem. Poznałem kolejną dziewczynę, zaczęliśmy się

spotykać i ona wspomniała, że poszłaby na ściankę wspinaczkową. Pomyślałem, że w sumie też bym poszedł, jestem już starszy, może już teraz bym to polubił. Wybrałem się na ściankę na Hożej w Warszawie, kurde, ale czad! Coś nowego, super. Akurat w tym czasie moja mama założyła sobie Facebooka, miałem ją w znajomych, a ona miała sporo znajomych ze swojej starej ekipy wspinaczkowej. Dzięki temu trafiłem na link do strony Ryśka Pilcha, znanego alpinisty i wspinacza z Krakowa, który pracował nad bazą zdjęć wspinaczkowych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i prosił, żeby mu przysłać, jeśli ktoś ma. Pomyślałem: kurczę, przecież ja mam pełno zdjęć na szafie, mogę je zeskanować. Wyciągnąłem pudła ze zdjęciami taty i jakbym na nowo odkrył jego historię. Obejrzałem je i pomyślałem, że też mógłbym się wspinać na tych skałkach w Jurze, przecież już tam byłem. Pomyślałem: zajebiście. Wypytałem mamę, skąd są te zdjęcia, dała mi zeszyt, w którym ojciec odnotowywał wszystkie przejścia od 1974 do 1988 roku. Spisywał wszystkie poważniejsze drogi, było tam też bardzo dużo przemyśleń. Na przykład: zima '79/'80, zrobiliśmy drogę taką, a taką, kurde, ale dupowa, masakra, ale jestem słaby; albo: jest super, mam formę, schudłem. W dzieciństwie mnie to nie wciągnęło, ale w wieku trzydziestu lat popatrzyłem na to zupełnie inaczej. Jakbym odnalazł ojca. Mama dała mi też wtedy dziennik taty z wyprawy na Makalu w 1988. On prawie codziennie spisywał różne przemyślenia na temat wyprawy i życia. I mnie też wspominał!

– Co poczułeś, kiedy to przeczytałeś?

– Nie zapomnę tego. Ten dziennik ma pięćdziesiąt pięć stron, siedziałem i czytałem go podczas pobytu na ścianie w Warszawie. I doszedłem do fragmentu, przy którym uświadomiłem sobie, że mam tatę, bo wcześniej nigdy tego nie czułem. Przeczytałem ci: „Siedzę w jadalni, leci Sting, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że siedzę z dziećmi na podwórku. Walkman w uszach, Jurek bawi się w piaskownicy, pełen luz”. Kurczę, pamiętam, że jak to przeczytałem, to nawet łza pociekła. Tak wiesz, tak lekko. Ale... dla mnie to było coś, wcześniej przez trzydzieści lat czegoś takiego nie miałem.

– Wcześniej nie zastanawiałeś się, czy za tobą tęsknił?

– Nie myślałem o tym. Dopiero kiedy przeczytałem ten dziennik, pomyślałem, że miał na tej wyprawie przejebane i marzył tylko o tym, żeby wrócić do domu i nigdy już... pewnie by pojechał znowu, ale myślę, że bardzo za nami tęsknił. Zastanawiał się, co tam robi i po jaką cholere. Zresztą jak sobie przeczytasz ten dziennik, też będziesz mieć taki obraz sytuacji. To był dla mnie szok, wcześniej nie miałem takich odczuć i przeżyć, a wtedy czytałem, jak tata mnie wspomina i moją mamę, i siostrę, poznałem go. Zobaczyłem, jakim był człowiekiem.

„Makalu 88, 17.09.

Właśnie uświadomiłem sobie, że to dopiero połowa czasu minęła. Powrót mamy na 7.11. O kurwa! I ja w tym wieku tak tracę czas! Żona, dzieciaki, mieszkanie – dlaczego? Leżę w namiocie i słucham szelestu padającego na tropik śniegu. Jak wrócę, będzie już listopad. Potem grudzień – znowu góry, narty i szkolenie, oby z Iwoną i dziećmi, i koniec roku. Kolejnego roku, w którym co najmniej jego połowę spędziłem sam, to znaczy poza domem lub bez Iwony. Kompletna paranoja!”

„22.09. Wrócić do domu: wykąpać się, usiąść za stołem, telewizor, kapcie, normalna herbata lub piwo, Iwona, dzieci. Normalnie, spokojne życie. Jak to smakuje tutaj, na wysokości 5400”.

– Kiedy wyciągnąłem te pudła ze zdjęciami, dziennik, kiedy zobaczyłem stronę Ryśka Pilcha, zacząłem pytać mamę, jaki był tata, z kim był na tej wyprawie, czy ci ludzie żyją.

„Taternik”, numer 2 z 1988 roku, artykuł Anny Czerwińskiej: „Było nas 11 osób. Oprócz mnie, piastującej zaszczytną, ale jakże kłopotliwą funkcję kierownika, w wyprawie udział wzięli: Krystyna Palmowska, Tomasz Kopyś (zastępca kierownika), Ryszard Kołakowski (wszyscy z KWW), Zbigniew Skierski (Klub Alpejski PTTK), Jolanta Patynowska (KW Trójmiasto), Zbigniew Kacuga i lekarz Ryszard Długołęcki (AKE Sopot), Amalia Kapłoniak (AKA Kraków), a także dwaj alpiniści zagraniczni, Bernard Letz z Austrii i Bask Koldo Aldaz”.

– Znalazłem ich na Facebooku, odezwałem się. Dotarłem do Tomka Kopysia, partnera wspinaczkowego taty, z którym na tej wyprawie spał w namiocie i zdobywał szczyt. Tata wielokrotnie go wspomina w dzienniku. Umówiłem się z nim na ścianę. Był zaskoczony, wcześniej nigdy się nie spotkaliśmy. Powiedział, że nie pomyślałby, że odezwie się do niego syn Ryśka. Wspinaliśmy się, a on mi zaczął opowiadać o ojcu. Przez pół roku chodziliśmy regularnie na Nowowiejską raz w tygodniu, a on opowiadał. Rozmawialiśmy o wszystkim: jaki tata był, jakim był człowiekiem. To był lipiec 2015. Zacząłem wchodzić w świat wspinaczkowy, poznawałem coraz to nowych znajomych taty. Wypytywałem o niego. Poszedłem na kurs wspinaczkowy do Marcina Kanteckiego, warszawskiego instruktora i właściciela ściany na Obozowej, jednej z pierwszych ścianek w Warszawie. Instruktorem Marcina w latach osiemdziesiątych był z kolei mój tata. To było fajne, że uczył człowieka, który teraz uczył mnie.

– Symboliczne. Jakby tata przekazał ci za jego pośrednictwem swoją wiedzę.

– Dokładnie.

„Makalu 88. 4.09. [dialog Kołakowskiego z Czerwińską – red.]

– Wiesz co, za stara jestem, żeby tacy jak ty mnie ruszali. – Zgadza się, stara jesteś. – Ale ciebie to jeszcze przeżyję. – Kto wie, kto wie.

W tej miłej sytuacji naprawdę nie mogę dać się upierdolić!”

„Makalu 88. 29.09.

Jeżeli jesteś w grupie i identyfikujesz się z wyprawą, to nieważne, kto zakłada obozy i kto wjedzie na szczyt – sukces liczy się dla wszystkich i wszyscy są zadowoleni. Natomiast jak jest tak jak tutaj, gdzie każdy gra swoją grę i wszyscy są przeciwko wszystkim, to liczy się sukces tylko indywidualny. Jeżeli nie wejdę, to będzie moja osobista porażka. Bez względu na ogólny wynik wyprawy”.

– Tata pisał w dzienniku, że na wyprawie strasznie kłócił się z dziewczynami, czyli z Anką Czerwińską i Krystyną Palmowską. Potwornie się żarli. Potem Anka go zjechała w książce o wyprawie na Makalu. Bezpodstawnie, wiem, bo zrobiłem w tej sprawie prywatne śledztwo. Napisała, że Rysiek bardzo im dokuczał, był nieprzyjemny i w pewnym momencie, w trakcie jakiejś scysji, uderzył ją, co potwierdził lekarz wyprawy, Zbyszek Kacuga. Tomek twierdzi, że takiego incydentu nie widział ani o nim nie słyszał. Ojciec z kolei o nim nie pisze, a pisze o wszystkim, bardzo szczegółowo, więc na pewno wspomnieliby o czymś takim. Skontaktowałem się z całym składem wyprawy, łącznie z lekarzem, który rzekomo podpisał protokół i oględziny Anki, nikt nie potwierdził jej wersji. Napisałem więc artykuł o tacie do biuletynu Klubu Wysokogórskiego Warszawa, kim był, jak zginął. Poprosiłem jego znajomych o wspomnienia, anegdoty, one też dały mi jakiś obraz ojca i wyobrażenie, jakim był człowiekiem. Wspomniałem, że jest mi przykro z powodu tego, co pisze Anka Czerwińska.

Jerry napisał artykuł o ojcu do biuletynu „A/ZERO”. Tekst ma tytuł *Hardmen do końca*. To sylwetka Kołka, wspomnienia przyjaciół, anegdoty i opis konfliktu z Czerwińską z punktu widzenia syna. „W sierpniu 1988 roku Tata wraz ze swoim wieloletnim partnerem Tomkiem Kopysiem wyruszył na wyprawę pod kierownictwem Anny Czerwińskiej. Celem było zdobycie szczytu Himalajów – Makalu 8481 m n.p.m. Relacje z tamtej wyprawy są głównie autorstwa Anny Czerwińskiej, między innymi w książce *GórFanka. Na szczytach Himalajów*. Z jej treści wynika, że stosunki pomiędzy uczestnikami wyprawy układały się źle, a za to zawsze istotną część odpowiedzialności ponosi jej kierownictwo. A złe relacje między uczestnikami wyprawy źle wpływają na skuteczność jej działania i bezpieczeństwo. Dlatego też przedstawiony tam przez Annę Czerwińską obraz mojego Taty w zestawieniu z poniższym tekstem wydaje się grubo przesadzony i wręcz grubiański. Takich słów jak Anna Czerwińska we wspomnianej książce nie używa się w stosunku do tragicznie zmarłego na wyprawie kolegi, którego było się

kierownikiem, nawet jeżeli doszło z nim do poważnego konfliktu. Nadmienię jeszcze, że zwróciłem się do Anny Czerwińskiej o udostępnienie mi nagrania magnetofonowego z zapisem dramatycznych rozmów z moim Tatą, ale prośba moja pozostała bez odpowiedzi”.

„Swojego Taty nie pamiętam prawie wcale, jak zginął, miałem zaledwie dwa lata. Dlatego wspomnienia o nim pozostawiam ludziom, którzy go znali i się z nim wspinali”.

„Tomasz Kopyś: Kołek nie był najlepszym alpinistą lat 80., ale należał do czołówki. Wśród wielu alpinistów (czołówka wtedy była znacznie szersza) wyróżniał się postawą. Fizyczną i psychiczną. Silnie zbudowany i jeszcze silniej wytrenowany (w młodości był zapaśnikiem), był przykładem faceta zdecydowanego, jasno i dobitnie wyrażającego swoje opinie. Taka postawa powodowała, że miał sporo wrogów i osób nieprzychylnie nastawionych, ale jednocześnie równie dużo osób ceniło jego twardość i niezawodność. Dla jednych był chamem, dla innych twardzielem. Dla wszystkich bohaterem wielu anegdot. Miał dar wyszukiwania najlepszej drogi w nieznanym terenie, także w załamaniu pogody. Choć kierował kilka razy wieloosobowymi wyprawami (również himalajskimi), to ściany atakował sportowo – w minimalnym zespole. Jako himalaista miał jedną słabą stronę, aklimatyzował się wolniej i słabiej niż wielu innych. Na wysokości 7 tysięcy metrów potrafił prowadzić bardzo trudne wyciągi, ale już 1500 metrów wyżej (Makalu) szedł bardzo wolno. Oczywiście bez tlenu, gdyż tylko taką wspinaczkę dopuszczał. Mimo późnej pory i nadciągającego huraganowego wiatru nie chciał zawrócić z drogi na Makalu. Jego postawa i los splotły się trochę z Wandą Rutkiewicz, która cztery lata później także nie chciała zawrócić z drogi na szczyt. Wanda chodziła wolno od czasu kontuzji nogi, jakiej doznała przy próbie pierwszego polskiego zimowego wejścia na Elbrus. Porachunki zimowe na Elbrusie wyrównał dopiero Kołek. Meksykanin Carlos Carsolio namawiał bezskutecznie Wandę do powrotu. Cztery lata wcześniej ten sam Carlos życzył Ryśkowi (i mnie) sukcesu na Makalu. W przeciwieństwie do »kierowniczek« wyprawy. »Żebyś, k..., zdechł« było ostatnim życzeniem przekazanym Kołkowi. Makalu

1988 było drugą, po Gaszerbrumie 1975, najbardziej skłóconą wyprawą (mieszana – dosłownie i w przenośni). W 1975 kierowniczka Wanda Rutkiewicz doprowadziła część składu do jawnego buntu. Na Makalu w 1988 Anka nie radziła sobie w roli kierowniczki. W tym czasie Rysiek miał już na koncie kierowanie himalajskimi wyprawami zakończonymi sukcesami. Niestety nie miał w sobie tolerancji dla słabego kierownictwa. Skrajnie skłócona wyprawa z 1975 roku na Gaszerbrum zakończyła się dużym sukcesem, Makalu 1988 tragedią. W następnych miesiącach po Ryśku wysokie góry zabrały bardzo wielu naszych najlepszych. Upadła też komuna”.

„Artur Paszczak [prezes Klubu Wysokogórskiego Warszawa – red.]: Rysiek był kierownikiem mojego kursu wspinaczkowego, a potem jednym z instruktorów zimowych. Nietuzinkowa postać – to pewne. Myślę, że w dużej mierze pozował na »twardego człowieka«, taka postawa ułatwiała mu po prostu życie i przebywanie w środowisku. Dla wielu ludzi był po prostu egoistą, ale ci, co znali go lepiej, wiedzieli, że w gruncie rzeczy kryło się w nim dużo więcej. Nigdy do końca go nie rozgryzłem, zawsze stanowił dla mnie dziwną mieszaninę przeciwieństw. Twierdził na przykład, że wspinał się wyłącznie dla sławy, a potrafił jednak zachwycać się przyrodą. Do skarbnicy anegdot przeszło jego westchnienie do Ryśka Gosa w Bergellu: „»Ku..., ale tu pięknie! Nie, Gos?«”.

– Wszedłem w to wspinanie i stało się ono całym moim życiem. Potem poznałem znaną polską wspinaczkę Olę Tajstrę i ona wzięła mnie pod swoje skrzydła. Trenowałem pod jej okiem siedem dni w tygodniu, a nawet dziesięć. Zrealizowaliśmy dwa trzymiesięczne wyjazdy wspinaczkowe do Hiszpanii, wspinanie zawładnęło moim życiem, wszystko zostało mu podporządkowane. Przez ostatnie lata nie robię nic innego, tylko trenuję i jak przychodzi sezon, który trwa od marca do listopada, spędzam w skałach każdy weekend. W ubiegłym roku w tym czasie może trzy weekendy spędziłem w Warszawie.

Kiedy patrzę na siebie, jaki jestem zdeterminowany, żeby się wspinać, jakich staram się dobierać partnerów, a jakich unikać, i kiedy czytam dziennik taty, i widzę, jak on do tego podchodził, jak

podchodził do ludzi, z którymi się wspinał, jak bardzo go wkurzała czyjaś niekonsekwencja, to widzę, że jestem taki sam jak on. Jestem moim ojcem. Ja też lubię konkretnych ludzi, sfokusowanych na cel, którzy nie lenią się na wyjazdach, w skałach, ciśniemy, jedziemy w Tatry, nie ma, kurde, że nie wstajemy rano. Bez sflaczałości, rozmemłania, jak się wspinamy, to do bólu, jak trenujemy, to też. Jak się do czegoś zabieram, to porządnie. Mam rozpisany trening, wiem, czego chcę, i robię to bez chodzenia na łatwiznę, że dziś nie potrenuję, bo mi się nie chce, albo pójdę z kolegami na piwo; tylko ogień, sto procent.

– Ojciec też taki był?

– Z tego, co mówił Tomek, to tak. Był konsekwentny, nie lubił słabości, miał zacięcie sportowe, nie szedł na ustępstwa, jasno mówił, czego oczekuje, był twardy, konsekwentny i jak ktoś się nie umiał temu podporządkować, to go opierdalał. Ja jestem taki sam, jeśli ktoś się przez pół ranka nie umie zebrać, żeby pójść w skały, jestem wkurzony, czemu tak długo siedzimy w pokoju, zamiast szybko wstać, prysznic, śniadanie, kawa i już. Wkurza mnie, kiedy ktoś pakuje się przez godzinę, a na miejscu okazuje się, że nie ma butów. Staram się z ludźmi nie kłócić, ale rzucam teksty typu: weź się, kurwa, pośpiesz, albo: chodź, stary, bo już nie mogę. Nie okazuję jednak irytacji, chociaż się we mnie gotuje. Tomek mi opowiadał, że ojciec też był taki, konkret, a nie rozkładanie wszystkiego na części pierwsze. Wiele osób, jak usłyszało, że jestem synem Kołka, to mówiło: kurde, masz charakter.

Nie wiem skąd, nie wychowywał mnie przecież, to się chyba dziedziczy. Przecież ma się charakter po ojcu albo po mamie.

Marcin Kantecki, instruktor Jerry'ego: – Rysiek był jednym z instruktorów klubowych na moim kursie wspinaczkowym. Był wtedy w czołówce. Inżynier Kołakowski, specyficzna osobowość, wiedział, czego chce, realizował to, nie znosił sprzeciwu, stawiał się wszystkim. Według mnie Jerry nie jest do niego podobny, ma inne cechy osobowościowe. Ryśkowi zarzuca się, że pobił Ankę na Makalu. Nie wierzę, że to zrobił, ale mogę sobie wyobrazić, że mógł.

Kiedyś nakopał trzem Niemcom na obozie wspinaczkowym. Dziewczyny chciały być traktowane na równi z facetami, to mógł je tak potraktować. A nie wyobrażam sobie w takiej akcji Jerry'ego.

Jednak rozumiem, jak ważny jest dla niego ojciec. Pirania, jego mama, wychowywała go sama, a na młodego człowieka ma wpływ wychowanie bez ojca. Kiedy trafił do wspinania, odnalazł go, znalazł jego zdjęcia, dziennik. Szukał podobieństwa nie tylko fizycznego.

W październiku 2019 roku Jerry opublikował na Facebooku stare zdjęcia rodziców. Wiszą na pionowych gładkich ścianach, wciskają się w wąskie szczeliny, pnąc się w górę. Podpis: „Jestem dumny z mojej mamy i pamięci mojego taty (1954–1988) polskich wspinaczy z lat 70.-80.”.

W komentarzu pod postem dopisał. „Mała opowieść o Tacie znaleziona na forum internetowym przy okazji dywagacji na temat jego partnera Tomasza Kopysia: »Powiem szczerze. Nie wierzę w wejście Kopysia na Makalu. W wejście 'Kołka' wierzę jak najbardziej. To był twardy i zdecydowany gość. W 1984 uczestniczyłem w obozie unifikacyjnym PZA na Słowacji w Tatrzańskiej Łomnicy. 'Kołek' mieszkał wtedy z Kopysiem w jednym namiocie. Strasznie dawali się nam we znaki dwaj Dederoni (od DDR), którzy obok co noc we dwóch ruchali jedną panienkę (te odgłosy!...) i w końcu na swoją zgubę zorganizowali imprezę dla rodaków. Po alkoholu padła tam fraza 'polnische Schweine' i 'Kołek' wtedy wyszedł z namiotu w slipkach i 'himalajach' na nogach i pierdolnął z buta pierwszego z brzegu Niemiaszka... Kopyś się czaił w namiocie – jak to Kopyś. Dlatego nie wierzę, że Kopyś wyszedł na Makalu w 1988«. Wejście oznacza wyjście z ostatniego obozu na ok. 7900 m i zaatakowanie szczytu. Widać, po kim mam charakter:)!”.

– Nie znałeś ojca, był nieobecny w twoim życiu, a nagle odkrywasz, że masz jego charakter, jego pasję.

– W tym roku jeszcze raz czytałem jego dziennik, pisał o środowisku alpinistycznym, że z tym swoim wspinaniem jest sam,

nie ma na kim polegać, że to o kant dupy potłuc. Myślałem parę razy w tym roku o kolegach, znajomych wspinaczkowych, których poznałem w ciągu ostatnich pięciu lat. Brakuje mi stałego partnera, na którym zawsze mógłbym polegać, zawsze się z nim wspinać. Takiego, że w weekend jedziemy w skały i nieważne, że urodziny cioci, pogoda, niepogoda, nie ma przebaczyć, jedziemy, mamy podobne projekty, bez zagwozdek, czy w tym tygodniu chcemy, czy nie chcemy, tylko pewne jest, że ciśniemy, zajebicie spędza nam się czas w skałach, mamy podobny *flow*. To ważne, żeby wspinać się z kimś, kto nadaje na podobnych falach. Stały partner jest na maksa potrzebny, zwłaszcza gdy masz przed sobą drogi trudniejsze psychicznie, bardziej wymagające. Nawet w tym znalazłem analogię pomiędzy mną a tatą. Myślał o tym na wyprawie, a ja myślę tu.

Dwudziestego dziewiątego września ojciec Jerry'ego pisze w namiocie pod Makalu, że na wyprawie wszyscy są skłóceni i każdy gra na siebie. Wcześniej odnotował, że znowu pokłócił się z Kopysiem i czuje, że jest sam, nikt go nie lubi, nie wie, z kim wejdzie na szczyt. Puentuje: „Jest mi po prostu smutno! Właściwie to okazało się, że nie mam wśród górskiego środowiska ani jednego przyjaciela. Są to tylko znajomi lub koniunkturalni partnerzy. Nieprzypadkowo nie spotykamy się razem poza górami. Przysłowiowa lina wcale nas nie łączy”. Później, po raz kolejny, pogodzi się z Kopysiem, bo tylko ten jest w stanie podobnie oceniać rzeczywistość.

Jerry nie zachowuje się jak człowiek zero-jedynkowy, skoncentrowany wyłącznie na celu. Owszem, ma zasady, na przykład stara się kończyć pracę o siedemnastej i serio traktuje grafik treningów. Jednocześnie wydaje się empatyczny, jest miły. Tylko wprawdzie rozmawiamy, nie wspinamy się w skałach, jednak to rozmowa bez lęku, że zirytuje się albo wybuchnie, bo pytania zmierzają w innym kierunku, niż sobie zaplanował. Rzeczywiście trudno go sobie wyobrazić w scenie, w której wypada z namiotu i daje kopa „Niemieszkowi”. Jednak Jerry czuje, że jest podobny do

ojca. Może rozmowa to rozmowa, a góry to góry? Różne światy, jak te dwa fragmenty dziennika Kołka.

„1.09.

Jestem z Barnim w namiocie, rozmawiamy już na dość różne tematy, o ile pozwala mój niemiecki. Dla mnie to świetna okazja do nauki. No i Barni jest jedną z nielicznych osób, z którą mam bliższy kontakt. Kopyś został w tyle. Spotkamy się pewnie dopiero w bazie. Jak to dalej rozegrać? Włączenie Barniego w nasz grafik jest nęcące, ale niesie ze sobą ryzyko – jest jednak młody i trochę delikatny. Trzeba to zresztą obgadać z Tomkiem. On też ma pewnie swoje koncepcje. Zawsze byłem egoistą i dlatego pewnie jestem sam. Ale przyzwyczaiałem się do tego, poza tym umiem o kogoś zadbać, o ile ten ktoś tego potrzebuje – a darmozjadów i w dodatku burdelarzy nie znoszę. Trudno, taki już jestem. Jeżeli wejdę, to wygram – jeżeli nie, to wolę o tym nie myśleć”.

„21.09.

Lodowiec oglądany z góry wygląda niesamowicie – kamiennolodowy przekładaniec żyjący jakimś tajemnym życiem. Z jednej strony martwota i pustka, a z drugiej ciągły ruch – szmer płynącej wody, łoskot spadających kamieni, huk walących się brył lodu. W tym ogromnym świecie człowiek jest drobinką, intruzem i podglądaczem. »Nasza« góra pokazuje się nam codziennie po kilka razy, wyniosła i obojętna. W zależności od oświetlenia jest zimna i daleka, to znowu na wyciągnięcie ręki. Często wierzchołek okryty jest welonem chmur lub jawi się jak zjawą w oparach mgły”.

– Często czytasz ten dziennik?

– Wracam do niego. Oczywiście, że to ważna rzecz w moim życiu. Dwa lata temu odkryłem, że mam w domu oprócz zdjęć slajdy. Całe pudła slajdów z Tatr, Alp, skał w Saksonii, totalnie nowe rzeczy. Raz na pół roku z dwieście slajdów sobie wywołuję. Są na nich kadry, których na zdjęciach nie ma, odkrywam nowe ujęcia z moim ojcem. Przyglądam się mu, jak wyglądał, jaką ma minę. I drogom, które

przechodził. W dzienniku też pisze o drogach w Tatrach i na Jurze. Prawie wszystkie powtórzyłem.

– Dlaczego powtarzasz jego drogi?

– Bo są wartościowe do wspinania, fajne. Jednak chodzi też o to, żeby być w tych samych miejscach, w których on był, dotykać tej samej skały, to dla mnie ważne. Poczuć się trochę tak jak on. Jednak powtarzam jego trasy tylko w skałkach latem, totalnie mnie nie jara wspinanie na ośmiotysięczniki ani zimowe, nie czuję tego. Wspinam się, ale nie chodzę po górach. Jura, Tatry, Sokoliki pod Wrocławiem, Hiszpania, chciałbym pojechać w Alpy.

„Makalu 88. 21.09.

Dupa blada! I znowu śniadanie, mycie, kremowanie, sikanie. Te same twarze, ta sama muzyka. Z białych oparów wychyla się ogrom Makalu. Seraki i pola śnieżne błyszczą świeżą bielą. Nocny opad zdążył już stopnieć w bazie. Cisza. Kolejny dzień bazowy. Kto pierwszy odważy się pójść w górę? To wszystko naprawdę nie ma sensu. Po powrocie do Polski rzucam to wspinanie wyprawowe. Skałki, szkolenie w Tatrach, narty, jakieś Dolomity, coś w tym rodzaju. Po co mi ten cały syf wyprawowy? To naprawdę idiotyczne zajęcie! Oby wytrzymać do końca. A podejrzewam, że koniec będzie syty”.

Jerry pokazuje dwa zdjęcia. Na każdym jest pionowa ściana. Na jednym drzewa przy ścianie są małe, na drugim duże. Na jednym mały ludzik w szczelinie to „Kołek”, ojciec, na drugim, kawałek w bok, na pionowej ścianie, Jerry, syn.

– Fotografia ojca jest z 1986 roku. To jest fajne, że czterdzieści lat później mam zdjęcie w tym samym miejscu, ta sama skała, mój ojciec i ja, to dla mnie niesamowite. Czuję się w skałach jak w domu. Odpoczywam tam, relaksuję się, mimo że czasami jest ciężko, trzeba spać dupe, przeskoczyć granice swoich możliwości. Ale po wszystkim jest stan błogości.

– Co chcesz osiągnąć we wspinaniu?

– Przełamuję swoje słabości. Polega to na tym, że robię coraz trudniejsze drogi.

– Nie ma tak, że zrobiłeś drogę, przełamałeś słabości i już?

– Nie, no co ty. Każda droga to jest wyzwanie, i właśnie to mnie najbardziej kręci, że aby ją przejść, muszę przełamać słabości mentalne. Mam wrażenie, że nie mogę czegoś zrobić, a w końcu to robię. Wspinanie dzieli się na kilka odmian – sportowa i bardziej wymagające mentalnie, na własnej asekuracji; ja tak się wspinam.

– Z różnych sposobów wspinania wybrałeś trudniejszy?

– Trudniejszy i bardziej indywidualny, odchodzący od głównego nurtu, bo większość ludzi wspina się sportowo. Jazdę na BMX-ach też można podzielić na kilka odmian, i ja poszedłem w inną niż większość. Wspinanie sportowe polega na tym, że masz przygotowaną drogę. Mniej więcej co dwa metry masz wywiercone w skale otwory, a w nich ringi lub spity, czyli stałe punkty asekuracyjne, w które wpinasz się ekspresami, czyli dwoma karabinkami połączonymi pętlą z taśmą. Wspinając się z własną asekuracją, nie masz tych punktów, tylko sam je zakładasz, idąc w górę. Masz wpięty w uprząż własny sprzęt do asekuracji, kostki, które wkładasz w rysy, szczeliny, otwory, one się tam klinują, a ty przypinasz do nich ekspres, linę i idziesz. Są drogi o różnej asekuracji, z różnymi odległościami między punktami asekuracyjnymi, czyli jak polecisz, to na jednej dwa metry, a na innej dziesięć. A jak źle założysz kostkę, wypadnie ci długi lot. Trzy lata temu byłem w skałach pierwszy weekend po sezonie zimowym, czyli na początku marca. Pierwszego dnia, w sobotę, super mi się wspaniało, czułem moc, wiatr w żagle i *flow*, więc na drugi dzień wpadłem na wspaniały pomysł, że pójde na taką trudną drogę, której nigdy nie robiłem na własnej asekuracji. I spadłem. Dwie kostki, które założyłem, źle siedziały w rysie i kiedy poleciałem, wypadły, a więc mnie nie utrzymały. Poleciałem do gleby i złamałem kręgosłup. Na szczęście to była trawa, a nie kamienie.

Miałem złamanie kompresyjne kręgu w odcinku piersiowym, dostałem gorset na rzepy, pracowałem z domu zdalnie, leżałem w łóżku, nie mogłem siedzieć, chodzić wolno mi było tylko po

domu, i to jak najmniej. Trzy miesiące bez wspinania. Po dwóch miesiącach zdjąłem gorset. Ale w zeszłym roku zrobiłem tę drogę.

– Z ilu metrów spadłeś?

– Z pięciu. No, to jest dosyć ekstremalne. Jak wspinasz się sportowo i popełnisz błąd, to też możesz sobie coś zrobić, złamać nogę, ale wachlarz obrażeń jest mniejszy. Wspinanie z własną asekuracją jest bardziej ryzykowne, ale ciekawsze. Znalazłem w tym jakąś swoją wizję. Najfajniejsze jest, jak idziesz na drogę pierwszy raz, pomijając już, czy z własną asekuracją, czy sportowo, wspinasz się i myślisz: ja pieprzę, co za syf, nigdy tego nie zrobię, ale robisz ruchy od bloku do bloku, czy od ringa do ringa, zjeżdżasz, czekasz piętnaście minut, odpoczywasz, i znowu idziesz. W pierwszej próbie myślisz: kurde, nigdy jej nie zrobię, a w drugiej wszystko się zgrywa i ją robisz. Po prostu coś niesamowitego.

– Rozumiesz więc, po co ojciec jeździł w góry?

– Rozumiem. Rozumiem, dlaczego chciał wtedy wejść na szczyt. I rozumiem, dlaczego spadłem trzy lata temu. Na wyprawie na Makalu to miała być ich ostatnia próba ataku szczytowego. Powyżej siedmiu tysięcy tata był wolniejszy od innych, nie miał superwydolności, o czym pisze w dzienniku. Tomek był szybszy, zaczął się od niego oddalać. Wszedł na szczyt i zaczął schodzić. Schodząc, minął mojego tatę, ale nie był w stanie go przekonać, że zrobiło się ciemno, że zerwał się huraganowy wiatr i że trzeba odpuścić. Nie był w stanie wyperswadować mu wejścia na szczyt w tej sytuacji. Namawiać, zawróćmy, bo nic z tego nie będzie. Przecież on wszedł, a więcej okazji nie będzie. Tata poszedł i nie wrócił. Myślę, że wiem, co mógł czuć, bo kiedy ja robiłem tę drogę, z której spadłem, to po osadzeniu pierwszej kostki pomyślałem, że jest kiepska, że jak polecę, to może wypaść. Jak założyłem drugą, dwa metry wyżej, a byłem już zmęczony, więc nie szedłem w swojej strefie komfortu, to też pomyślałem, że ta kostka jest beznadziejna i że jak polecę, to do gleby. Ale mimo wszystko zachowałem zimną krew, uznałem, że za chwilę będzie łatwo, idę dalej. Ten wypadek nauczył mnie, że trzeba odpuszczać, i drugi raz bym takiego błędu nie popełnił. Zresztą po roku w Tatrach w podobnej sytuacji odpuściłem. Ale wtedy (w skałkach) poszedłem do góry i mam za

swoje. Myślę, że mój tata też mógł chcieć udowodnić reszcie ekipy, że wejdzie na to Makalu, że da radę.

– Różnica jest taka, że on już miał rodzinę. Myślisz czasami, że mógł odpuścić, bo miał ciebie i twoją siostrę?

– Też się nad tym zastanawiałem, czy był egoistą, bo nadal się wspinał, mimo że pojawiliśmy się na świecie. Ja nie wyobrażam sobie mieć teraz dzieci, poświęcać się im, a nie wspinaniu. Mam trzydzieści cztery lata i nie muszę jeszcze zakładać rodziny, zresztą nie poznałem dotychczas osoby, z którą chciałbym to zrobić. W tamtych czasach naturalne było, że ma się żonę i dziecko, a on nie mógł żyć bez wspinaczki. Pracował jako tłumacz w firmie budowlanej, pracował na wysokościach, ale cały czas się wspinał, nie mógł bez tego żyć, tak jak ja teraz. Więc totalnie nie wyobrażam sobie tego, że mam żonę, która się nie wspina, dzieci, i że ja się nie wspina, tylko z tymi dziećmi siedzę. Albo wspina się, ale moje wspinanie na tym cierpi, bo mam dzieci. Myślę, że byłbym sfrustrowany.

– Wiesz, że większość ludzi stawia tę sprawę zupełnie odwrotnie, że to dzieci mogą ucierpieć, bo ty się wspinasz, a nie że wspinanie cierpi, bo ty masz dzieci.

– Wiem... Nie każdy jest taki sam.

– Nie masz do niego żalu?

– Zrobił tak, jak uważał. Może to głupio zabrzmieć, ale myślę, że zrobiłbym to samo. Pewnie bym ryzykował tak samo jak on.

– Ale ty nie masz dzieci.

– Bo nie muszę. Mogłem wybrać wspinanie.

„Makalu 88, 21.03.

Jeszcze raz wracam myślą do porannych wydarzeń. Podczas wstrząsów miałem ten sam głupi odruch próby przytrzymywania trzęsącej się chałupy, jak pod Eigerem, kiedy usiłowałem zatrzymać obsuwającą się lawinę. I to uczucie zupełnej bezsilności, i strach – tak głupio dać się upierdolić. (...) Znowu uzmysłowiłem sobie, po jak kruchej ścieżce się poruszamy. I zaraz pytanie – czy warto? W imię czego? Po co? Nie lepsze są wczasy w skrzynkach czy nad

morzem? I tak przeżyłem tyle, że mogę spokojnie snuć mrozące krew w żyłach opowieści dla chętnych słuchaczek”.

„Makalu 88, 3.09.

Czy to motanie się wśród kamieni i śniegu warte jest tej ceny? Z drugiej strony wiem, że w domu bym długo nie wytrzymał. Przecież nie mogę się wycofać akurat teraz. Miałbym ciągle poczucie straty. (...) A dzieci – chyba co innego tata alpinista, którym można się pochwalić w piaskownicy, a co innego robotnik wysokościowy czy po prostu handlarz przemytnik. Cóż, trzeba grać do końca”.

– Mama denerwuje się, że się wspinasz?

– Nie daje tego po sobie poznać, wspiera mnie w stu procentach. Nigdy nie usłyszałem od niej, że nie mogę. Jak wracam ze skał, zawsze opowiadam jej, co i jak. Mam wrażenie, że ona się z tych moich sukcesów cieszy. Myślę, że widzi we mnie tatę. Jak on wracał z wyjazdów, też o nich opowiadał.

– Ona też się wspinała.

– W skałkach, ale jak nas urodziła, wspinała się mniej, bo zajmowała się nami. A kiedy tata umarł, przestała totalnie.

„Makalu 88. 7.10.

Z innej beczki: prawie wszyscy mężczyźni na wyprawie mają rodziny – wszystkie natomiast panie, bez względu na wiek (nawet dość zaawansowany), są, jak to się mówi, »wolne«. Dla mnie to są one kalekie”.

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin

Everest, K2, dziecko z astmą. Style małżeństw

„Och, miałam dość, płakałam z bezsilności”.
Cecylia Kukuczka w: *Kukuczka. Opowieść o najstojniejszym polskim himalaiście* Dariusza Kortki i Marcina Pietraszewskiego

Kiedy się poznają, Ewa, zwana we wrocławskim środowisku „Dużą Ewą”, tworzy z „Małą Ewą” żeński tandem wspinaczkowy. Jan też się wspina. Wiążą się na długie lata, nie tylko ze sobą, ale także z klubem. Będą mieli córkę, Martę.

Kiedy się poznają, Ewa, „Mała Ewa”, z zacięciem wspina się po najtrudniejszych tatrzańskich ścianach. Krzysztof tak samo. Po ślubie przeprowadzają się z Wrocławia do Łodzi, ale przez kilkadziesiąt kolejnych lat przyjaźnią się z wrocławskimi wspinaczami. Będą mieli syna, Ryszarda.

Kiedy się poznają, Krystyna jest grotołazką, Bogdan wspinaczem. Oboje kochają góry, szczególnie Tatry. Ona łązi po nich turystycznie, on wspina się i szkoli przyszłych taterników, w tym obie Ewy. Będą mieli trzech synów, Krzysztofa, Łukasza i Tomka.

Trzy pary związane z tym samym Klubem Wysokogórskim Wrocław. Trzy małżeństwa, trzy różne podejścia do miejsca wspinaczki w życiu rodzinnym.

Rodzice Ewy Juskiewicz, „Dużej Ewy”, bardzo wcześnie umarli. Nastolatkę wychowuje babcia. Kilka ulic dalej z rodzicami, dziadkami i bratem mieszka Ewa Panejko, „Mała Ewa”. Dziewczyny chodzą do tej samej klasy w technikum chemicznym. Mąż ich matematyczki jest grotołazem, współorganizatorem obozów speleologicznych. Nauczycielka proponuje piętnastoletniej „Dużej

Ewie”, którą trochę się opiekuje, udział w organizowanym przez męża wyjeździe. Żeby dziewczyna nie czuła się źle sama wśród studentów i pracowników naukowych wrocławskich uczelni, dla których organizowany jest wyjazd, proponuje, żeby przyjechała z przyjaciółką.

Rodzice „Małej Ewy” mają obiekcje. Nie wiedzą, czy to właściwe, żeby dwie smarkule spędzały lato ze studentami, wiadomo, jakie to towarzystwo! Dorośli mężczyźni, papierosy, piwo, albo jeszcze gorzej, nieobyczajne zachowanie.

Nauczycielce udaje się ich jednak przekonać. Obiecuje, że zarówno ona, jak i jej mąż będą czuwać nad bezpieczeństwem fizycznym i moralnym uczennic. Obie Ewy jadą na speleowczas i zakochują się we wspinaczce.

Po uszy. Od tej pory wszystkie wolne chwile chcą spędzać, wspinając się. Zgłaszają się do Klubu Wysokogórskiego Wrocław, do którego jako niepełnoletnie nie mogą zostać formalnie przyjęte, ale ich obecność zostaje zaakceptowana i wkrótce Ewy działają nie tylko w jaskiniach, ale i w skałkach. Po roku jadą w Tatry, gdzie zaczynają się wspinać pod opieką Bogdana Jankowskiego, doświadczonego wspinacza i instruktora taternictwa.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Rodzice byli przerażeni, że przebywam w towarzystwie starszych mężczyzn. Uważali, że to nie jest odpowiednie dla panienki, ale z drugiej strony podobało im się, że się ruszam, i to na świeżym powietrzu. Zgodzili się więc, choć nadal się bali.

Już nie tylko o moralność. W trzecie wakacje po speleowczasach siedemnastoletnie Ewy wspinają się już samodzielnie. W Tatrach. Nim wyjdą w góry, toprowcy sprawdzają ich sprzęt, potem dziewczyny zdane są już na siebie.

Do rodziców „Małej” co rusz docierają informacje o tym, że któryś z kolegów zginął. Ich strach narasta. Najbardziej przeżywają górska śmierć „Kornelii”, przyjaciela brata Ewy. Nie mogą jednak niczego córce zabronić, w kolejne wakacje jest już pełnoletnia.

Zaczyna wspinać się także z mężczyznami.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Wspinanie z Ewą dało mi bardzo dużo, ale wspinanie z dużo lepszymi chłopakami też. Z byle jakimi

nie warto, potem są problemy, chcą cię, dziewczyno, pouczać.

Ewa Juskiewicz: – Też się wspinałam z kolegami, ale góra dwa-trzy sezony.

Ewy stają się znane we Wrocławiu. Dobrze się wspinają, są atrakcyjne, mają powodzenie. Obie wiążą się z klubowymi kolegami. „Duża” z Janem, „Mała” z Krzysztofem.

„Duża”, Ewa Juskiewicz: – Ewa była ode mnie sprawniejsza technicznie, dlatego kiedy wspinałyśmy się razem, robiła trudniejsze wyciągi. Miała lepsze warunki niż ja. Poszła ostro w himalaizm.

„Mała”, Ewa Panejko-Pankiewicz: – Ewa dobrze się wspinała, może była trochę za słaba, jak na swoje wymiary. Szkoda, że nie doszło do jej konfrontacji z wysokimi górami. Nie da się przewidzieć, jak człowiek tam się będzie czuł, dopóki się nie spróbuje. Mogła być dobra.

Bogdan Jankowski, elektronik, wspinacz, żeni się z Krystyną, matematyczką, speleologką. Po ślubie Krystyna przestaje chodzić po jaskiniach. Czemu?

Może uznała, że to zbyt ryzykowne dla młodej matki, może nie miała do tego głowy? Musiała zajmować się domem, w latach, gdy zwykle zakupy i zrobienie prania pochłaniało masę energii i czasu. Może więc chodziło po prostu o czas, którego jej brakowało na tak intensywne hobby? A może w tradycyjnym modelu małżeństwa, a taki był związek Bogdana i Krystyny, nie ma miejsca na to, by dwie osoby mogły realizować pasję kosztowną, zarówno pod względem materialnym, czasowym, jak i emocjonalnym?

Tak też mogło być.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Krysia nie była jakoś obłądnie zaangażowana we wspinaczkę, a „Bogdanek” – tak na niego mówiliśmy we Wrocławiu – był wspinaczem obłądnym. I człowiekiem gigantycznej klasy. Jak on się nami opiekował!

Niezależnie od przyczyny porzucenia speleologii Krystyna zadowalała się skromniejszymi pasjami: chodzeniem po Tatrach i literaturą. Jest niesamowicie odcytana, gromadzi imponującą bibliotekę.

„Duża Ewa” bierze ślub, będąc na czwartym roku studiów. Do tego czasu zdążyła porządnie poznać skałki, Tatry, raz wspinała się w Alpach Francuskich.

Po ślubie dalej się wspina. Także będąc w ciąży.

– Nie rozumiem zdziwienia. Czy gdybym jeździła rowerem, miałabym przestać tylko dlatego, że zaszłam w ciążę?

– Nie myśli pani, że to było trochę nieodpowiedzialne?

– Nie. Przecież umiałam zadbać o bezpieczeństwo.

– Wystarczy, żeby ktoś w górze poruszył kamień albo żeby nie wytrzymał przelot. Pani mogło się nic nie stać, ale byłoby po ciąży. Jak pani to widzi z dzisiejszej perspektywy?

– Mhm. Może... Może z dzisiejszej perspektywy to było trochę nierozsądne.

Od siódmego miesiąca ciąży „Duża Ewa” przestaje się wspinać. Na zawsze.

Dlaczego?

Bo wychowała się bez rodziców i wie, jak to jest. Mówi, że dziecko, jego komfort, jest dla niej wartością nadrzędną. Dla innych alpinistek i alpinistów będących rodzicami zapewne też, ale u niej przekłada się to na konkretne decyzje. Wie, że wspinaczka jest sportem ekstremalnym i rezygnacja z niej zwiększa szanse na to, że jej córka będzie wychowywana przez oboje rodziców.

To, że pojawienie się dziecka oznacza koniec ze wspinaniem, jest dla niej tak oczywiste, że nigdy o tym nie rozmawia z mężem.

Dla Jana na szczęście też jest oczywiste, zwłaszcza po tragicznej wyprawie na Broad Peak, w której brał udział i w której stracił trzech przyjaciół. To był wstrząs dla wrocławskiego środowiska wspinaczkowego.

Po ślubie przyjaciółki i partnerki „Mała Ewa” jest skazana na wspinaczkę z chłopakami. Daje z siebie wszystko i szybko zaczyna wyjeżdżać na wyprawy poza Polskę, w Alpy i Hindukusz.

– Pierwszy raz byłam w Hindukuszu w 1978 roku, miałam dwadzieścia sześć lat. Ja się tam czułam jak w teatrze! Wszędzie hipisi i hipiski, przepiękne, obłędne kolory, koraliki, w hoteliku

przez dziurkę od klucza do pokoju sączył się zapach haszu, obłądny to był dla mnie świat!

Wchodzi wówczas, w męskim towarzystwie, na dziewiczy jeszcze szczyt Lunghoye Sargi (6600 m n.p.m.) i przywozi do domu kilka kilogramów biżuterii. Koledzy nie mogą się nadziwić, że to wszystko dla niej, a ona nie może sobie odmówić kosztujących grosze przepięknych bransoletek, naszyjników, pierścionków, kolczyków.

Z kolejnej wyprawy nieomal spóźnia się na własny ślub, jakoś tak bowiem wyszło, że przedłużyła się o parę miesięcy. Ewa wraca do Polski tuż przed ceremonią, z piękną afgańską suknią ślubną, nową kolia i bransoletką połączoną z pierścionkiem łańcuszkiem. Polska szara, a ona, choć w bieli, jak przystało pannie młodej, to jednak kolorowa. I opalona.

Małżeństwo tradycyjne

Zimą 1979 roku Jankowscy mają dwóch synów: niespełna pięcioletniego Łukasza i półrocznego Krzysia. Czterdziestojednoletni Bogdan Jankowski, elektronik, wspinacz i radioamator o numerze wywoławczym SP6ABA, jest zaproszony do udziału w pierwszej polskiej wyprawie narodowej na Mount Everest.

Bogdan umie połączyć swoje pasje: buduje łączność w Tatrach, za którą będzie odpowiadać w PZA przez kolejne trzydzieści lat, odpowiada też za łączność na wyprawach.

A ta mocno w tym czasie ewoluuje. Zaczyna się od skonstruowanych w połowie lat sześćdziesiątych klimków, uchodzących za urządzenia nie do zdarcia (czego dowodzi m.in. aparat porwany w 1985 roku przez lawinę na Nanga Parbat i odnaleziony dwadzieścia dziewięć lat później. Brązowy od rdzy, po małej naprawie ponownie zadziałał), przez telefony satelitarne (przez jeden z nich Piotr Pustelnik będzie, łącząc się spod Lothse w 2000 roku, kupować z żoną mieszkanie w Łodzi), aż po codzienny mailing z bazy do rodzin, możliwość bycia w nieustającym internetowym kontakcie i zamieszczania wpisów na blogach.

Jako wspinający się w wysokich górach łącznościowiec i elektronik, Bogdan staje się łakomym kąskiem dla kierowników wypraw w Himalaje i Karakorum. Do tego stopnia, że na swoją ostatnią wyprawę, na drugie zimowe K2, zostaje zaproszony, gdy ma sześćdziesiąt cztery lata.

Dwadzieścia trzy lata wcześniej, kiedy szykuje się na zimową wyprawę na Everest, Krystyna idzie z synkami na rutynową wizytę do pediatry. Wraca zdruzgotana: u jednego z dzieci lekarka rozpoznała bardzo ciężką chorobę.

Bogdan słyszy diagnozę, ale z wyprawy nie rezygnuje. Wyjeżdża, zostawiając żonę z malutkimi dziećmi i w dramatycznej sytuacji.

Ewa Juskiewicz, przyjaciółka Krystyny i Bogdana: – Pewnie, że dla Bogdana rodzina była bardzo ważna. Ale to góry były na pierwszym miejscu. Było oczywiste, że jeździ na wyprawy i że nie może z nich zrezygnować. Był w naszym klubie wyjątkową postacią. Nie dość, że bardzo dobry wspinacz, to jeszcze radiotelefonista! Zawada, nazywany „Liderem”, nie wyobrażał sobie, żeby Bogdan nie pojechał i nie zorganizował łączności.

Bogdan więc jedzie i organizuje. Wyprawa jest niesamowitym sukcesem.

W niedzielę, 17 lutego 1980 roku, Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy kładą na szczycie Mount Everestu termometr i drewniany różaniec z czterocentymetrowym krzyżykiem od mamy Stanisława Latały, operatora filmowego, który cztery lata wcześniej zginął podczas wyprawy na Lhotse.

O tym, że się udało, że jako pierwsi na świecie stanęli zimą na szczycie Mount Everestu, Cichy i Wielicki powiadamiają kierownika wyprawy, Andrzeja Zawadę, przez ważyący ponad dwa kilogramy radiotelefon Klimek.

Zaraz potem w świat idą telegramy z informacją o sukcesie.

„Pogoda była zła, śnieg niezwiązany, co utrudniało wspinaczkę, wiał silny wiatr. Ze szczytu zespół zdobywców przekazał: »Gdyby nie chodziło o Everest – tobyśmy nie poszli«” – napisał 18 stycznia 1980 roku „Dziennik Polski”. Gazety wydrukowały również treść depeszy, którą Andrzej Zawada wysłał do pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR i do papieża Jana Pawła II: „W imieniu

uczestników polskiej wyprawy narodowej na Mount Everest zawiadamiam, że 17 lutego 1980 r. o godz. 14.40 czasu lokalnego polska flaga została zatknięta na najwyższym szczycie świata. Światowy rekord zimowego himalaizmu został pobity. Serdeczne pozdrowienia od wszystkich uczestników wyprawy”.

Papież odpisuje ciepło, Gierek chłodno.

W tym czasie we Wrocławiu Krystyna Jankowska na pewno czyta wszystko, co gazety pisały o sukcesie polskiej wyprawy. Dzięki temu wie, że mąż żyje. A przynajmniej, że żył, kiedy depesza dotarła do prasy.

Tomasz Jankowski, najmłodszy z trzech synów Krystyny i Bogdana, dziś doktor historii, specjalizujący się w demografii historycznej Żydów w XVIII i XIX wieku, miłośnik gór: – Mama wiele razy mówiła, jak się denerwowała, czekając na list od taty, kiedy był w Himalajach. I że nawet gdy list przychodził, nie przynosił jej spokoju, bo przecież tata mógł już nie żyć.

Zdarzały się przecież takie historie – list od Krzysztofa Nowaczyka napisany na Broad Peak dotarł już po tym, jak rodzinę powiadomiono o jego śmierci.

Najczęściej najbliżsi o wypadku w górach dowiadywali się od kierownika wyprawy lub od powiadomionego przez niego przedstawiciela klubu wysokogórskiego. Jeżeli ginął kierownik, informacja docierała za pośrednictwem oficera łącznikowego kursującego z bazy do ambasady polskiej w kraju, na terenie którego odbywała się wyprawa.

Tak naprawdę, jeśli dochodziło do tragedii, informacja o niej dochodziła z Himalajów do Polski stosunkowo szybko. Choć nie zawsze trafiona.

Marian Sajnog, himalaista, ratownik górski: – Byłem na wyprawie, na której doszło do wypadku. Żonę w pracy ktoś zapytał, czy to ja, bo jakieś podobne nazwisko było w gazecie.

Wybiegła do kiosku, kupiła po egzemplarzu każdego dziennika. Poszcęściło się jej, zginął ktoś inny. A nazwisko nawet nie było podobne.

Kiedy Bogdan Jankowski wraca z Mount Everestu, dowiaduje się, że syn jest zdrowy. Lekarka się pomyliła.

Małżeństwo koleżeńskie

Jest rok 1982, środek stanu wojennego w Polsce. Ciemność, strach i braki w zaopatrzeniu.

Ewa Panejko-Pankiewicz, chemiczka, pracuje na Uniwersytecie Łódzkim, ale teraz jest na urlopie wychowawczym.

Krzysztof Pankiewicz, mąż Ewy, doktor chemii, pracuje w Instytucie Medycyny Pracy.

Ryś Pankiewicz, ich syn, ma dwa lata.

Wanda Rutkiewicz zaprasza Ewę do udziału w kobiecej wyprawie na K2.

Janusz Kurczab zaprasza Krzysztofa do udziału w polsko-meksykańskiej męskiej wyprawie na K2. Obie odbywają się w tym samym czasie, latem 1982 roku.

Oboje się zgadzają.

Ryś zostaje odwieziony do dziadków.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Przed każdą wyprawą działo się to samo: moja mama kategorycznie protestowała, płakała, prosiła, żebym nie jechała, groziła, że nie zaopiekuje się Rysiem. Ale wie pani, rodzice dla swoich dzieci zrobią wszystko, więc w końcu brała Rysia do siebie.

Kobieca wyprawa pod kierownictwem Wandy Rutkiewicz rusza trochę później. Dziewczyny idą w towarzystwie stu pięćdziesięciu tragarzy. Porterzy, jak się ich nazywa, niosą sprzęt i żywność. Wiezorami rozpalają ogniska, śpiewają, zarzynają rytualnie kozłeta i barany na kolację. Skały, pamięta, Ewa, dzień później ociekają krwią. Nie jest to przyjemne. Dlatego taką radość budzi w niej i w jej koleżankach tektura z napisem „Czołem, dupeczki!”, którą któregoś ranka znajdują na trasie swojego przemarszu. Dla Ewy radość jest podwójna: Krzysiek pod kamieniem poniżej powitalnego transparentu schował liścik przeznaczony już tylko dla niej.

Dziś powitalne „dupeczki” mogą budzić zażenowanie. Tamtego dnia, zapewnia Ewa, nie budziły go zupełnie.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Myśmy się wtedy strasznie bały i widok tego napisu, przypominającego, że chłopaki są w okolicy,

sprawił nam wielką radość!

W kobiecej wyprawie nie tylko Ewa ma małe dziecko. Także Danuta „Duśka” Wach i Halina Krüger-Syrokomska. W obozie Danuta Wach robi dla swojej córki Nataszy czapkę na drutach.

Rozmawiają o dzieciach: jaki jest Ryś? A co robi Nataszka?

Nie o tym, czy to, co robią one same, jest dla ich dzieci bezpieczne i dobre.

Być może takie myśli pojawiają się, gdy nagle na wyprawie umiera Halina Krüger-Syrokomska, wybitna himalaistka, mama dziesięcioletniej Marianny.

Wiele lat później Marianna wstanie podczas wykładu Ewy na jakimś spotkaniu poświęconym wyprawom w wysokie góry i powie, że jej mama zginęła dlatego, że poszła zanieść tlen Ewie, która się źle poczuła.

Ani polska kobieca, ani polsko-meksykańska wyprawa nie zdobywają w 1982 roku K2.

Kiedy Ewa wraca do domu, Ryś chodzi wokół niej nieufnie i przez pierwsze dni mówi o niej i do niej „pama”. „Pa” jak pani, „ma” jak mama.

Ewie jest przykro, ale Ryś szybko się do niej przyzwyczaja. A jej i tak cały czas huczą w głowie niedawne słowa któregoś ze znajomych: „niespełniona, nieszczęśliwa matka to nieszczęśliwe dziecko”.

Niestety rektor Uniwersytetu Łódzkiego dowiaduje się, że Ewa na urlopie wychowawczym pojechała w Himalaje. Jest awantura. Ewa próbuje przekonać szefa, że przecież w te góry pojechała nie jego kosztem, tylko kosztem dziecka. Argumentacja do rektora nie trafia, Ewa nie dostanie już nigdy więcej bezpłatnego urlopu.

Dlatego planując kolejną wyprawę, po prostu się zwalnia. Nie pyta szefa, bo już go nie ma, ale pyta syna:

– Co ty, Rysiu, sądzisz? Jechać?

A on, czteroletni, odpowiada:

– Co ja ci będę mówił, ty i tak pojedziesz.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Czterolatek potraktował mnie doroślej niż ja jego.

– Wypominał to pani?

– Nigdy. A jednak wracając z każdej wyprawy, czułam się jak zbrodniarka.

Ryszard Pankiewicz: – Pewnie tęskniłem, ale nawet tego nie pamiętam.

Pankiewiczowie starają się tak ustawiać wyjazdy, żeby zawsze jedno z nich było w domu.

Choć lubili się wspinać razem. Krzysztof uważał, że to bardzo wygodne, bo można brać na wypad w góry tylko jeden śpiwór.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Mieliśmy dużo patentów na wspólne wspinanie!

Czy rywalizowali ze sobą?

Ewa: – Nie, skądże.

Ryszard: – Oczywiście!

Ewa: – Ryś powiedział, że tak? Może rzeczywiście, trochę? Jak mówiłam Krzyśkowi, że ten czy tamten kolega mnie pochwalił, że się dobrze wspinam, wzruszał ramionami: „Mówi tak tylko dlatego, że cię lubi”. Ja też zawsze wiedziałam, że bez Krzyśka bym paru dróg w Alpach nie zrobiła, bo miały niektóre wyciągi siłowe. Docenił mnie wreszcie, jak zobaczył na Makalu, że w głębokim śniegu radzę sobie lepiej od niego.

Nie tylko wspinają się razem, ale i razem przygotowują. To fioł Krzysztofa, wyprzedzający epokę: przed wyprawami zakładają z Ewą wypakowane plecaki i wbiegają po schodach na najwyższe piętra wieżowców.

Ewa: – W tamtych czasach nie było zwyczaju przygotowywania się fizycznie, a już na pewno nie wypadało mówić, że człowiek ćwiczy. Należało być w dobrej formie ot tak, bez żadnych starań. „Już taki jestem”. A my mieliśmy w sypialni ściankę, Krzysiek pilnował, żebym biegała.

Są więc małżeństwem wspierająco-rywalizującym.

Dzieci

Himalaista to człowiek uzależniony od gór. Nie przestaje być nałogowcem tylko dlatego, że urodziło mu się dziecko. Albo troje

dzieci. Rodzic himalaista pcha się więc w góry z dzieciakiem.

W niemowlęctwie Rysia karmienie piersią jest w odwrocie, postępowe matki, jak radzą pediatrizy, poją dzieci sztucznym mlekiem. „Mała Ewa” decyduje jednak, że będzie karmiła piersią, i po porodzie żąda, by przyniesiono jej dziecko. – A ma pani w ogóle pokarm? – pytają nieufnie pielęgniarzki. – A mam – kłamie Ewa. Kłamie, bo oczywiście nie ma o tym pojęcia. Jest drobna, więc i biust ma nieduży. Krzysztof codziennie gotuje jej garnek herbaty z mlekiem po hindusku. Ewa wypija tę pyszność i nie ma problemów z wykarmieniem dziecka. Ma za to problem z uprawianiem sportu – piersi większe o dwa rozmiary utrudniają jej wspinanie w skałkach, a nawet bieganie. Trudno, dla dziecka męczy się z niechcianym biustem przez rok.

W tym czasie udaje jej się wyrwać z przyjaciółką w Tatry. Krzysztof zabiera małego Rysia w skałki. Zapomina o zabawkach, więc kładzie niemowlaka na kocyku, na linie przywiązanej do drzewa wiesza metalowe karabinki. Interesująco grzechoczą, kiedy wiatr nimi porusza, Rysiowi się podoba. Innym razem zawijają z Ewą Rysia w kurtkę puchową, robiąc z niej niemowlęcą śpiwórkę. Jemu jest ciepło, a oni mogą się wspinać.

Trzech synów Bogdana Jankowskiego od małości zasuwa po Tatrach.

Tomasz Jankowski: – Miałem trzy lata, kiedy tata pierwszy raz zabrał mnie na Rysy.

Rodzice zapytali, czy chce, chciał, więc poszedł. Wszedł na szczyt o własnych siłach. Wcześniej załatwił sobie zapewnienie, że tata w drodze powrotnej weźmie go na barana.

Ale o tym, że sześciolatek Łukasz może sam pójść na Bukową Górę na Roztoczu, gdzie akurat spędzali wakacje, zdecydowali już tylko Bogdan i Łukasz.

Tomasz Jankowski: – Mama o tym nie wiedziała, na pewno by się nie zgodziła! Mimo że ta Bukowa Góra to prawie nie jest góra, raczej wzgórze porośnięte gęstym lasem.

Ryś Pankiewicz ma cztery lata, kiedy sam zjeżdża z Kasprowego (Ewa: – Na innych stokach goprowcy zatrzymywali dla niego kolejkę, żeby mógł wygodnie zsiąść). Siedem, kiedy z mamą

wchodzi drogą klasyczną na Mnicha. Krzyczy: „Mamusi, co tu tak płasko?!”. I osiemnaście, kiedy Krzysztof bierze go na Mont Blanc. Ryszard wchodzi z ojcem, schodzi, śpi całą dobę i stwierdza, że góry wysokie są męczące.

Wcześniej rodzice zdecydowali, że ma zrobić kurs wspinaczkowy. Wspinał się z nimi na tyle często, że uważali to za konieczność, niezbędną, by był bezpieczny.

Mali Jankowscy całe lata i kawałki zim spędzają w Tatrach.

Bogdan Jankowski wyszkolił setki polskich taterników. Kiedy prowadził kursy, synów zabierał ze sobą w Tatry.

– Boże, jak ja im zazdrościłam! – wspomina Donata Rapacka, warszawska kuzynka Jankowskich. – Całe lato mogli spędzać w Tatrach, i to w magicznej Betlejemce! Wszyscy podziwiali wspinaczy, a oni byli wśród nich!

Tomasz Jankowski: – Tata szkolił dwa turnusy, więc trochę czasu spędzaliśmy z mamą w Małym Cichem, a trochę z tatą w Betlejemce. Tam dzień wyglądał tak, że tata wychodził o siódmej rano, żeby szkolić, a my albo szliśmy sami w góry, albo siedzieliśmy, czekając, aż wróci.

– Sami w Tatry? Ile mieliście wtedy lat?

– Jedenaście–trzyście. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że my tam znaliśmy każdy kamień. I że byliśmy przygotowani lepiej niż większość niedzielnych turystów. Do tej pory nie potrzebuję mapy, przynajmniej na Hali Gąsienicowej. Pamiętam, że tata egzaminuje taterników, a ja siedzę na tak zwanym zaszaflu, czyli tam, gdzie się spało, nudzę się i szybciej znajduję odpowiedzi niż przepytywany.

Lato w Betlejemce bywało niezwykle, ale nie aż tak magiczne, jak to sobie wyobraża kuzynka.

Tomasz Jankowski: – Widzieliśmy od czasu do czasu helikoptery, które leciały ratować taterników, wiedzieliśmy, że to mógł spaść tata. Mógł się zabić. Najbardziej irytowało mnie, że inni instruktorzy wracali o czternastej–piętnastej, ale nie tata. On wracał ostatni. Zawsze! Bo jak już wszyscy weszli i potem zeszli, to on zostawał na szczycie i jeszcze robił sobie łączność. Lubił pogadać z innymi radiotelefonistami, a na szczycie, wiadomo, zasięg jest dobry.

Zimą 1987/1988 pod kierownictwem Andrzeja Zawady rusza wielka polska wyprawa na K2. Rok wcześniej góra pochłonięła trzynaście ofiar. Jest bardzo trudna, wielu doświadczonych wspinaczy zginęło na niej z powodu złych warunków pogodowych, mimo że próbowali zdobyć ją latem, a nie – jak chcą Polacy – zimą.

Wyprawa Zawady trwa siedem miesięcy. Długo, nawet jak na Himalaje. Siedem miesięcy, w trakcie których Krystyna Jankowska stoi w kolejkach, szuka mięsa wciąż na kartki, wychowuje siedmioletniego Tomka i piętnastoletniego Łukasza i co parę tygodni jedzie pociągiem do uzdrowiska, gdzie dziewięcioletni Krzyś, chory na astmę, leży sam w sanatorium. Krystyna nie pracuje zawodowo.

Tomasz Jankowski: – Pamiętam, że taty nie było. Mija jesień, zima, idą święta, mama mówi, że czeka na list i że nie wie, czy tata w ogóle wróci.

Któregoś dnia Krystyna wraca z sanatorium od Krzysia i trafia w domu na pogotowie. Tomek dostał wysokiej gorączki, więc Łukasz wezwał karetkę. Robi się awantura. „Co z pani za matka, że zostawia dzieci same?!” – krzyczy lekarz.

K2 Polakom zdobyć się nie udaje.

Krystyna choruje. Ma spore nadciśnienie. Lekarz każe jej unikać stresu. Ale jak to zrobić? Krystyna ma pięćdziesiąt lat, kiedy przechodzi udar.

Tomasz Jankowski: – Mama miała udar przez to, że tata jeździł na wyprawy. Ciągłe była sama, ciągle z nami, w strachu, czy tacie nic się nie stało. Lekarz powiedział, że to ze stresu i z przepracowania.

Ewa Panejko-Pankiewicz broni decyzji Bogdana: – Przecież zostali parą, kiedy on był już nieprzeciętnym wspinaczem. Takiego pokochała.

Tomasz Jankowski: – To nie jest w porządku, żeby jedna osoba w związku mogła robić wszystko, co chce, a cały ciężar prowadzenia domu spoczywał na drugiej.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Dziewczyny garną się do klubu, bo tam łatwo znaleźć męża. W klubie zawsze byli świetni chłopacy. Przystojni, wysportowani, z pasją, no idealni kandydaci. I taka dziewczyna wiąże się z alpinistą, a potem próbuje go zmienić. Mówi

z dumą: „Nauczyłam go prasować pieluchy”. Nie podoba mi się, jak ludzie próbują drugiego człowieka zmienić na siebie.

Z drugiej strony Ewa Panejko-Pankiewicz podkreśla, że jej mąż od pierwszego dnia dużo zajmował się i dzieckiem, i domem. – Kiedyś przyjechał kolega, też wspinacz, patrzy, jak Krzysiek kąpie Rysia, gotuje, i mówi do mnie: „No, ja nie wiem, »Mała«, co ty w tym domu robisz. Chłop się zarzyna, sam wszystko ogarnia!”.

Krzysztof złości się, kiedy ona swój udział w wyprawie uzależnia od tego, czy mama zgodzi się zaopiekować Rysiem. Domaga się, żeby i jego, ojca, brała pod uwagę jako opiekuna dziecka. Bez tego wielu dróg by nie zrobiła.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Mężczyzna może przejąć kobiecie obowiązki, radzi sobie z nimi, najwyżej zapomina o detalach. Ale byłam załamana, jak Krzysiek podczas mojej nieobecności zapomniał o prezencie dla Rysia na mikołajki!

Tomasz Jankowski: – Zmieniły się czasy, zmienili się mężczyźni, obowiązuje inny model ojcostwa. Ale myślę, że i wtedy można było szukać kompromisu. Na przykład: jeździmy w trochę niższe góry, ale razem. Tak też bywało, ostatnie dwa tygodnie wakacji spędzaliśmy razem w Beskidzie Wyspowym. Ale większość czasu ojciec spędzał sam, w środowisku górskim.

Po udarze Krystyna, ze względu na ciśnienie, nie może już chodzić po Tatrach. W Beskidach, przy dobrej pogodzie, przynajmniej z oddali widzi swoje ulubione góry.

„Czy znam jakiegoś himalaistę, który ma udane życie rodzinne? Uprawianie aktywności tego typu, tak angażującej i zabierającej tyle czasu, skłania mnie do stwierdzenia, że alpiniści, którzy chcą się jej oddać, nie powinni mieć życia rodzinnego w ogóle. Bo albo robią krzywdę sobie, albo innym” – pisze himalaista Piotr Pustelnik, dwukrotnie żonaty, ojciec czterech synów, w książce *Ja, pustelnik. Autobiografia*.

Czy rzeczywiście? Czy alpinista nie może mieć rodziny?

Tomasz Jankowski, syn Krystyny i Bogdana: – Przez myśl mi nie przeszło, żeby mieć pretensje do taty, że się wspinał.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Andrzej Hartman, świetny chłopak ze Śląska, ojciec obłądnej malarki, Moniki Hartman, mówił: „W normalnych rodzinach najważniejsze są dzieci. A u nas – zawsze góry”. Ale wszyscy dzieci mieliśmy. Nie jesteśmy straceńcami, chcemy żyć i nikt z nas nie szedł w góry, żeby zginąć.

Ewa Juskiewicz: – Kocham góry, moje życie zawsze dzieliło się między nie i miasto. Ale nie muszę się w nich wspinać. Jeżdżę na nartach. Kiedy Marta, moja córka, skończyła osiem lat, pojechałam na trekking. Zależało nam z mężem na minimalizowaniu ryzyka związanego z naszą działalnością w górach.

Ewa Panejko-Pankiewicz: – Ryzyko? Czym innym jest himalaizm, a czym innym himalaizm zimowy. Byłam na jednej wyprawie zimowej, Alka Lwowa. Niskie temperatury, wiatr, jakiego nie znałam z wcześniejszych wypraw. Uparłam się, żeby nie schodzić, tylko rozłożyć namiot. A kolega, z którym się wspinałam, Bogdan Stefko, mówi, że równie dobrze możemy chcieć iść na Księżyc. Rozbicie tego namiotu zajęło nam kilka godzin. Wiatr był tak silny, że gasił płomień maszynki, już nawet nie powiem, jak trudno się było wysikać. Ośmiotysięczniki latem to zupełnie co innego, nie są tak trudne ani tak niebezpieczne. Ryzyko jest mniejsze.

Co nie zmienia faktu, że każda wyprawa ma swoją cenę. I jak mówi Marian Sajnog, płaci ją nie tylko himalaista: – Wspina się cała rodzina, nie tylko jeden człowiek.

Joanna Sokolińska

Bibliografia

- Aksamit Bożena, *Gdy chłopiec nie boi się marzeń*, rozmowa z Michałem Kochańczykiem, „Gazeta Wyborcza”, 17.07.2009.
- Bryła Edyta, *Postanowiła odnaleźć ojca, który zginął zdobywając pierwszy „polski” 8-tysięcznik*, „Gazeta Wyborcza”, 02.05.2018.
- Bylec Ryszard, Andrzej Bieluń, Aleja Pamięci Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto, <https://aleja.kwtrojmiasto.pl/> [dostęp: 02.02.2020].
- Dobroch Bartek, Wilczyński Przemysław, *Broad Peak. Niebo i piekło*, Poznań 2018.
- Fusek Wojciech, Porębski Jerzy, *Lekarze w górach. Bohaterowie drugiego planu*, Warszawa 2020.
- Hugo-Bader Jacek, *Długi film o miłości. Powrót na Broad Peak*, Kraków 2014.
- Kamińska Anna, *Halina. Dziś już nie ma takich kobiet*, Kraków 2019.
- Kobierowska Dorota, *Dosięgnąć Everestu*, Pelplin 2006
- Kołąkowski Jerzy, *Hardmen do końca*, „A/ZERO” 2014, nr 1.
- Kortko Dariusz, Pietraszewski Marcin, *Kukuczka. Opowieść o najśłynniejszym polskim himalaistcie*, Warszawa 2016.
- Kukuczka Jerzy, *K2 ścianą południową*, „Taternik” 1986, nr 2.
- Lwow Aleksander, *Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później*, Kraków 2014.
- Marcin Latałło, syn Stanisława, „Gazeta Wyborcza”, wydanie łódzkie, 02.02.2005.
- Morawska Olga, *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011.
- Puncewicz Olga, *Góry na opak 2, czyli rozmowy z tymi, co zostają*, Warszawa 2017.
- Pustelnik Piotr (wysłuchał Piotr Trybalski), *Ja, pustelnik. Autobiografia*, Kraków 2018.
- Revol Élisabeth, *Przeżyć. Moja tragedia na Nanga Parbat*, Warszawa 2019.
- Rymuszko Marek, *Cień wielkiej góry [w:] Schody*, Warszawa 1988.

- Sabała-Zielińska Beata, *Jak wysoko sięga miłość? Życie po Broad Peak*, Warszawa 2016.
- Sepioło Mariusz, *Himalaistki. Opowieść o kobietach, które pokonały każdy szczyt*, Kraków 2017.
- Serafin Jan, *Polskie wyprawy himalajskie – wypadki, zachorowania i zgony*, „Taternik” 1988, nr 2.
- Śmierć na Mount McKinley*, „Gościniec” 1988 (marzec).
- Szczepański Dominik, *Czapkins. Historia Tomka Mackiewicza*, Warszawa 2019.
- Wcisło Anna (oprac.), *Śmierć na Api*, „Przekrój” 1984, nr 15.
35. rocznica zimowego Everestu, <http://www.m.goryonline.com/35--rocznica-zimowego-everestu--wielicki---swietnie-czulem-przymrozenie-twarzy-od-maski-,2004860,i.html> [dostęp: 08.02.2020].

Redaktor inicjująca: Elżbieta Kalinowska
Redaktor prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Elżbieta Kalinowska
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Marta Stochmiałek

Projekt okładki: Joanna Strękowska
Grafika wykorzystana na okładce: © SIHASAKPRACHUM/Shutterstock

Projekt typograficzny i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8565-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo